

ZOFIA KOSSAK

PUSZKARZ ORBANO

ZNISZCZONE MURY

Od pokrytych kwieciem lip płynęły smugi zapachu. Złotawy gąszcz kwitnących gałęzi przerywały cyprysy czarne, obojętne, wysokie. Stary pałac cesarski łuszczył się zniszczonym, opadającym tynkiem, lecz otaczające go kolumny marmurowe, gładkie jak niegdyś, gorzały świetliście w słońcu. Daleko na morzu płynęła galera * pod wydętym, białym żaglem.

Mario i Demetrius przystanęli patrząc na nią.

Mario rzekł:

— Powiadał kum mego ojca, który przyjechał z Italii, że na Zachodzie budują teraz wielkie okręty o trzech pokładach i dwóch kasztelach * na wierzchu. Na każdym okręcie może stanąć piętnaście armat... Mają po siedemdziesiąt żagli albo więcej... Dlaczego wy takich nie macie?

Demetrius wzruszył ramionami na znak, że nie wie dlaczego, że byłyby, gdyby to od niego zależało, i pobiegli dalej po murach, które postanowili sobie dzisiaj obejść. Nie lada wycieczka. Obwód murów bizantyjskich wynosił dwadzieścia tysięcy dobrych, męskich kroków.

* objaśnienia wyrazów oznaczonych gwiazdką znajdzie Czytelnik na końcu książki.

Prastare te mury, przez cesarza Teodozjusza chwalebnej pamięci przed tysiącem lat wzniesione, były tak szerokie, że sześć osób mogło swobodnie iść po nich równocześnie. Przy każdej wieży, których na obwodzie grodu znajdowało się czterysta, było miejsce szersze zostawione dla mijania się wozów. Odpowiednią do grubości była wysokość murów, opasywały zaś Bizancjum nieprzerwanym pierścieniem, podwójnym od strony lądu, pojedynczym od strony morza. Mur wewnętrzny wyższy był od zewnętrznego. Między oboma leżała fosa ocembrowana kamieniem. Niegdyś woda przepływała przez nią swobodnie, a zawity systemat śluz i zapór mógł dowolnie poziom jej podnosić. Podobnie niegdyś, niegdyś wierzch murów obity był blachą miedzianą. Lecz przed dwustu laty chciwi rycerze latyńscy, zawładnąwszy na przeciąg pięćdziesięciu lat grodem, zdarli kosztowne pokrycie, którego już nigdy nie przywrócono. A szkoda. Pozbawione ochrony mury poczęły szybko niszczeć. Wiatr niósł na nie pyłki nasienne traw i krzewów, które kiełkowały pomiędzy kamieniami. Niewiarygodną siłą rosnących, młodziutkich korzonków rozsadzały tysiącletnią zaprawę, strącały wypchnięte głazy w dół do fosy, coraz natarczywiej, coraz liczniej. Każda zima, każda jesienna wichura, wiosenna burza przyczyniały dzieła zniszczenia. Miejscami strącony gruz zalegał fosę tak gęsto, iż tamował wodę tworząc poprzeczną groblę. Woda, pozbawiona dopływu, wysychała pod palącymi promieniami słońca, dno fosy podnosiło się, zarosło trawą i zieleń. Systemat śluz i zapór dawno przestał działać, popsuty i nieużyteczny.

Kroczący żwawo chłopcy nie zastanawiali się nad tym, gdyż murów tych innymi nie znali. Tak jak były, z bujną roślinnością, zwieszającą się z załomów, z sypiącym się gruzem, zdały im się one

najwarowniejsze, niezdobyte, niedostępne. Czyż i tym razem nie powstrzymały nieprzyjaciela? Czyż zawzięty wróg, sułtan Muhammed II, nie odstąpił po trzymie-* sięcznym oblężeniu, wściekły, okładający bez litości złotym buzdyganem * swych wezyrów *? — Nie, dopóki one stały, nic Bizancjum zagrażać nie mógł!

\

Zresztą stan zniszczenia dawał się dopiero widzieć z góry, w czasie takiej wędrówki jak ich obecna. Z dołu gładkie odkosy wspinały się równie śmiało i stromo jak niegdyś.

Chłopcy z uwagą oglądali ślady niedawnego oblężenia. Puste kociołki po smole, kupy kamieni i belek przygotowane do strącania na głowy oblegających, a nie zużyte, powózki z ogniem greckim, bronią straszną przed wiekami, a dziś, po prawdzie, niegroźną nikomu.

Nieliczni żołnierze cesarscy strzegli tego dobytku wojennego, drzemając leniwie w cieniu wież. Odziani byli dostatnio, uzbrojeni dobrze, a składali się wyłącznie z ludzi najemnych. W pułkach tych spotkać można było wszystkie narodowości i wszystkie języki. Węgrzy, Syryjczycy, Rusini, Duńczycy, Niemcy, Armeńscy, nawet Arabowie i Turcy. Ze skarb ce-saiski był pusty i żołnierze otrzymywali żołd ze wzrastającym stale opóźnieniem, wojska tego było coraz mniej. Pełniło służbę niedbale jak z łaski. Póki nieprzyjaciel był pod murami Bizancjum, to jeszcze, jeszcze. Chodziło im o własną skórę, o żony i dzieci mieszkające w grodzie, narażone na niechybną śmierć w razie zdobycia, skoro jednak wroga po uciążliwej obronie odparto, nie trudzili się bynajmniej. Gród, zwany dumnie „strzeżonym przez Boga” był iście tylko przez Boga strzeżony i nikogo więcej.

No i przez położenie. Z trzech stron otaczało go morze, a tylko jedna strona, zachodnia, graniczyła z lądem. Morze Czarne, Morze Małe, zwane przez Turków Marmara, a przez Greków Propontyda, łączący je Bosfor, czyli ramię św. Jerzego, Złoty Róg, najcudowniejszy port naturalny, jaki przyroda stworzyła — otaczały Konstantynopol wartą czujniejszą od najemnych wojsk. Istniała wprawdzie bardzo stara, od św. Morenusa pochodząca przepowiednia, że miasto zginie, gdy nieprzyjaciel podejdzie pod mury okrętami, które popłyną po lądzie — ale nikt się nią nie przejmował. Jakież okręty mogłyby płynąć lądem i jakież nieprzyjaciel zdoła ze statków dobywać mury... Takie mury.

— Patrząc, messer * Antonio i akolita * Bazyli idą ku nam — zauważył Mario ze zdziwieniem.

. Usunęli się na skraj muru, witając z szacunkiem nadchodzących. Messer Antonio Donino, siwy, ale żwawy staruszek, był ojcem chrzestnym Maria, Genuńczykiem jak cała rodzina matki chłopca. Akolita Bazyli Anagnostes był dowódcą załogi, podlegały mu pułki strzegące murów. Na ukłon chłopców nie zwrócił żadnej uwagi.

— Dokąd idziecie, chrzestny? — zapytał Mario nieśmiało.

— Kardynał i dostojny łogoteta* dworu obchodzą mury, a my z nimi... Oni z orszakiem pozostali tam pod wieżą odpocząć krzyżę, a my idziemy przodem, pogadując...

Uśmiechnął się do nich i ruszył dalej. Chłopcy o dwa kroki za nimi, ciekawiło ich bowiem niezmiernie, po co kardynał rzymski przyszedł oglądać mury? Nie obawiali się, że każą im iść precz. Świta dostojników składała się na pewno w przeważnej części z rodaków Maria, Italczyków.

Italczyków było podówczas w Bizancjum prawie tyleż samo, co Greków. Na wprost idących, po drugiej stronie Złotego Rogu, wznosiło się ich własne genueńskie miasto, Galata — murem otoczone, z wyniosłą wieżą strażniczą na wzgórzu, rządzone przez własnego podestę *, niezależnego od cesarza.

— Przyjemnie patrzeć na świat, gdy Turcy odeszli — mówił przymilnie stary Donino do milczącego towarzysza.

— Niedaleko odeszli — odparł tenże zgryźliwie, ukazując dłonią widoczne w oddali wieże nowego zamku tureckiego, wzniesionego niedawno przez Muhammeda II na greckiej ziemi na urągowisko basileusowi *.

— Oj, to prawda — westchnął Antonio i splunął. — Ze też piorun poganina za tyle bezceństwa nie spalił! — dodał z nabożnym zdziwieniem.

— Powiadają — mówił akolita głosem obojętnym, niby o rzeczy, która go nic nie obchodzi — że gdy najdostojniejszy basileus zapytał sułtana, jakim prawem wznosił ten zamek, niewierny odparł: „Wybudowałem zamki dwa. Jeden na azjatyckim brzegu, drugi na waszym. Będą strzec jak psy Bosforu.

8

«

Nie dostaniecie się już na Morze Czarne bez mojego zezwolenia. A prawo moje do azjatyckiego brzegu jest, że to moja ojczyzna, a do europejskiego, że go nie umiecie bronić...”

— Obrzydłe zuchwalstwo poganina — parsknął Antonio — świętego prawa własności bronić nie potrzeba... Szanować je powinien każdy samo przez się... '

Zdążający za mówiącymi Mario spojrział wahajaco na kolegę. Wydało mu się, że słowa sułtana, choć twarde, nie były pozbawione słuszności. Istotnie, czemuż basileus nie umie bronić swych odwiecznych praw? Dlaczego dopuścił do wybudowania zamków tuż pod swoim bokiem?

— Jak myślisz? — zapytał szeptem Demetriusa — dlaczego sułtan ma tak wiele wojska, a najdostojniejszy basileus zaledwie tyle, co na wałach?

— Bo cudzoziemcy nie chcą się jakoś teraz najmować — odparł tenże równie cicho.

— A was mało?

— Służba wojskowa to nie dla nas — odszepnął Demetrius z pogardą. — Dobre dla barbarzyńców lub zabijaków... Dla człowieka wykształconego wojsko to męka... Brud... Słuchać się byle dziesiętnika... Pocić latem, marznąć zimą... Dziękuję...

— A jeśli cudzoziemcy wcale nie zechcą przychodzić służyć u was?

— Mury wystarczą, żeby nas obronić... Sam widzisz... Sułtan był i nie dał rady... odszedł... Zresztą nie on pierwszy... Podobno Bizancjum było oblegane już dwadzieścia osiem razy...

— Mój ojciec mówi — szeptał Mario — że mógłby zbudować działo zdolne rozwalić te mury...

Pozornie pochłonięty rozmową z akolitą Antonio odwrócił się żywo.

- Nie powtarzaj głupstw! — syknął.
- To nie ja, to ojciec...
- Ojciec by też trzymał język za zębami... Zawsze mu wróżę, że sobie biedy napyta...
- O co idzie? — zapytał szorstko Bazyli.
- Kum mój, Orbano, puszkarz znakomity w służbie najdostojniejszego pana naszego (oby Bóg błogosławił jego dni) powiada, że wymyślił działo większe niż wszystkie znane dotychczas... — objaśnił z pośpiechem Antonio i zwrócił się znowu do chłopców.
- Nie płatajcie mi się tu pod nogami podsłuchując... — mruknął gniewnie. — Macie akurat schody... Na dół i do domul... Żywo!

Zeszli jak niepyszni z przyjemnej wysoczyzny na ludną i gwarną ulicę. Zwała się Mezos, ciągnęła równoległe do Złotego Rogu. Leżały przy niej najpiękniejsze sklepy, prawie wyłącznie włoskie. Przeważały złotnicze, składy jedwabi, wonności i lamp oliwnych, złotych lub alabastrowych.

Widok zawodników, ciągnących na Hippodrom *, rozproszył niezadowolenie chłopców. Dorodni młodzieńcy o posągowej postawie i wspaniałej muskulaturze, odziani w zielone lub niebieskie barwy swoich stronnictw, stali lekko na dwukołowych rydwanach, powstrzymując z trudem rwące się do szybkiego biegu konie. Tłum oklaskiwał ulubieńców, wywoływał nazwiska, zagrzewał do rychłego zwycięstwa, płynął brzegami ulicy jak rzeka, zdążając w tym kierunku. Środkiem jezdni, tuż za zawodnikami, zdążali konno, na paradnych wozach lub w lektykach szlachetni widzowie, bogacze miejscy, patrycjusze i dostojnicy dworscy. Wyścigi były ulubionym świętem Bizancjum, rozrywką nad wszystkie ukochaną, rozpalającą zarówno dwór cesarski, jak najuboższego nędzarza.

Chłopcy bez trudu dali się ponieść fali idących. Odwiecznym zwyczajem wstęp na stojące miejsca był bezpłatny, mogli więc wejść bez trudności. Olbrzymi cyrk, zaliczany do najpiękniejszych w świecie, był już wypełniony po brzegi niezliczonym tłumem. Piasek areny, posypany wzorzystym pyłem niebieskim i purpurowym, wyglądał jak fantastyczna posadzka. Arena liczyła długości trzysta męskich kroków i posiadała dwie równoległe bieżnie: dla Niebieskich i dla Zielonych. Pośrodku wznosiła się brązowa kolumna, utworzona z trzech

10

splatających się węży, według podania ta sama, pod którą w świątyni delfickiej siadała wyrocznia. W jednym końcu areny, przed miejscem cesarskim, znajdowała się meta, w przeciwnym kopiec, obwiedziony poręczą. Było to niebezpieczne miejsce, widownia częstych, śmiertelnych wypadków. Zawodnicy musieli zawrócić ostro w wąskim przejściu, gdzie mógł pomieścić się tylko jeden wóz. Biada, jeżeli w zapale wtłoczyli się tam we dwóch! Ale nawet pojedynczo zakręt był trudny do wzięcia i często wozy wylatywały na pochyłą ścianę zamykającą arenę lub rozbijały się o poręcz kopca. Niby na urągowisko stał nie opodal niezdarny bożek kamienny, zwieńczony chrustem, służący jako straszak koni, zwany Taraxippos.

Najdostojniejszy basileus nie raczył się jeszcze zjawić ani nie przysłał zastępcy, przeto wyścigów nie można było zaczynać. Wśród tysięcy stłoczonych ciał panował upał nie do wytrzymania. Chłopcy z żalem stwierdzili, że można było wśliznąć się w obręb Hippodromu, ale niemożliwością jest cokolwiek zobaczyć. Darmo prześlizgiwali się jak węgorze, wpełzali pod nogi stojących przed nimi. Zwarty mur widzów oddzielał ich wszędzie od areny i zgrzani, spoceni, rozgoryczeni, dali na koniec za wygraną, z żalem przeciskając się ku wyjściu. Właśnie w łoży cesarskiej pojawił się krewny cesarza, Lucius Notaras, admirał, czyli wielki drongarios floty i dał znak rozpoczęcia zawodów. Srebrne trąby zagrzmiały długo, przeciągle.

— Jutro przyjdziemy z samego rana, z samego rana — powtarzał z rozżaleniem Demetrius — staniemy z brzegu i nie ruszymy się za nic...

— Och, już przestali trąbić... Już pewnie wychodzą...

Wysłuchiwali się w grzmot oklasków, dolatujący z wewnątrz.

Nawet nie zauważyli, gdy tuż przy nich zatrzymała się strojna, złocona lektyka, dźwigana przez sześciu rosnących, czarnych niewolników. Z lektyki wyjrzała twarzyczka dziewczęca, tak młoda i śliczna, że nawet przesadne umalowanie brwi i policzków nie zdołało jej zeszpeciwać. Damara, jedna z najpiękniej-

11

szych panien Bizancjum, córka Jerzego Francesa, wielkiego logotety dworu.

Nasunęła na twarz zaledwie dostrzegalną zasłonę z gazy, zwracając się do dowódcy straży, wartującego przed wejściem.

— Czy dostojny Frances, logoteta i protovestiarios * przybył już? Nie zostawił dla mnie polecenia?

Dowódca podbiegł z pośpiechem.

— Jego dostojności wielkiego logotety i protovestiariosa dworu nie ma jeszcze w Hippodromie — oznajmił z uniżonością.

Zacisnęła z gniewem usta. Baczny na wszystko Demetrius podskoczył żywo.

— Jego dostojność obchodzi mury z kardynałem rzymskim, Izydorem! — zawołał.

Oczy dziewczyny przesunęły się po jego twarzy z urażonym zdziwieniem.

— Obchodzi mury?... — powtórzyła odymając wargi. — Po cóż by obchodził mury? Kto ci to mówił, malcze?

— Byliśmy sami co ino na murach... Jego dostojność i kardynał rzymski odpoczywali pod wieżą podle Cerkopartos...

— To niesłychane! — wykrzyknęła piękna panna. — Co ja teraz zrobię? Ojciec kazał mi tu czekać na siebie...

Mówiła w przestrzeń nie zwracając się do nikogo. Była mocno rozdrażniona i w gniewie jeszcze ładniejsza. Dowódca straży stał nieruchomo, bezosobowy i służbowy, chłopcy z ciekawością przyglądali się lektyce.

Nowa fala oklasków zatrzęsa murami.

— Pójdę sama — postanowiła Damara. Na dany znak niewolnicy opuścili lekko lektykę na ziemię. Wskoczyła z niej smukła, strojna, spowita w jakieś niewiarogodnie cudowne materie. Na znak dowódcy jeden ze strażników, zwanych Wa-rangami, ruszył przed nią, by torować przejście, drugi za nią, by osłaniać przed naporem tłumu. Niewolnicy odeszli w cień z lektyką i siedli rzędem pod murem, barczyści, czarni i obojętni.

O ile na galeriach przeznaczonych dla pospolitego tłumu

12

panował ścisk nie do wytrzymania, o tyle w przejściach rozdzielających wykwintne siedziska bogaczy było przestronno, cicho, czysto i piękna panna doszła bez trudu do miejsca przeznaczonego dla niej i jej ojca. Prędko otoczyli ją znajomi i przyjaciółki korzystając z pierwszej przerwy w gonitwach, by się dowiedzieć o przyczynie opóźnienia.

— Musiałam czekać na ojca — odpowiadała z rozdrażnieniem — czekałam, czekałam, aż jakiś chłopak, taki prosty chłopaczyna z ulicy, powiada mi, że go widział na murach...

— Na murach — wykrzyknęli wszyscy — po cóż tam chodził?!

— Był podobno z kardynałem Izydorem, więc łatwo się domyślić, że to ten rzymski szaleniec go wyciągnął... Oni do wszystkiego są zdolni... Pomyślcie tylko... iść na mury, gdy rozpoczynają się wyścigi!...

— Ach. Nigdy nie odżałuję, że się spóźniłaś! — wykrzyknęła Zoe, córka protosebastosa * — ten pierwszy bieg był boski po prostu... Cyprian wziął zakręt nieporównanie... Spokojnie... Pewnie... To bohater. Ja mówię, że to bohater!...

— A ja tego nie widziałam... — żaliła się gniewnie Dama-ra — i gdyby nie ten chłopak, byłabym tkwiła dotąd przed wejściem, czekając na ojca, który widocznie zupełnie o mnie zapomniał!

— Na miejsca! Na miejsca! Wnet zacznę!...

Jerzy Frances, wielki logoteta dworu, protovestiaros, jeden z pierwszych dostojników cesarskich, a zarazem przyjaciel zaufany basileusa, zapomniał istotnie o obietnicy danej córce i o wyścigach. Szedł obok kardynała Izydora, legata papieskiego, który zdążył szybkim krokiem, wysoką, okutą laską, z krzyżem na wierzchu, stukając mocno w mur. Gdy pod stuknięciem nadwątlony kamień odrywał się lecąc w dół, przystawał, patrząc na towarzysza z oburzeniem. Kardynał był wysoki, szczupły, o wyrazistej, ostrej twarzy i krótkiej, gęstej brodzie. Mówiąc, wyrzucał ją naprzód ruchem nie znoszącym oporu.

13

Spod czerwonego, kardynalskiego płaszcza odrzuconego na ramię błyskał lekki półpancerz złocisty, przedmiot zdziwienia nie wojowniczych Greków. W każdym ruchu i słowie legata czuło się silną wolę i energię.

Istne przeciwieństwo z nim stanowił dostojny Frances, przyjaciel basileusa. Niski, lekko przygarbiony, o twarzy niezmiernie łagodnej. W zmarszczkach, okalających zmęczone oczy, rozumne usta, kryło się pełno niedomówień, wahań, rozlicznych punktów widzenia. Odziany był w luźną, ciemnofiołkową szatę miękką i przewiewną zarazem.

Kardynał przystanął, uderzając gniewnie nogą w mur.

— Jak można było dopuścić do takiego zaniedbania? 1 — zawołał. — Toż groza bierze na taki widok. Jeszcze parę dziesiątków lat i to wszystko samo się rozleci... Z niechlujstwa! Z zaniedbania!

— Przynajmniej, że jestem zaskoczony — wyznał Frances — nie przypuszczałem... Sprawy obrony nie należą do mnie...

— Do kogo należą?

— Do wielkiego drongariosa armii i floty, którym jest szlachetny Lucius Notaras... I on jednak nie może wchodzić w te szczegóły... Od tego są poszczególne urzędy... Pieczę nad nimi ma akolita, szlachetny Bazyli Anagnostes, który nam towarzyszy.

— Teraz rozumiem, dlaczego ustawicznie wrywa naprzód ze swoim Włochem, że zgola go nie widzimy — mruknął wzgardliwie kardynał. — On też pewnie jest tu po raz pierwszy w życiu?...

— Być może — przyznał Frances. — Wiem jednak że obowiązki swoje spełnia pilnie i często wysyła komisję sprawdzającą stan murów... Ostatni raport tejże komisji został przedłożony najdostojniejszemu basileusowi (oby Bóg błogosławił jego dni!) przed miesiącem zaledwie, już po odejściu nieprzyjaciela...

— I cóż opiewał ów raport?

— Ze stan obrony jest zadowalający, tak iż zgromadzenie proedrosów * uchwaliło wyrazić podziękowanie szlachetnemu

14

Manuelowi Giagari i Neofitusowi z Rodos, którzy od szeregu lat mają mury miasta w swej pieczy...

Kardynał wybuchnął gromkim, szyderczym śmiechem.

— Podziękowanie — zawołał — ależ tych łotrów na szubienicy powiesić! Na męki brać! Wszakże tu widać, że nikt nie dba, nie naprawia...

— Widzieliśmy dopiero jeden odcinek, istotnie bardzo zniszczony — usiłował bronić Frances — obaczmy, co dalej... Przy czym trzeba zaznaczyć, że szlachetni Giagari i Neofitus mimo najlepszych chęci niewiele mogą zdziałać, gdyż skarb nie jest w stanie dać pieniędzy na naprawę...

— Nie jest w stanie?!

— Ależ oczywiście! W skarbie pustki... Na zapłacenie zaległego żołdu najdostojniejszy basileus (oby Bóg błogosławił jego dni!) musiał zastawić klejnoty koronne...

— Ustawicznie słyszę o tej biedzie, ale patrząc na miasto, uwierzyć w nią nie mogę. Tyle bogactwa wszędy! Pałace waszych wielmożów pełne złota! Na targowisku przelewa się co dzień majątek całego świata!

— Cóż stąd? — westchnął Frances. Był zmęczony. Zmęczony szybkim chodem, do którego nie przywykł, zmęczony pytaniami. Odpowiadał tonem podobnym do głosu akolity Bazylego, gdy ten mówił o zbudowaniu zamku przez sułtana Muhammeda — tonem człowieka, który nie jest odpowiedzialny za istniejący stan rzeczy, bo go już takim zastał, nie uważa go za dobry, ale nie czuje w sobie siły, by cokolwiek zmienić.

— Cóż stąd? — powtórzył. — Miasto jest istotnie najbogatsze w świecie, ale to skarbu cesarskiego nie zasili... Nasi wielmoże nie dadzą nic basileusowi, obawiając się, że podnosząc jego władzę działaliby na własną szkodę... Targowiska zaś, będące rzeczywiście źródłem nieprzebranego majątku, są wszystkie dzierżawione Italczykom. Wszelkie dochody z ceł, myta, opłaty za kramy należą do nich...

— No to zerwać dzierżawy!

Wielki logoteta spojrział na mówiącego jak na szaleńca.

15

— W jaki sposób Wasza Dostojność? Italczyki nigdy by się na to nie zgodzili...

— Po co ich pytać? I Zerwać po prostu. Państwo zagrożone, interes państwa tego wymaga, i koniec!

Frances potrząsnął głową.

— Podobna uchwała nigdy by nie przeszła na zgromadzeniu proedrosów. Italczyki są wszędzie, piastują znakomite stanowiska...

— Rozumiem — warknął kardynał — rozumiem... Jeden z tych dwu doskonałych opiekunów murów także Italczyk, o ile zauważyłem?... Jak mogliście dopuścić do takiego stanu rzeczy? I Czy nie zdajecie sobie sprawy, czym to grozi?...

— Oni są od naszych znacznie sprytniejsi, chciwi, bardziej przedsiębiorczy — objaśniał z rosnącym znużeniem Frances — a grozy osobliwej w tym nie widzę...

— Uwidzicie ją aż nadto rychło... Choć jestem Słowianinem z rodu, kocham Italię... Czuję się w Rzymie jak w domu... Przeto nie jakaś niechęć dyktuje mi podobne słowa... Ale znam straszliwe samolubstwo genueńskich i weneckich kupców... Rodzone dziecko zaprzedałoby dla zysku, a cóż dopiero obcych? Myślicie, że będą was bronić, gdy ostateczne niebezpieczeństwo nadejdzie? I Ze poczują się do jakichkolwiek obowiązków w stosunku do drugiej ojczyzny?! Z pewnością nie! Bezpieczni za murami Galaty, niewątpliwie lepiej utrzymywanymi niż te, zawrą osobny pokój z sułtanem i raczej mu pomogą w szybkim zdobyciu Bizancjum, niż przeszkodzą! Bo w interesie kupców nie leży długa wojna, która niszczy rynki zbytu...

— Wasza Dostojność obraża tymi słowami naszych przyjaciół Italczyków — odparł sucho Frances — tak nie postąpią na pewno... Giovanni Giustiniani, na przykład, to rycerz prawości nieposzlakowanej...

— Daj Boże, abym się mylił — rzekł kardynał. — O Giustinianim sam słyszałem najkorzystniej, ale to ogólnego położenia nie zmienia... Jedna jaskółka nie czyni wiosny... Wracaj-

16

my do początku naszej rozmowy. Więc nie ma pieniędzy na naprawę, murów?...

— Nie ma i brak nadziei, by wpłynęły skądkolwiek...

— Dam wam sześćdziesiąt tysięcy talarów z mojej osobistej szkatuły, ale z surowym zastrzeżeniem, że pieniądze te nie śmiały być użyte na co innego, jak na natychmiastową porządną naprawę...

Frances cofnął się o krok z radosnego zdumienia i zapomniał o zmęczeniu.

— Wasza Dostojność... — wybąkał — Bóg to wynagrodzi...

— Dobrze... Dobrze... jutro możecie zgłosić się u mnie po pieniądze... Tylko powtarzam: żeby mi nie zostały użyte na co innego...

-- O... Wasza Dostojność raczy być spokojna... Co za niespodziewane szczęście. Podzielę się tą wiadomością co szybciej z najdostojniejszym panem...

— Czekałam... czekałam... trafem dowiedziałam się, że ojciec nie przyjdzie, bo wybrał sobie mury na miejsce przechadzki... byłabym mogła czekać do wieczora... Czy tak się godzi?... — narzekała Damara, nadstawiając ojcu czoło do pocałunku.

— Nie godzi się, ale musisz wybaczyć, moja ślicznotko... Wierzaj mi, że wolałbym z tobą patrzeć na gonitwy zamiast wędrować po upale i kamieniach... Jestem śmiertelnie zmęczony...

— Wyobrażam sobie! I po co było tam chodzić? Pomysł godny rzymskiego legata! Po co? O ile wiem, po murach wędrują tylko zakochani oglądać zachód słońca albo wschód księżycy...

— Okazuje się, iż szkoda, że nie chodzi nikt inny... mury są strasznie zniszczone... ażem się zdumiał... Od kardynała musiałem w związku z tym wysłuchać wielu nieprzyjemnych rzeczy.

— Jak to?! Śmiał mówić nieprzyjemne rzeczy tobie, ojczy?

Puszkarz Orbano 2

17

— Nie mnie osobiście... ogólnie... 1 bodaj że miał wiele słuszności... Bodaj... Ale wiesz, co zrobił na koniec?! Nigdy-byś nie zgadła...

— Chciał cię strącić z muru na dół? To by było do niego podobne...

•— Bynajmniej. Nie sądź go po szorstkich ruchach... Usłyszawszy, że w skarbie nie ma pieniędzy na naprawę murów, ofiarował sam od siebie sześćdziesiąt tysięcy talarów...

— Niemożliwe!

— Ale prawdziwe. Sześćdziesiąt tysięcy... Rozumiesz?... Obcy człowiek... A u naszych nie można wyprosić bodaj talara... Boże! Gdyby nasi podobnie... gdyby nasi... Więc gonitwy były piękne?...

— Cudowne! — zawołała z ożywieniem. — Ten Cyprianus był boski... Wziął cztery nagrody... Co za spokój, co za siła!... W pełnym pędzie najeżdżał na zakręt, jednym ruchem osadzał konie, aż darły ziemię zadami, przewrócił je przez połowę krzywizny i puszczał ponownie z nagła. Co za umiejętność! Rzucali się do biegu jak wystrzelone z bombardy *... Był ciągle pierwszy... Oklaskiwaliśmy go jak szaleni... Kleon powiadał, że należałby mu się tryumf, jaki niegdyś czyniono zwycięzcom... Myślę, że ma słuszość... Nie dałoby się zrobić tego, ojczcze?

— Przypuszczam, że nie... Tryumf — wielkie słowo... Należał się tylko zwycięzcy nad wrogiem ojczyzny...

— Phi... to było kiedyś, dawniej, kiedyście mieli pół świata... Kiedy najdostojniejsi ciągle z kimś walczyli, kogoś zwyciężali... Teraz, Bogu dzięki, są spokojne czasy i wystarczyłoby nam zupełnie tryumf dla Cyprianusa, zawodnika...

— Nie mów, Damaro „Bogu dzięki”... — zauważył głucho Frances.

WYNALAZCA

puściwszy z zalem poblizze Hippo-dromu Demetrius i Mario poczuli natarczywy, przynaglający głód i zawrócili ku domom. Droga wiodła przez plac targowy Tauros, gdzie można było widzieć równocześnie wszystkie produkty Europy, Azji, Afryki, Północy, Południa, Wschodu i Zachodu i gdzie słyszało się wszystkie języki ówczesnego świata. Nigdzie bowiem na kuli ziemskiej nie było takiego punktu handlowego jak Konstantynopol i kardynał słusznie mówił, że codziennie przelewało się tutaj bogactwo całej ludzkości. Choć widok ten był im znany od dziecka, chłopcy stracili tu ponownie nieco czasu i gdy nareszcie skręcili każdy do siebie, stwierdzili z niepokojem, że słońce zniżyło się znacznie. Oj, do licha... jak przyjmą matki tę zbyt długą nieobecność?

Z najwyższą radością Mario dostrzegł przed sobą zgarbioną postać starego Antonia, wracającego do domu i dogoniwszy bez trudu, uwiesił się u jego dłoni. Teraz był spokojny. Widząc, że towarzyszył chrzestnemu, matka mu słowa nie powie...

— Dotąd trzymał nas legat na murach — narzekał stary, nieświadomy przyczyny czułości chrzestniaka. — Co za czło-

2*

19

wiek. Szlachetny Anagnostes cały czas szedł ze mną naprzód, mówiąc, że nie znosi jego widoku... Bardzo podobno natrętny i wglądający w nie swoje sprawy...

. — Wejdźcie chrzestny na chwilę do domu — zapraszał żarliwie Mario — matka będzie rada...

— Przyjdę chętnie, ale dopiero za chwilę, bo jeszcze muszę tu zajść...

Uspokojony Mario wszedł do domu. Greckim zwyczajem dom ten nie posiadał okien od ulicy, tylko ozdobnie kute i rzeźbione wejście. W środku domu znajdował się odkryty, płytkami kamiennymi wykładany dziedziniec, na który wychodziły wszystkie izby mieszkania. Na odgłos otwieranych drzwi, z kuchni wyrzała Łucja Orbano. Uśmiechnęła się do swego pierworodnego oczami, każdą zmarszczką zmęczonej, przedwcześnie postarzałej twarzy.

— Gdzieś był tak długo? — zapytała karcącym głosem, nie licującym z uśmiechem.

— Byłem z chrzestnym na murach... Chrzestny za chwilę tu przyjdzie. Jest bardzo zmęczony. Sądzę, że napiłby się chętnie wina. Na murach byli też legat rzymski i wielki logo-teta i akolita... — wyrzucił Mario jednym tchem.

— Bój się Boga, chłopcze! A cóż oni tam robili!

— Chrzestny zaraz przyjdzie, to opowie... Dasz mi co zjeść, matusiu?...

— Ależ dam, dam... Ojciec na szczęście nie pytał wcale

0 ciebie... Zdaje się, że nie zauważył, że cię nie ma cały dzień... Jak usiadł rano nad tymi swymi papierami, tak siedzi dotąd... Święci Patronowie! Zmiłujcie się nad nami!

Mario usiadł w kuchni na podłodze i chciwie jadł polewkę z koziego mleka i rybę smażoną w oliwie. Nasyciwszy głód zajął ostrożnie do głównej izby, w której siedział ojciec. Duży stół pokryty był jak zwykle mnóstwem papierów, cyrkli, piór, wykresów. Na wąskich skrawkach widniały szeregi cyfr. Giuseppe Orbano siedział nad tym wszystkim pochylony

1 mrucał nieustannie coś sam do siebie. Chwilami potrząsał głową z dość nieprzytomnym wyrazem twarzy. Cyrkiel upadł

20

mu na ziemię. Mario podbiegł, podał i Orbano teraz dopiero zauważył chłopca.

— A jesteś... Zdaje się, że cię dzisiaj jeszcze nie widziałem... Powiedziałbym ci coś, ale nie zrozumiesz... Jestem bardzo szczęśliwy... Gdzieś był?

— Chodziłem z chrzestnym po murach...

— Z Antoniem?! Gdzie on? Właśnie o nim myślałem... Chcę go zobaczyć... Wołaj go!...

Zadowolony Mario wybiegł przed dom. Po drodze chwyciła go matka.

— Co ojciec mówił? — zapytała szeptem.

— Ze jest szczęśliwy i żeby wołać chrzestnego.

— No to idź, idź...

Cofnęła się do siebie wzdychając. Prawdę mówili sąsiedzi, że w głowie Giuseppa Orbano, puszkarza, coś się psuje, psuje, psuje... Zmiłuj się, Panno Najświętsza!

Antonio właśnie nadchodził. Posłyszawszy wezwanie uśmiechnął się pobłażliwie.

— Domyślam się, o co idzie... Sławetna bombardarda, z której będziemy strzelali na księżyc...

Orbano rozpromienił się na widok wchodzącego, aż jego chuda, nieustannymi drgawkami wstrząsana twarz stała się młodszą, przyjemniejszą.

— Witajcie w dobrą godzinę — rzekł uroczyście. — Łucjo, daj wina, jakie masz najlepsze... Ukończyłem moją pracę...

— Waszą bombardę? — zapytał Antonio z tym samym pobłażliwie uprzejmym uśmiechem.

Orbano nie zwrócił uwagi na ton głosu przyjaciela.

— Właśnie! — wykrzyknął. — Bombardę! Wykończyłem wszystkie plany do najdrobniejszych szczegółów...

Wszystko się zgadza. Nie może zachodzić żadna omyłka... Siadajcie tu i patrzcie: to jest rysunek boczny... Cielsko musi być odlane z przedniego brązu... W największym miejscu będzie miało dziewięć stóp obwodu... Kule toczony z marmuru czarnego albo granitu... Waga kuli nie mniej tysiąca dwustu

21

funtów... Długość strzału do dwóch mil... Na milę odległości podejmuję się rozwalić najgrubszy mur...

Antonio położył mówiącemu dłoń na ramieniu.

— Giuseppe — rzekł łagodnie — pohamuj się. Mówisz rzeczy niemożliwe. Dwie mile!... Ależ w to i dziecko nie uwierzy! Na pięćdziesiąt kroków armata nie sprawi tyle co taran lub kamień porządnie rzucony z dobrej katapulty, a ty prawisz

0 milach?! Proch, wiadomo... Przyczynia huku, dymu... Dobry, by ogień w mieście zaproszyć, mieszkańców postraszyć... jazdę napędzić, łódź zatopić... ale nie mury nim burzyć! Toż to dym tylko i wiatr!

— Ale ten dym i wiatr są silniejsze nad wszystko! — zakrzyknął Orbano. — Obaczysz! Byłem mógł ją odlać... Wykonać... Obaczysz! Tu siła wybuchu będzie zestokrotniona, sprężona, ściśnięta, a przeto dojdzie do straszliwej mocy... Patrzaj, że lufa jest zwężona na końcu... Tego nikt jeszcze nie zastosował... A to wzmacnia chyżość... A chyżość wzmacnia siłę uderzenia... Obaczysz... Dziesięć lat nad tym siedziałem... Nareszcie! Obaczysz... To całkiem nowa broń... Nowa, straszliwa broń... Kto mi umożliwi odlanie jej, stanie się panem świata... Nikt mu się nie oprze... Żadne mury przy nim nie ostoją... Skończone szturmowanie z włożeniem po drabinach, miotaniem na głowy kamieni czy wrzątku... Bombarda sama rozwali mury

1 zwycięzca wejdzie przez wyłom jak w otwartą bramę... Obaczysz! Jeżeli basileus zgodzi się, będzie mógł stąd, z miasta, w przeciągu paru dni zniszczyć Rumeli-Hissar, przeklęty zamek sułtana!

Antonio patrzył z niepokojem na mówiącego.

— Spokojnie, spokojnie — przedkładał. — Mówmy rozsądnie... Hm... Hm... sroga machina... Istny smok... Ale jak ją odlejesz?... W jakiej formie?... Gdzie stopisz taką olbrzymią ilość brązu?... Jak

go wlejesz do formy?... Przypuśćmy nawet, że twoja bombardiera niosłaby na mile, jak twierdzisz, lecz wykonanie jej jest niemożliwe... Tak samo mógłbyś opracować plany wieży sięgającej nieba... Na papierze obliczyć można wszystko, ale w rzeczywistości...

zz

— Nie bój się — przerwał Orbano. — Wszystko już jest przemyślane po stokroć razy. Nie sprawi żadnej trudności... Byle dostać środki... Wiem, jaki piec jest potrzebny i jak zrobić i napełnić formę... Obaczycie niezadługo... Och, żebym się mógł tylko do basileusa dostać!

— Oszalałeś! Do najdostojniejszego cesarza! Wątpię, czy uda ci się dostać do wielkiego drongariosa Notarasa, a cóż dopiero do basileusa. Myślisz, że to tak łatwo?!

— Nie znasz kogo u dworu? — spytał błagalnie Orbano.

— Znam dobrze szlachetnego Anagnostesa, który ma urząd akolity — odpowiedział nie bez pychy Antonio — dziś właśnie na wałach rozmawialiśmy parę godzin, idąc samodwa...

Orbano złożył ręce modlitewnie.

— O, na Boga, pomóżcie mi! — zawołał. — Życiem całym się odwdzięczę... Dłużnikiem do śmierci będę, ale pomóżcie mi pogadać z kimś rozumnym... Dziesięć lat... Dziesięć lat... Nareszcie móc to wykonać! Cała sztuka wojowania weszłaby na nową drogę... Najpotężniejsze twierdze staną się nieużyteczną a kosztowną zabawką. Stracą znaczenie... Obaczyciel...

Antonio potrząsnął głową niechętnie.

— Będę mówił z akolitą — rzekł — ale jeśli mi obiecasz, że tych... tych niemożliwości nie będziesz tykać... Ani wspominać o nich... Że chcesz wybudować wielką bombardę lepszą jak dotychczas, i tyle.

— Dlaczego?! — zdumiał się Orbano.

— Dłaboga, dlatego, że nikt nie uwierzy. Ośmieszysz się i nic więcej...

— Ośmieszylbym się nie powiadając całej prawdy! Bo to jest prawda, prawda i każdy człowiek co nieco na tym się znający, musi ją znać. Prawda! Prawda, za którą rękę, za którą mogę dać głowę! Moje działo rozbije każdy mur. Zapomniałem powiedzieć ci jeszcze o jednym... Ten przyrząd tutaj, patrz, to celownik... Też przeze mnie wymyślony... Dzięki niemu możesz zawsze trafić tam, gdzie chcesz... Gdy raz nastawisz próbnym strzałem, będziesz już walił bez zmiany

23

w to samo miejsce, nie tak jak obecne armaty, gdzie każdy nabój w inną stronę leci...

— Powiadam raz jeszcze, nie opowiadaj tych dziwów, bo przegrasz sprawę... — powtórzył z naciskiem Antonio.

Orbano bębnił niespokojnie palcami po stole.

— Nie mogę zamilczeć o tym, co jest mojego pomysłu najważniejszą zaletą — wybuchnął — nie mogę!

— Jak chcesz, ja ostrzegałem...

— Nie pomożesz mi dostać się do akolity? — dopytywał Orbano błagalnie.

— Pomogę, jeno że z tego...

Machnął ręką i wyszedł na dziedziniec, pogrążony w fiołkowych blaskach zachodu. Łucja przygotowała już tam wino i poczęstunek. Stary z ulgą usiadł na niskiej ławie obok niej.

— Bardzo podniecony — zauważył wskazując głową w kierunku pracowni gospodarza — chce się dostać ze swoimi planami do logotesionu... Obiecałem ułatwić mu to przez akolitę Bazylego.

— Bóg wam zapłać — szepnęła z wdzięcznością.

Spojrzał na nią bystro małymi, przenikliwymi oczkami.

— Obiecałem i dotrzymam, a wiecie dlaczego? Bo mniemam, że gdy mu tam powiedzą, jako w jego wynalazkach sensu za grosz nie ma, uwierzy wreszcie i ocknie się z tych majaczeń... My co byśmy nie mówili, nie słucha... Ale skoro tam zawyrokują to samo...

— Myślicie, że to pomoże? — zapytała z żarliwą nadzieją.

— Spodziewam się, że pomoże.

— Bo ja się czasem tak boję... tak boję... — szepnęła z rozpaczą, ukrywając w dłoniach przedwcześnie postarzałą twarz. Antonio Donino patrzył na nią ze współczuciem.

SMIESZNY CZŁOWIEK

komnacie, nazywanej Mniejszą Mozaikową, basileus Konstanty Dragazes rozmawiał z kardynałem Izydorem. Byli sami. Tylko dwóch biało odzianych niewolników-pacholąt klęczało z boku, czekając kornie rozkazów, a przy drzwiach stała warta w srebrzystych pancerzach. Sala na pozór wspaniała odpowiadała panującemu jeszcze powszechnie pojęciu o bogactwie i świetności Bizancjum, po bliższym obejrzeniu jednak rzucało się w oczy jej opuszczenie. Snadź od długich lat nikt tu nic nie poprawiał, nie podtrzymywał. Cudowne mozaiki niszczyła dołem wilgoć, podsiąkająca pod mury, że łuszczyły się i wyginały, drogocenne opony spłwiałały. A wszakże pałac Bla-kernos był najlepiej zachowany ze wszystkich pałaców cesarskich. Największy i najświetniejszy, a zarazem najstarszy z nich, stanowiący sam w sobie istne miasto, Święty Pałac, nie nadawał się już do mieszkania w ogóle. Szczury harcowały spokojnie wśród komnat, głośnych w historii, a uważanych za cuda świata. Podobnie chyliły się ku upadkowi Bukoleon i Pentapyrgion. Jedyne pałac Blakernos utrzymywany był o tyle o ile w porządku.

Basileus Konstanty Dragazes, dwunasty tego imienia, siód-

25

my i ostatni z rodu Paleologów, panował od dwu lat zaledwie, choć wiekiem zbliżał się do pięćdziesiątki.

Twarz miał poważną, pełną energii, szpakowate włosy. W głosie brzmiała szczerść, gdy dziękował kardynałowi za okazaną wspinałomyślnie pomoc.

— Nie ma o czym mówić — odpowiadał porywczo jak zwykle kardynał. — Każdy na moim miejscu zrobiłby to samo... Mur opasujący Bizancjum jest murem strzegącym chrześcijaństwa, grzech patrzeć beczynn timer, jak wali się, rozpada, kruszeje... Gdzie laską tknąć, kamienie lecą...

— Wiem o tym, ale zaradzić nie mogę... Gorzkie otrzymałem dziedzictwo, ciężkie brzemie... Bodajem był skonał, zanim mi przypało I Ja, pierwszy z basileusów nie koronowany, bom nie chciał ostatnich groszy ze skarbca wydawać na koronację, chowając je na ostateczną potrzebę... I dobrzem zrobił. Wojsku żołd nimi wypłaciłem, gdy Muhammed stał pod miastem... Dobrzem zrobił, choć niechętni biorą stąd podstawę do nieuznawania mnie za prawego pana... Trudno. Pomoc Waszej Dostojności przyjmuję z wdzięcznością jak nędzarz jałmużnę. Bóg niech ją stokrotnie wynagrodzi.

— Słaba pomoc, ale na większą mnie nie stać. Położenie zaś obecne w Europie jest, jak wam wiadomo, Najdostojniejszy Panie, takie, że trudno liczyć na sukurs panów chrześcijańskich. Ojciec św. robi, co może, ale klęska warneńska wstrzymała na dłuższy czas wszelkie wspólne działania.

— Tak... Warna... Przeklęta Warna! Żałosnej pamięci poleł Gdyby Władysław Jagiellon żył, inaczej by wszystko dzisiaj wyglądało... To był orzeł...

— Dlaczego nie miałby być również orłem Konstany?...

Cesarz z westchnieniem zaprzeczył żywo ręką.

— Och, niel Zresztą tutaj nie orzeł potrzebny, ale czarodziej. Czarodziej, który potrafiłby przemienić serca moich poddanych i natchnąć ich chęcią obrony swojego kraju...

— Właśnie! — ożywił się kardynał. — O tym jeszcze chciałem z wami pomówić, Najdosto jnieszy Panie. Dlaczego opieracie się wyłącznie na kosztownych wojskach najemnych, za-

26

miast powołać swoich... W tym wielkim mieście dałoby się przecież zebrać kilka tęgich hufców?...

Konstany uśmiechnął się gorzko.

— Z tego wielkiego grodu — rzekł — nie wiem, zali zdołałbym zebrać dwie roty... Nasi ludzie zapomnieli walczyć, nie trudniąc się bronią od wieków. Za dobrze im się działa... Dzisiaj wszystko ich raczej zajmuje niż bezpieczeństwo miasta... Nadmiar przyjemności, wygód, zbytku zabił w nich instynkt obrony, właściwy każdemu prostakowi i barbarzyńcy. Wojna jest ciężka, okropna i naszym piękniom zdaje się niemożliwością narażać się na jej trudy, brak łaźni, obozowe pożywienie... Walczą z niezrównaną wytrwałością o nagrodę na bieźni, lecz nie potrafią walczyć za własną ojczyznę... Od kilkuset lat przyrykli, że do obrony są najemne wojska, że się zrodzili wolni od daniny krwi...

— Czyż doraźne niebezpieczeństwo nie otworzy oczu tym chłystkom?

— Tak myślą nie same chłystki, młodzież, ale i wszyscy starsi... A co do niebezpieczeństwa, sam myślałem, iż będzie to może zbawiennym wstrząśnieniem... Okazało się, że nie... Rumeli-Hissar,

zamek Muhammeda bezprawnie na naszej ziemi zbudowany, widny zewsząd, stoi jak pięść wzniesiona, grożąca miastu, i nic! Nikt się już tym nie przejmuje! A że z Boską pomocą udało nam się ostatnio odepchnąć Muhammeda spod murów, co prawda głównie dlatego, że miał równocześnie walkę z czterema nieprzyjaciółmi na tyłach i nie mógł wszystkich sił zwrócić przeciw nam — dufność powszechna się wzmogła. Tych murów nikt nie zdobędzie — powiadają. Mury zaś kruszeją, jak to Wasza Dostojność naocznie stwierdził... Zresztą żadne mury nie obronią bez załogi... Flota, co była niegdyś podstawą naszej potęgi, dziś tak jakby nie istniała. Od czasów Michała Paleologa, chwalebnej pamięci, nie przybył ani jeden okręt! Te, które jeszcze są, to stare, niedołożne gruchoty nie na wiele zdatne.

— Ciężkie dziedzictwo istotnie — przyznał kardynał — nie wierzę jednak, aby wszyscy mieszkańcy miasta spodleli do

tyła, by spokojnie patrzeć na zgubę ojczyzny, klęskę chrześcijaństwa i własną sromotną niewolę... Trzeba im krzyknąć o tym, powtarzać...

— Toż nic innego nie robię! Dlatego mało który basileus był tak zniechęcony jak ja... Złowróbnny kruk... Stracho-put... Przepowiadacz zła... Tak mnie nazywa ulica... Wiem dobrze... To plebs... Patrycjusze zaś naśmiewają się ze mnie, bom biedniejszy od nich i nic nie mam do rozdania... Przekonają się, oby nie za szybko, żem nie był złowróbnym krukiem na darmo, ale już będzie za późno...

Umilkł, wpatrzony posępnie we własne ciżmy cesarskie, purpurowe z wyszytymi złotymi orłami.

— Gdyby nie ten stan ducha moich rodaków-poddanych — podjął po chwili — patrzyłbym z otuchą w przyszłość. Jesteśmy wprawdzie zamknięci w mieście, którego granice są zarazem granicami państwa, ale kilkakrotnie już tak było, a potem nastąpił nowy rozrost... Za Romana Lekapenosa, za Symeona nic krom miasta nie zostało z posiadłości europejskich... Za Heraklidów i Komnenów tyleż tylko z posiadłości azjatyckich... Jednakże cesarstwo odradzało się cudownie, jeszcze większe, wspanialsze, jeszcze potężniejsze... Dopóki istnieje to święte miasto, odwieczny gród, strzeżony przez Boga, granice nasze mogą sięgnąć ponownie po Dunaj, Eufrat lub Jordan... Jednego na to trzeba: zbiorowego wysiłku woli mieszkańców. Nie nastąpi zmartwychwstanie bez poczucia potrzeby odnowy... Bez pragnienia gruntownej przemiany...

— Nie wolno do ostatniej chwili tracić nadziei, że się pragnienie obudzi...

— Gdybym tej nadziei mimo wszystko nie miał, dawno bym odszedł! Nie dla rozkoszy ostaję! Lepsze życie najlichszego niewolnika niż moje, cesarza greckiego, autokratora *, który jest hołdownikiem sułtana.

Urwał, znowu przeżuając swą bezsilną gorycz.

— Hołdownik sułtana! Ja, dziedzic Konstantyna Wielkiego, przedstawiciel najstarszego mocarstwa chrześcijańskiego... Basileus Filochristos * klękający, tak, klękający przed sułtanem

28

na równi z kniaziami ruskimi, z kniaziami Moskwy, Tweru i Riazania... Zresztą czymże jest ich upokorzenie wobec mojego! Czym ich niebezpieczeństwo a moje? Sułtan niczego nie chce od nich

prócz tego hołdu... Nie wzdycha Muhammed do posiadania ich nędznych lepianek, ubogich sprzętów, surowych, dzikich puszc... Podczas gdy Konstantynopol! Miasto najpiękniejsze, najgłośniejsze w świecie. Dopiero gdy na tym grodzie półksiężyc strąci znak krzyża, muzułmanie * poczną się zaspokojeni... Zdobyć Bizancjum jest ich nieustanną żądzą, przedmiotem wszystkich myśli i pragnień sułtana... Pragnienie zaś sułtana jest rozkazem dla każdego muzułmanina... Toteż Muhammed może urzeczywistniać swoje marzenia, gdy ja — nic im przeciwstawić nie mogę...

Zamilkł, bo marszałek dworu wszedł kłaniając się nisko, do ziemi.

— Jego dostojność wielki drongarios armii pragnie stanąć przed obliczem twoim, Najdostojniejszy, Najpobożniejszy Panie, oby Bóg błogosławił twoje dni.

— Rad go zobaczę — odpowiedział cesarz.

Przybrał sztywny wyraz twarzy, nieruchomą postawę. Lucius Notaras już wchodził. Pokłonił się nisko przed najdostojniejszym, lekceważąc przed kardynałem, którego nie znosił. Był piękny, postawny, świetny. Cesarz z pośpiechem zezwolił mu usiąść, w obawie, że zuchwały krewniak sam to uczyni nie czekając na upoważnienie.

— Obawiam się, że przerwałem ponure rozważania — zaczął Lucius swobodnie — ale, na św. męczenników, dobrze jest czasem rozweselić się w smutku. Pragnąc rozjaśnić lica mego Najdostojniejszego Pana, chciałbym, o ile zezwoli, przyprowadzić tu pewnego wynalazcę, którego Bazyl Anagnostes zwał mi na kark. Na św. Teodora Stratilatosa Przedni wesolek. Uśmiejesz się, Najdostojniejszy mój Panie i Bracie...

Nie czekając na odpowiedź Konstantego dał znak jednemu z pokojowców. Po chwili wprowadzono puszkarza Orbano. Wyglądał dość pociesznie, strwożony, przejęty i szczęśliwy

29

zarazem. Drżącymi rękami przyciskał do piersi wąską, miedzianą tuleję, w której mieściły się plany.

— Otóż genialny wynalazca, znakomity mędrzec Zachodu — rzekł przesadnie Lucius, błyskając okiem złośliwie w stronę kardynała — chce was, Najdostojniejszy Panie, oby Bóg błogosławił twoje dni, prosić o pieniądze na odlanie bombardy tak wielkiej, że zestrzelimy nią miesiąc, który spadnie w morze, a muzułmanie pozbawieni swego znaku wyc będą jak psy i powściekają się, nas od siebie uwalniając...

Nie zważając na kpiny Orbano padł do nóg cesarzowi, tłukąc głową o posadzkę.

— Miłościwy Panie! — zawołał. — Nie bierzcie mnie za szaleńca! Przynoszę i składam przed majestatem pracę mojego życia, pracę dziesięciu lat... Jestem puszkarzem... Mam pomysł bombardy, która nie zestrzeli miesiąca, lecz o dwie mile poniesie pocisk blisko półtora tysiąca funtów ważący... W tej odległości zachowa jeszcze dość mocy, by rozwalić najtęższy mur... Raczcie spojrzeć na te plany... To nie mrzonki, jeno obliczenia ścisłe, oparte na niewzruszonym fundamencie cyfr...

— Na dwie mile?... — powtórzył cesarz z niedowierzaniem.

— Jeśli poniesie na dwie mile, to może śmiało ponieść i na księżyc, nie taka już wielka różnica... — wtrącił Notaras — czy nie mówiłem, że przedni wesolek? A koszt odlania obliczyłeś już, mądralo?...

— Tak jest — odparł z pośpiechem Orbano nie powstając z klęczek — oto rachunek dokładny. Wyszczególniłem tu, wiele trzeba brązu i jaki ma być stop, wiele kamienia, żelaza, gliny na formy, konopi i innych rzeczy... I ludzi... Za swoją pracę nie chcę nic... nic... żadnego wynagrodzenia... Sam wszystko zrobię za darmo, byle widzieć ten plan wykonany... Całkowity koszt ze wszystkim wyniesie czterysta tysięcy talarów.

Teraz roześmieli się wszyscy trzej, nawet basileus. Najgłośniej śmiał się Notaras. Orbano zagryzł wargi bliski płaczu.

— Miłościwy Panie I — zakrzyknął z »taką rozpaczą w głosie, że Konstanty spowaźniał i spojrzał na niego uważniej.

i

30

— Dawno pracujesz nad tym pomysłem? — zapytał.

— Przeszło dziesięć lat, Miłościwy Panie, i...

— W ciągu tego czasu nie przedstawiałeś go nikomu?

— Owszem, Miłościwy Panie. Pokazywałem szlachetnemu doży * Wenecji i podeście Genui... Ale wtedy nie było to jeszcze należycie opracowane i wykończone...

— Jakże je przyjęli?

Ciemny rumieniec gniewu i wstydu oblał żółtą twarz pusz-karza.

— Trzymali mnie za szaleńca — wyznał.

— Dlaczego przypuszczałeś, że ja będę innego zdania?

— Bo tu ludzie są rozumniejsi, uczeńsi! Miłościwy Panie I Przywykliśmy uważać Bizancjum za siedlisko wiedzy, nauki I Sądziłem, że tu nareszcie znajdę powolne ucho, co uwierzy, że nie cygan, nie łgarz, nie półgłówek, że znajdę kogoś, co się zaciekawi moim wynalazkiem. To, co składam przed wami, Miłościwy Panie, to broń straszliwa, która stanie się potęgą tego, co ją zechce wykonać! Pozwoli mu ujarzmić świat! Ręczę za to! Jestem pewny.

— Aż tak? Jakąż dajesz rękojmię?

— Głowę dam! — wykrzyknął Orbano z zapalem. — Głowę swoją, głowy moich dzieci, mojej żony... Jeżeli moje plany okażą się mylne, jeżeli bombardą nie odpowie moim zapewnieniom, możesz nas wszystkich, Miłościwy Panie, żywopalić, na męki brać. Całą rodzinę moją w zastaw daję. Będą twoimi więźniami...

— Mogą żyć spokojnie na razie — uśmiechnął się Konstanty — bo z pomysłu twego korzystać nie będę...

Orbano zachwiał się jak uderzony.

- Nie chcecie, Miłościwy Panie — wybąkał — nie chcecie? Dlaczego?
- Jestem tego samego zdania, co szlachetny doża...

Nie dokończył, bo Orbano wbrew wszelkiej etykiecie porwał się z miejsca, zgarnął oburącz papiery i wybiegł z sali jak oparzony, przeprowadzony zgorszonymi spojrzeniami po-kojowców i warty.

31

Pozostali w komnacie śmieli się w głos.

- Czteryście tysięcy mu się zachciewa — huczał Notaras — ładny ptaszek!
- Na mnie nie zrobił wrażenia wydrwigrosza — zaprzeczył Konstanty — czuło się w nim przekonanie.
- I obłąkanie...
- O tak, obłąkanie widoczne od razu... To spojrzenie, to drżenie rąk...
- No i ten pomysł działo niosące dwie mile!... Bardzo śmieszny człowieczyzna!...

„Oczywisty obłąkaniec” biegł nieprzytomny przez miasto. Gdy wpadł do domu, żona krzyknęła z przerażenia na widok jego zmienionej twarzy.

- Śmieli się! Śmieli się wszyscy! Mówili: przedni wesolek... — mrucał ochryple siadając ciężko na ławie.
- Kto się śmiał? Z czego?
- Ze mnie... Ze mnie... Sam cesarz... I kardynał... i dronga-rios... Śmieli się... Z mojej pracy...

Odetchnęła uspokojona. Więc stało się to, co Antonio przepowiadał.

- Widzisz — zaczęła ostrożnie, pouczająco — widzisz, wszyscy się śmieją... Kto wie, może mają słuszność?... Przecież to najrozumniejsi ludzie w cesarstwie. Sam cesarz?! I oni To dowód, że nie ma przy czym się upierać... Ostaw te plany i pracuj po dawnemu jak puzkarz w warsztatach...
- Nie ostawię! — wybuchnął w nagłym porywie pasji. — Nie ostawię. Co ty się na tym rozumiesz, kobieto!? Co się rozumiesz! Cesarz, kardynał, drongarios... to wszystko głupcy. Słyszysz, głupcy!
- Cicho, na miłosierdzie boskie! — błagała przerażona zamykając drzwi.
- Nie będę cicho! To, co im przyniosłem, może spowodować przemianę, rozumiesz, przemianę całego świata... Całkiem nowy świat może nastać, a wy wszyscy ustawicznie myślicie

32

£>o staremu, jakby od tysiąca lat nic się nie zmieniło! Tylko co stare, to według was dobre i mądre.

- Zawszy tak wszyscy powiadają... — zauważyła nieśmiało.

— Zle gadają! Głupio! Ślepo! Pod oczy im podtykaj oczywistość, nie wierzą, bo to nowe! Bo jeszcze o tym nie słyszeli! Głupcy! Głupcy! Głupcy!

— Cicho, cicho... — prosiła już z płaczem. — Giuseppe, pohamuj się... Kochany... Przecież cesarz nie może być głupi... Grzech tak mówić... Skoro i on, i wszyscy... Ty jeden przeciw nim... Ostaw te pomysły... Przynajmniej na razie...

— Nie ostawię! — wrzasnęła. — Nie ostawię! Będę chodził po świecie, aż znajdę takiego, co mnie zrozumie. Znajdę, chociażbym do samego diabła miał pójść, jemu podarunek zrobić! Diabeł mnie oceni!...

— Milcz! Milcz! Nie bluźnij! — szlochała przerażona, żegnając się śpiesznie. — Pójdiesz, dokąd zechcesz... kiedy zechcesz... to się rozumie... ale teraz odpocznij... siądź... Jeść ci zaraz dam... ochłoniesz... och, jakiś ty zgrzany...

— Zostaw mnie — warknął, gdy chciała mu otrzeć pot z czoła — mam dość... Idę, idę... Usłyszycie kiedyś o mnie... Usłyszycie cały świat...

Zerwał się z miejsca, gorączkowo zwinął plany, wsunął do miedzianej puszkę, nacisnął czapkę na głowę i wybiegł z mieszkania. Lucja daremnie usiłowała go powstrzymać za kaftan.

— Mario — krzyknęła rozpaczliwie — biegnij za ojcem!... Żywo...

Chłopak wyskoczył z za węgła.

— Co się stało? Co rzec ojcu?...

— Zatrzymaj go! Uproś, żeby wracał. Żywo!...

Nie pytając dalej Mario puścił się za odchodzącym. Orbano szedł śpiesznie błędnym krokiem, machając rękami i gadając coś do siebie samego. Daremnie chłopiec zabiegał mu to z prawej, to z lewej, sięgał nieśmiało do rąk. Orbano nie zwracał nań żadnej uwagi, nie spostrzegał jego obecności

ano 3 o o

r

wcale. Nagle przystanął na środku drogi i, podniósłszy głowę do góry, począł się głośno śmiać. Mario pomyślał, że sąsiedzi twierdzący, iż ojciec zwariował, mają słuszność, i zdjął go lęk, jaki ogarnia zwykle wobec szalonego. Nie śmiał już zatem mówić i szedł ze spuszczoną głową koło ojca. Tak doszli do bramy, jednej z dwudziestu ośmiu bram miasta. Pod jej sklepieniem Orbano zatrzymał się i spojrzał zupełnie przytomnie na syna.

— Wracaj do domu, Mario — rzekł — pilnuj matki. Naj-starszyś... Będziesz jej opiekunem... Ja odchodzę... Nie wiem, czy wrócę... Bądź zdrow...

Nagłym ruchem przycisnął oburącz głowę chłopca do piersi, ucałował go, obrócił twarzą w stronę grodu, powtórzył rozkazująco: wracaj do matki! — i sam ruszył przed siebie.

Mario stał chwilę oszołomiony, niepewny, co ma począć. Gdy zdecydował się wrócić i opowiedział wszystko ze szczegółami, Lucja wybuchnęła płaczem. Młodsze rodzeństwo Maria, brat i siostra,

ryknęło również, nie wiedząc dobrze dlaczego. Sąsiadki zbiegły się, ciekawe zdarzenia. Zwabiony hałasem przyszedł i stary Donino, a będąc rozważnym i mądrym człowiekiem uspokajał matkę i dzieci, jak mógł.

— ... Już go więcej moje oczy nie ujrzą!... Na stracenie poszedł... — zawodziła Łucja.

— Na jakie stracenie? — oburzał się stary. — Nie dziecko chyba? Dzikich zwierząt tu nie ma pod grodem... Nic mu się nie może stać... Czy wziął ze sobą rzeczy, jedzenie?...

— Nic, nic, ino te przekłete papierzyska... Dawno myślałam, żeby mu je kiedy spalić... Nie spaliłam... Szkoda! Byłoby lepiej...

— Pieniądze miał?

— Skąd by ich wziął chudziaczek?

— Nie ma w takim razie nad czym lamentować. Nigdzie daleko nie zajdzie. Połazi trochę nad morzem, uspokoi się, ochłonie i przed wieczorem wróci niechybnie... Najpóźniej jutro rano... Obaczycie...

— Dałby Bóg — szepnęła przez łzy.

34

— Na pewno tak będzie — zaręczał Donino. — Gdy tylko przyjdzie, przyślijcie po mnie i medyka sprowadźcie, żeby mu krew puścił...

— Oj, sama myślałam, że trzeba było krew puścić wtedy, kiedy ino z pałacu wrócił, nie byłoby tego całego nieszczęścia.

—• Z pewnością. Puszczanie krwi najlepsza rzecz na afekta...

— Człowiek nie może o wszystkim pamiętać... zresztą i czasu nie było... Ledwo ze dwa pacierze posiedział i już go poniosło, niby złe...

— Ochłonie i wróci... Nie trapcie się... — powtarzał uparcie stary. Powtarzał wieczorem i nazajutrz rano, i trzeciego dnia, i czwartego, co prawda z coraz mniejszym przekonaniem, gdyż Orbano nie powrócił...

RUMELI — HISSAR

Lłówne siły sułtana Muhammeda II odeszły już częściowo do Albanii zmagać się z niepokonanym, nieugiętym Skanderbegiem — częścią do Tracji, gdzie również wszczynają się niepokoje. Choć pozostały zaledwie dwa pułki janczarów *, sułtan zwlekał z opuszczeniem okolic Bizancjum. Cofnięcie się od oblężenia uważał za porażkę, z którą żartoczna jego duma nie mogła się zgodzić. Dowódcy jego: zawzięty Saganos Pasza, gwałtowny Muhammed Kurani, Szeik Ak Kem Uddin pociągnęli już na nowe pole walki, on zaś pozostawał nie dbając, że Bizantyjczycy śmiałym wypadem mogliby go bez wielkiego trudu otoczyć w zamku i do niewoli wziąć.

— Ja bym tak uczynił, ale Grekom to nie przyjdzie do głowy... — zapewniał starego Khalila Paszę, zaufanego doradcę, gdy tyn przedstawiał niebezpieczeństwo przebywania tu w tak małej sile. —

Jutro wyjedziemy — obiecywał, i na razie pozostawał, z okien swego zamku patrząc gniewnie na kopułę Sw. Zofii, na nieprzeliczone wieże i dachy kościołów i pałaców bizantyjskich.

W zamku, który cesarz Konstanty porównywał do zaciśniętej pięści wzniesionej nad miastem, miała pozostać załoga

36

I

licząca nie więcej niż pięciuset ludzi, dostateczna jednak, by nie przepuścić przez Bosfor żadnego statku bez pozwolenia i pobrania sutego haraczu. Sam zamek o kształcie trójkąta i pięciu potężnych wieżach wznosił się na skale jak drapieżne orle gniazdo. Zwano go Rumeli-Hissar lub Bogaz Kesen, co znaczy: Zasadzka. Mury owej kamiennej zasadzki liczyły 22 stopy grubości, a mury wież 30 stóp. Wapno potrzebne do budowy przywieziono z Frygii, drzewo z borów Heraklei i Nikomedii, kamień z Anatolii. Prócz tego użyto do budowy materiał z trzech pięknych kościołów, wznoszących się na wybrzeżu, a rozebranych na rozkaz sułtana. Celem zamku była napaść, nie ozdoba. Musiał być warowny i niezdobny, nie musiał być piękny. Toteż w nagich, surowych komnatach darmo byłoby szukać kosztownych opon, wymyślnych sprzętów, złotej mozaiki. Wykwintu sułtan miał dość w swoich pałacach w Brus-sie i Adrianopolu, przez miłującego zbytek sułtana Amurata II zamienionych na baśń z tysiąca i jednej nocy. Tu czuł się tylko żołnierzem, sępem, zdobywcą.

Patrzył przez otwarte, pozbawione szyb okno na czarodziejskie miasto, przedmiot swej pożądlivosti, sypiał na twardym, drewnianym łożu, przykrytym końską skórą. I nie mógł zdecydować się stąd odejść. Bizancjum wciąż nie jest jego. Basileus, trup bez godności i władzy, jeszcze tam siedzi, jeszcze nie ustąpił! Znikczemniałe plemię greckie jeszcze się tam roi spokojnie! O kiedyż, kiedyż poczuje, że jest źdźbłem i prochem wobec Proroka i jego wyznawcy.

Odjazd naznaczony był na drugi dzień rano i sułtan czuł, że odwlekać go nie może. Rozkazy były wydane. Janczary do drogi gotowe. O świcie odejdzie, by niedługo wrócić... Na święte imię Allacha, by niedługo wrócić.

Zmierzch dawno już stał się nad ziemią, sułtan nieprzerwanie chodził po komnacie, chodził jeszcze, gdy noc nadeszła i cień pokrył wszystko. Ale w cieniu błyszcząły światła strażnicze i ognie na wieżach, gorzały wielkie latarnie, oświetlające wejście do portu, znacząc migocącymi błyskami granice miasta. Muhammed wysunął głowę przez okno rozdymając

37

f*

nozdrza. Jakże wielkie jest to upragnione miasto! Jak piękne i ogromne! Jedynie godne być siedzibą władcy świata. On jest najpotężniejszym władcą, a przeto musi być jego!...

Oderwał się od okna i znów chodził po komnacie. Na ścianie rysował się jego cień, wielki, pokraccny, zniekształcający smukłą, muskularną postać wojownika. Olbrzymi turban, którym Muhammed starał się ę odwyższyć swój niewielki wzrost, wyglądał, jakby świat cały był dźwigany przez niego na głowie. Długie, rudawe wąsy opadały w dół spod sępiego nosa--dzioba. Nosił na sobie żołnierski kaftan skórzany i niezmiernie szerokie szarawary.

Bizancjum musi być jego! Kiedy zdoła tu powrócić? Powrócić, by się nie cofać jak teraz! Raczej zginie, niż się znów cofnie! Jak zdobyć miasto?... Tych przeklętych murów nikt nie ugryzie... Za tymi murami niedołęgi greckie mogą siedzieć spokojnie jak dotąd, mała ilość załogi do skutecznej obrony wystarczy... Głodem też się miasta nie weźmie, bo choć Bosfor zamknięty, mają wolną drogę na Marmara...

Nawał myśli rozsadał. Potrzebował się nimi z kimś podzielić, wyrzucić z siebie. Nie bacząc na późną porę pchnął wartownika po starego doradcę i kanclerza, Khalila Paszę.

Khalil Pasza słynął powszechnie z prawości, rozumu i rozsądku. Długoletnie zaufanie, jakim go darzył zmarły sułtan Amurat II, dawało mu wyjątkowe prawa na dworze. Szanowali go wszyscy. On jeden spośród otoczenia Muhammeda nie schlebiał nigdy młodemu władcy, nie ukrywając się nawet z tym, że... lubił Greków. Cenił ich kulturę, wiedzę. Nie czuł fanatycznej nienawiści do chrześcijan. Gdyby od niego zależało, basileus z sjiłtanem sąsiadowaliby ze sobą zgodnie nie tocząc wojny bynajmniej.

Ta nie ukrywana przyjaźń sprawiała jednak, że mimo wysokiego stanowiska stary wezyr nie był nigdy pewien swych najbliższych losów. Młody władca był nieobliczalny, gwałtowny, szalony, z napadami okrucieństwa. Niepodobny zgoła do swego ojca, którego nawet przeciwnicy uważali za wzór prawego rycerza.

38

4

Toteż gdy obudzono go nocą, by szedł zaraz do sułtana, Khalil Pasza przeraził się nie na żarty. Odziewając się, śpiesznie przebiegał myślą możliwe powody dla których Muhammed go wzywa. Zapewno, wściekły z powodu odejścia, przypisuje winę swej porażki jemu, znanemu zwolennikowi Greków... Dotknął z niepokojem własnej głowy. ' Na razie jeszcze cała, ale co z nią będzie za godzinę?... Rozejrzawszy się wokół siebie chwycił kluczyk od podręcznego skarbczyka. Otworzył wieko, w drogocenny kubek z precudnej złotej emalii sypnął pełną garść pereł, zatrzasnął wieko i poszedł. Wszedłszy do komnaty sułtana klęknął na środku wyciągając ręce z darem.

— Co to jest? Co to znaczy? — zapytał szorstko Muhammed.

— Chciałem rozweselić serce twoje, Władco Wiernych, i przyniosłem, sługa niegodny, przygarść pereł, zawierających blask miesiąca.

Muhammed rzucił wzgardliwym wzrokiem na perełki. Lśniły jak światła pożądane miasta.

— Schowaj to — rzekł twardo. — Nie potrzebuję. Chcę czego innego. Rozumiesz? Musisz mi tamto dać, jeśli chcesz żyć.

— Wszystko, co posiadam, jest twoje, o Władco Wiernych.

— Nie dbam o to, co jest moje, lecz o to, czego dostać nie mogę. Khalilu Paszo! Ojciec mój nazywał cię mądrym. Chcesz żyć — okaż się mądrym istotnie, daj mi jedyną rzecz, której pożądam: to miasto!

— Gdyby było moje... — westchnął stary.

Muhammed spojrzał na niego z nagłym gniewem.

— Gdyby było twoje, tym bardziej byś mi go nie dał! — wykrzyknął. — Psiel Wolisz Greków niż mnie! Zdrajco! Wszyscy przecież mówią, że jesteś z nimi!

— Nie czuję nienawiści do Greków i próżno bym ją udawał — rzekł Khalil Pasza z rezygnacją (głowa jeszcze jest, ale za chwilę jej nie będzie) — wszelako klnę się na sandały Proroka, na św. kamień Kaaby, że tylko tego pragnę, czego mój pan pragnie, i że nigdy bodaj myślą przeciw niemu nie zgrzeszyłem...

39

— Więc radź — wrzasnął Muhammed — więc pomóż! Jak je zdobyć? Siadaj i mów!

Z ulgą stary wezyr podniósł się z klęczek, by usiąść z nogami podwiniętymi na płaskiej, skórzanej poduszce. W rękach trzymał nie przyjęty dar. Od światła oliwnego kaganka perły błyszcząły, jakby stary' istotnie miał w ręku miesiąc.

— Trudno jest radę zawrzeć w dwu słowach... — zaczął. — Skoro Władca Wiernych raczy mnie słuchać, powiem, że najważniejsza przyczyna obecnego niepowodzenia tkwi w tym, iż toczyliśmy równocześnie trzy wojny... Wojska tu, wojska tam... Nim ruszysz ponownie, Władco Wiernych, na Bizancjum, zawrzyj przedtem pokój z wszystkimi innymi... Ze Skander-begiem, z Hunyadym... Na pięć, na dziesięć lat... Niech się cieszą, mniejsza o to... Masz na nich dość czasu potem... Zdobycie Bizancjum to jest przedsięwzięcie, dla którego trzeba skupić wszystkie siły, całą uwagę.

— Słusznie prawisz — rzekł Muhammed. — Uczynię tak. Co dalej?

— Nie zdziałamy wiele nie posiadając floty — ciągnął Kha-lil Pasza z namysłem. — O jej potrzebie mówiłem już nieraz, zawsze jednak Saganos Pasza i szeik * Ak Kem Uddin zakrzy-czeli mnie i przeważyli szalę twojej myśli, Władco Wiernych. Oni po dawnemu nie rozumieją walki bez konia, a na okręcie koń jest niepotrzebny...

— Myślisz, że flota jest konieczna?

— Niezbędna. Szczególnie, jeśli idzie o Bizancjum! Jedyne flotą możesz miasto otoczyć i pozbawić dowozu żywności... Jedyne flotą możesz nie dopuścić latyńskich posiłków... Brak floty to nasza największa słabość... Flota to potęga. Nikt ci się nie oprze, Władco Wiernych, jeśli wpłyniesz na Marmara w sile kilkuset galer...

— Nikt mi się nie oprze... — powtórzył namiętnie Muhammed — będziemy budowali flotę... Komu tę robotę powierzyć?

— Mamy odpowiedniego człowieka, Bułgara, Baltu Oglu, znajdującego się doskonale na morskim rzemiośle.

40

— Baltu Oglu... Przyślesz mi go zaraz, gdy staniemy w Adrianopolu. Zaraz... Ach, jak ja pragnę posiadać to miasto! Czy to urok jaki, czy co?... To we mnie siedzi, pali, żre... To jest we krwi...

— Tak — odparł Khalil Pasza, kiwając głową — to jest we krwi... Czy słyszałeś, Władco Wiernych, o widzeniu, jakie miał przesławny twój pradziad Osman, pierwszy sułtan tureckiego rodu?...

— Nie słyszałem! Opowiedz! — zawołał Muhammed z żywością.

Przestał chodzić po komnacie krokiem płowego lamparta i ułożył się na łożu patrząc wyczekująco. Khalil Pasza poprawił się na poduszce, chrząknął, uśmiechnął nieznacznie w gąszcz brody, gdyż pomyślał, że jak mądra Szeherezada chce powieścią ukoić gniewnego sułtana, i zaczął opowieść:

— Mężny i piękny Osman, wódz tureckiego plemienia, odwiedził pobożnego i świątobliwego szejka Edebali z Itburoni. W gościnie bawiąc ujrzał córkę gospodarza, którą nazywano Mai Katun — Kobieta Skarb — i zapłonęło jego serce ku niej, jak płonie żagiew smolista. I rzekł do szejka Edebali: „Daj mi twą córkę za żonę. Będę jej strzegł jak źrenicę oczu, które zachwyca”...

Szeik Edebali był mężem nie tylko pobożnym, ale nad wyraz mądrym i uprzejmym. Uprzejmie przeto odparł Osmanowi: „Córka moja zwie się Mai Katun, Kobieta Skarb. Pozwól mi jutro z rana dopiero dać ci odpowiedź, zali rozstanę się z mym skarbem albo nie”.

Wojownik turecki legł na przygotowane dlań łoże i zasnął twardo, a Edebali rozmyślał. Myśli jego były ciężkie. Jakże odmówić gościowi, gdy prosi? Sam Prorok zganił surowo podobną nieobyčajność. A jakże przystać? Turecki wódz za małym jest panem, by mógł zostać zięciem szejka. I tak męczył się Edebali, nie mogąc powziąć postanowienia, aż do świtu.

Rano wojownik otworzył oczy i rzekł: „Szlachetny szejku Edebali. Nazywają cię ozdobą wyznawców Proroka. Tak świą-

41

— Baltu Oglu... Przyślesz mi go zaraz, gdy staniemy w Adrianopolu. Zaraz... Ach, jak ja pragnę posiadać to miasto! Czy to urok jaki, czy co?... To we mnie siedzi, pali, żre... To jest we krwi...

— Tak — odparł Khalil Pasza, kiwając głową — to jest we krwi... Czy słyszałeś, Władco Wiernych, o widzeniu, jakie miał przesławny twój pradziad Osman, pierwszy sułtan tureckiego rodu?...

— Nie słyszałem! Opowiedz! — zawołał Muhammed z żywością.

Przestał chodzić po komnacie krokiem płowego lamparta i ułożył się na łożu patrząc wyczekująco. Khalil Pasza poprawił się na poduszce, chrząknął, uśmiechnął nieznacznie w gąszcz brody, gdyż pomyślał, że jak mądra Szeherezada chce powieścią ukoić gniewnego sułtana, i zaczął opowieść:

— Mężny i piękny Osman, wódz tureckiego plemienia, odwiedził pobożnego i świątobliwego szejka Edebali z Itburoni. W gościnie bawiąc ujrzał córkę gospodarza, którą nazywano Mai Katun — Kobieta Skarb — i zapłonęło jego serce ku niej, jak płonie żagiew smolista. I rzekł do szejka Edebali: „Daj mi twą córkę za żonę. Będę jej strzegł jak źrenicę oczu, które zachwyca”...

Szeik Edebali był mężem nie tylko pobożnym, ale nad wyraz mądrym i uprzejmym. Uprzejmie przeto odparł Osmanowi: „Córka moja zwie się Mai Katun, Kobieta Skarb. Pozwól mi jutro z rana dopiero dać ci odpowiedź, zali rozstanę się z mym skarbem albo nie”.

Wojownik turecki legł na przygotowane dlań łoże i zasnął twardo, a Edebali rozmyślał. Myśli jego były ciężkie. Jakże odmówić gościowi, gdy prosi? Sam Prorok zgał surowo podobną nieobyczajność. A jakże przystać? Turecki wódz za małym jest panem, by mógł zostać zięciem szeika. I tak męczył się Edebali, nie mogąc powziąć postanowienia, aż do świtu.

Rano wojownik otworzył oczy i rzekł: „Szlachetny szeiku Edebali. Nazywają cię ozdobą wyznawców Proroka. Tak świą-

41

tobliwy będąc potrafisz z pewnością przebić wzrokiem rzeczy przyszłe i wyłożysz sen, który śnił mi się tej nocy”...

Szeik Edebali uradował się z tego pytania myśląc: „Cokolwiek powie, wyłożę, że nie powinien brać z tego domu małżonki” — i pilnie słuchał, a Osman tak prawił: „Widziałem, że spaliśmy obaj pod siebie. Z piersi twojej, ozdobo wyznawców, wyszedł księżyc i wszedł w pierś moją. Widziałem, jak się zagłębiał, lecz bólu nie czułem. I ujrzałem, jak z moich łędźwi wyrasta drzewo, rośnie olbrzymie, aż zacienia cały świat. Widziałem skryte pod jego cieniem piramidy i dalekie góry Rumu, świątynie, wielkie rzeki Tygrys, Eufrat i Nil. Aż nagle powiał wielki wiatr i zamienił liście potężnego drzewa w szable i wszystkie skierowały się w jedną stronę, ku miastu położonemu na styku dwóch mórz, a podobnemu do perły oprawionej w szafiry i szmaragd... I zatrząsnę się z uniesienia na ten widok i zbudziłem się”...

Tak mówił Osman, a szeik gładził długą brodę, strwożony i przejęty do głębi i rzekł: „Zaiste, sen taki jest posłaniem Najwyższego. Miasto, które widziałeś we śnie, to Bizancjum... Tylko ono jedno na świecie podobne jest drogocennej perle otoczonej z trzech stron szafirem mórz, a z czwartej szmaragdem łądu. Z pokolenia twego wyrośnie ten, co je posiędzie... Bierz moją córkę za żonę... Niech wnuki twoje nigdy tego snu nie zapomną!”...

— Czas, by się sen wypełnił — szepnął Muhammed — dlaczego nigdy dotychczas powieści tej nie słyszałem?...

— Nie wiem, Władco Wiernych, racz jednak zapamiętać, że opowiedziałem ci ją ja, którego pomawiasz o zdradę i przyjaźń z Grekami...

— Nie pomawiam cię o nic... Lecz słuchaj, Khalilu Paszol Dwa razy ojciec mój rzekał się władztwa, by żyć życiem pustelnika, i zostawiał tron mnie, niedoroślemu pacholęciu... Dwa razy ty, ty, nikt inny, przywoływałeś go z powrotem...

— Dobro państwa tego wymagało... — zauważył Khalil, ponownie zaniepokojony.

— Wiem! Słyszałem to tyle razy! Jużci, nie mogłem ja,

42

młodziak, rządzić jak stary, wielki Amurat III Ale nie dbaliście zgoła o to, co się ze mną dzieje. Odsadziliście mnie od tronu jak kukłę, jak dziecko, któremu każe się iść bawić z rówieśnikami! Żem gryzł palce z upokorzenia i wstydu, to was nic nie obchodziło! Aby to wspomnienie, palące wspomnienie zatrzeć, muszę dokonać tego, o co wielki Amurat daremnie się kusił! Muszę przewyższyć jego i wszystkich, co byli przede mną! Mój wstyd ówczesny, Khalilu, mój wstyd, któregoś ty był powodem! Inny by ci tego nigdy nie zapomniał, ja ci zapomnę, ale mi daj Bizancjum...

Khalil Pasza kręcił się niespokojnie na swojej poduszce. Na Allacha, nie wiadomo jeszcze, czym się zakończy ta noc... Sułtan chodził po komnacie drapieżnym, cichym krokiem. Starego wezyra bolała szyja od obracania się za nim. Nagle wrzawa pod murami zwróciła uwagę ich obu.

Muhammed wychylił się przez okno.

- Co się stało? — krzyknął gromko.
- Szpiega greckiego przywiodły straże, Władco Wiernych.
- Dawajcie go tu na górę!

Khalil Pasza odetchnął z głęboką ulgą. Nareszcie mógł być zupełnie spokojny. Sułtan zajmie się schwytanym nieborakiem, każe go pewnie przy sobie poddać badaniu. Widok męki, krzyk skazańca uspokoją go najlepiej.

Po chwili na schodach zadudniły kroki. Dwóch janczarów wepchnęło jeńca i padło na twarz przed sułtanem.

- Gdzieście go schwytali?
- Przyglądał się naszym działem.
- Kto cię wysłał, psie? — zapytał sułtan po grecku. Mówił biegle tym językiem, zarówno jak łaciną.

Orbano (gdyż on to był) spojrzał obojętnie na pytającego. Nie przypuszczał, że ma sułtana przed sobą i był więcej oburzony całym zajściem niż strwożony. Puszki z planami nie dał wydrzeć i przyciskał, ją nadal do piersi.

- Nikt mnie nie przysłał — rzekł wzruszając ramionami. — Sam odszedłem z Bizancjum i nie wrócę tam już nigdy. Mam dość tego miasta głupców... Śmieli się!

43

Urwał zaciskając pogardliwie wargi.

- Po coś oglądał nasze działa?
- Aby stwierdzić, że są równie liche i nieudolne jak greckie... To są działa?... Ani w tym siły, ani celności... Pukawki, dobre dla straszenia starych bab...
- Jakież powinno być działo twoim zdaniem?

— Takie, jakie ja jeden potrafię zrobić — rzekł Orbano prostując się dumnie.

Sułtan patrzył na niego ze wzrastającym zaciekawieniem.

— Kimże jesteś? Znasz się na tym?

— Jestem z rodu Węgier, młodość spędziłem w Genui, z zawodu puszkarz. Od dziesięciu lat pracuję nad wielkim działem burzącym, o sile uderzenia dotychczas nie znanej... Mam tu plany ze sobą... o... Przedstawiłem je wczoraj basileusowi... Wyśmiał mnie!... Wyśmiał mnie... — powtórzył z udręką — wyśmiał... Podobnie kiedyś doża wenecki... Co prawda wtedy moje obliczenia nie były ukończone, nie byłem tak pewny jak dziś... O, gdybym mógł je wykonać

— To działo byłoby znacznie większe od obecnych?

— Czterykroć Pięćkroć większe 1 — wykrzyknął. — Ale rozmiar to mniejsza. Najważniejszą cechą mego wynalazku to nowe wyzyskanie siły prochu... Po kilku pociskach z mego działła mury grube jak te, co opasują Bizancjum, rozlecają się w gruz...

Muhammed tygrysim krokiem przeszedł komnatę i ujął jeńca za kaftan pod brodą.

— Psie, nie łiesz? — zapytał zdławionym głosem. — Rozwaliłbyś mury Bizancjum?

— ...W gruz... w perzynę... — bełkotał Orbano — przysięgam!

Muhammed puścił go i odszedł do okna. Miasto błyszczało światłami w pomroce jak pierwej.

— Jaki masz dowód, że nie łiesz? — zapytał twardo.

— Przecieżem w waszym ręku... — i nagle puszkarz padł do nóg jak przedtem basileusowi.

44

— Panie! — zawołał — głowę daję, życie daję... ręć<?... Ubijcie mnie, jeżeli działo zawiedzie... Ale pomóżcie wykonać... Dziesięć lat... Nikt nie uwierzy... Za szaleńca mnie mają... Za głupca... Sami głupcy... Ja pokażę... Temu działu nic się nie oprze...

— Wiele czasu, wiele złota trzeba, aby je wykonać? — zapytał krótko sułtan.

— Czteryście tysięcy talarów italskich i rok czasu.

— Na Allacha! Choćby mi przyszło oddać wszystko złoto mego skarbcza, dam ci je, a tu na początek masz.

Wyjął z ręki starego wezyra pozłocisty kubek i wetknął go zdumionemu, olśnionemu puszkarzowi w dłoń. Perły błysnęły jak smuga księżycza.

— Wziąć tego człowieka — zwrócił się Muhammed po tu-recku do janczarów — strzec jak oka w głowie, nie krzywdząc. Zależy mi na nim. Pojedzie z nami do Adrianopola.

Żołnierze wraz z jeńcem wyszli. Sułtan spojrzał pytająco na Khalila.

— Może szaleniec — odparł tenże — ale nie kłamca.

— Ja też tak sędzę — potwierdził Muhammed. Wrócił do okna patrzeć na widok, który go urzekł.

— Jeżeli nie jest szaleńcem — podjął znowu — to miasto należy do mnie. Tak, stary Khalilu. Twoi przyjaciele mogą pożegnać się z życiem.

— La illah el Allach Mohammed rasul Allach! — odparł stary z powagą. — Stanie się, jak Allach przeznaczy...

— Tak będzie, jak przeznaczy Mahomet, czyli ja! Wasza bierność dobra dla starych. Mam jej! doś! Zrodziła mnie matka chrześcijanka, wychował pobożny, przesławny Amurat, kształcił pewien stary wezyr o ciasnym umyśle, a ja nie wierzę w nic poza swoją wolą. Ludzką, władcą wolą! To się stanie, co ja chcę!

— Nie bluźnij, Władco Wiernych. Raczyłeś wspomnieć, iż miałem zaszczyt kształcić cię kiedyś... Zawierz moim słowom i nie przypisuj zbytnej wagi ludzkiej woli, nie przypisuj również wielkiego znaczenia słowom tego Italczyka czy Węgra...

45

Skoro nikt dotychczas nie odnosił się poważnie do jego wynalazku, widocznie nie jest on wiele wart...

— Ach, mniejsza o to. Jeśli się okaże półgłówkiem, zetniemy mu łeb, a ja dam sobie radę bez niego... To miasto musi być moje... Przysięgam, Khalil Paszo, na sto dwadzieścia tysięcy proroków, co zwiastowali nadejście wielkiego Proroka, na mój miecz i na wszystkich z mego pokolenia, co byli i co nadejdą, że nie spoczne, nie zaznam spokoju, radości ni folgi, aż to miasto będzie moje...

Wpatrzył się w świetliste punkty oczami, rozbłyśniętymi straszliwą pożądlivością.

tej gospody uczęszczali tylko

ludzie zamożni, nie żadne obieżyświaty. Winiarnia zajmowała cały dom. Gdy pora była chłodna, jesienna lub zimowa, goście zasiadali w zacisznej piwnicy. Wielkie beczki stały szeregiem na kozłach. Zawierały same najprzedniejsze wina. Latem czy wiosną, po zachodzie słońca, wychodzili goście z kuflami na dach wdychać pachnące powiewy od ziół i krzewów, na azjatyckim brzegu rosnących, niesione i rozkoszować się widokiem. Widok był zaprawdę niezrównany. Winiarnia sławetnego Lorenza, syna Girolama, znajdowała się tuż koło wieży strażniczej, na szczycie wzgórza, zajmowanego przez miasto włoskie, Gala-tę. Oko obejmowało stąd cały Konstantynopol, Bosfor, Rumeli-Hissar, Propontydę. U stóp Galaty błyszczał szafirowym wężem Złoty Róg, port zamknięty niezmiernie starożytnym, głośnym w historii łańcuchem, grubym jak udo tęgiego mężczyzny. Kunsztowny, drewniany most rzucony nad Złotym Rogiem łączył miasto włoskie z greckim. Ciągnąc wino można było patrzeć z góry, jak roją się po nim ludzie, jak rytmicznie, niby przyptyw i odpływ morza, dążą ku Bizancjum, by znów wracać do Galaty. Dobrze było patrzeć na to, wiedząc, że za każdą wędrówką część złota greckiego pozostaje w rękach

47

italskich. Dobrze było pogadywać ó wszystkich ważnych i białych zdarzeniach ostatnich dni. W ogóle dobrze się żyło w tej Galacie. Bodaj że lepiej niż we własnym kraju. Tam ciążyły podatki, surowe

prawa. Prześwietne rządy Rzeczypospolitej Weneckiej czy Genueskiej nie żartowały wobec winnych lub opieszłych w płaceniu. Tu zaś... ech! I zarobek łatwiejszy, i odpowiedzialność żadna. Ludzie bogacili się szybko. Wzbogaceni nie zawsze wracali do kraju. Po co odjeżdżać, skoro tu jest tak dobrze i pięknie?

Do zwykłego grona przyjaciół i towarzyszy starego Antonia Donino przybył dziś nowy gość, Battisto Gritti. Był to ten sam, na którego powoływał się kiedyś Mario opowiadając Demetriusowi o wielkich okrętach. Gritti, ruchliwy kupiec-żeglarz, był nieustannie w drodze między Italią, Francją, Anglią, Bizancjum. Dojeżdżał aż do niemieckich portów, aż do Gdańska. Ilekroć zjawiał się wśród swojaków, witano go chętnie, a słuchano z zainteresowaniem, sypał bowiem ciekawymi wiadomościami, jakby je czerpał z zanadru. Dziś opowiadał z uniesieniem o busoli.

— Mało już znajdziesz statków, które by jej nie miały — prawił — toteż jadą prościutko, jak chcą, choć ładunku nie widać. A przecież jeszcze niedawno musiały się bnfcegów pilnować, co strata daremna czasu i niebezpiecznie, gdy burza... Może i dlatego coraz większe statki budują... Na ocean śmieiej się na nich puszczają. Sam widziałem okręty jak smoki... Cztery, co ja prawię, pięć razy większe od waszych... Na trzy piętra wysokie... Na pokładzie armaty... maszty takie, że z pokładu patrząc, chłopca, co siedzi na gnieździe, ledwie ujrzysz...

— Skądże drzewo na takie wielkie maszty? — zapytał Donino z cieniem powątpiewania w głosie.

— O bracia kochani, z drzewem istic jest udręka... Skąd dostać?... Ano od hiperborejów *, co w Norwegii i nad Morzem Białym siedzą... Tam się nasi zapuszczają, bo nigdzie nie ma tak śmigłych jodeł jak na Dalekiej Północy... Dawniej kupcy nie jeździli dalej, niż im trzeba było po bursztyn... Dziś zasię przybyło drzewo... O czym ja prawię? Aha, o busoli... Takie

48

kóteczko małe 1 wiedzie okręt jak żywe... Znów panowie FuSt, bogaty złotnik, i Jan Gutenberg z Moguncji pracują razem nad nowym sposobem drukowania... Powiadają, że tą modłą odbiją od razu sto książek albo i tysiąc, co ich nie będzie kosztować więcej trudu niż odbicie jednej... Przeto książki staną się tanie i każdy je łatwo nabędzie... Przepisywacze po klasztorach nie będą już mieli nic do roboty...

— Ciekawe, ciekawe rzeczy... — przyznawali słuchający.

— Rozkosz w takim wieku żyć! — zapewniał z zapalem Battisto. — Nie ma roku, żeby coś nowego nie wymyślono, co się przódzi bajką zdawało... Ale, powiedzcie no... Co z Orbanem Giuseppem? Kiedym ostatni raz był, ślęczał nad jakąś bombardą?...

Donino zamachał żałośnie ręką.

— Ano ślęczał... Nareszcie skończył i tego samego dnia przepadł gdzieś jak kamień w wodę...

— Jak to przepadł?! Gadajcie po ludzku...

— Gadam nie zmyślając... Do basileusa ze swoimi planami poszedł... Tam go wyśmieli... Ozeźlił się nieborak, że go wszyscy za szalonego mają — Antonio opowiadał takim tonem, jakby on właśnie

był innego zdania — i uciekł w świat. Pewnie w morze ze zgryzoty skoczył, bo ślad za nim zginął, choć wdowa szukała wszędzie, jak mogła...

— To szkoda...

— Pewnie, że szkoda. Dobry był człowiek... Żonę zostawił, dzieci...

— Ale i pomysłu szkoda...

— Ech, z tym pomysłem... Pamiętam jedno na przykład: że lufa onej bombardy miała być węższa na końcu niż na początku... Prawił, że kula przez to chyżej poleci... A wszakże dziecko wie, iż bombarda na odwrót musi mieć paszczę u wylotu szerszą, żeby jej powietrze nie rozerwało...

— Patrzajcie! Giagari tu idzie!

— Witaj, Manuelu! Który z nas musi dzisiaj wino stawiać?

— Ja stawiam wam wszystkim — odpowiedział z pychą

Puszkarz Orbano 4

49

nowo przybyły, mężczyzna potężnego wzrostu, o zezowatych odrobinę oczach.

— Niemożliwe! Co się stało?

— Madonna łaskę szczególną okazała zsyłając mór na wierzycieli?

— Ej, musiałby mór wydusić połowę Galaty...

— Śmiecie się, śmiecie, a ja powiadam: Stawiam wino wszystkim, a jeśli kto potrzebuje roboty, niech się zgłasza do mnie.

Usiadł spoglądając z zadowoleniem po obecnych.

— Nie dręcz nas dłużej, powiedz, co się stało?

— Odnawiamy mury miejskie... — znacząco i tajemniczo wyznał.

— Odnawiacie mury? To znaczy, kto?...

— Ano jak zwykle ja i Neofitus z Rodos...

— Skądże pieniądze? Basileus dał?

— Dał owszem gotówką sześćdziesiąt tysięcy talarów...

— Człowieku! Co opowiadasz? Skąd by je wziął?

— Dostał od tego kijowianina... kardynała Izydora... Stary (mówię o kardynale) łąził samotrzeć po wurach, gniewał się, że zniszczone... Wymyślał wszystkim...

— Wiem — przerwał Antonio — byłem wtedy. Akolita Bazyli nie chciał nawet z nim iść i cały czas rozmawiał ze mną...

— ...Wymyślał wszystkim — ciągnął Giagari — a wróciwszy sypnął pieniędzmi... Widziałem je... Dobre talary, najlepszej wagi...

— Sporo ich w twojej kieszeni zostanie...

— Co to: sporo. Wszystkie! Nie znacie Manuela! Teraz wierzymy, że możesz stawiać wino, choćby przez miesiąc...

— Przeceniacie mnie, przyjaciele... A Notaras to co? On też przecie musi coś zarobić... A reszta? Parakimenos*... Akolita... Protostrator*... Protospator*... Logoteta armii... (armii nie ma, ale logoteta jest...) Dziewięciu wodzów, tylko żołnierzy na szczęście brak... Zaciekawo się niewątpliwie tą sprawą i wielki dioicelos...

50

— To znów kto?

— Po naszymu inspektor podatków... Wtrąci swoje trzy grosze, żeby dziesięć zabrać, logoristas, czyli zarządzający osobistym majątkiem basileusa... Dobry żart, co, przyjaciele? Basileus to nędzarz, ale urzędnik „zarządzający jego osobistym majątkiem” pobiera wysoką pensję...

— Ależ jest tej dygnitarskiej hołoty!

— Przecież to nie wszystko... Pocztę ich dawniej obiegały pół świata... Dziś nie sięgają poza miasto, ale logoteta dro-snos, czyli minister poczt został... Posiada nawet zastępcę... Obaj płatni, jak należy... Tak samo "logoteta stad, który dawniej zbierał pogłówne z milionów sztuk bydła, a teraz ma w swym zarządzie trzy kozy... Wielki logoteta pieczęci i ze stu innych... Wszystek dochód, jaki miasto jeszcze przynosi, idzie na wynagrodzenie tej zgrai... Basileus zaś jada na cynie i ma fałszywe kamienie w koronie, bo prawdziwe już dawno zastawił...

— Kto mu winien?... Czegóż ich wszystkich dawno nie rozpędził?

— Słyszałem nieraz, że mu to inni, szczególnie wielki logoteta dworu, Frances, radzili... Odpowiadał pono, że to się nie da, że będzie bunt... że to są godności dziedziczne... Że nie ustąpią, choćby kazał... Bo i prawda. Kto się go słucha?

— Ich to greckie sprawy, nie nasze, Bogu dzięki, zgoła nas nie obchodzące... Niech sobie rządzą, jak chcą... Odbiegliśmy od sedna rozmowy... Że Giagari z bogaci się znowu...

— ...Na krótki czas...

— Ładnie wzbogacił To były żarty, a teraz mówię poważnie... Do tych wszystkich robót ja z własnej kieszeni dokładam...

— Ha, ha, ha! Na św. Marcellusa męczennika! Chyba się rozpuknę od śmiechu!

— Niebożętkol Powiadaj zaraz, wieleś już dołożył?...

— Nową kolejkę wina na ten dobry dowcip!

Śmieli się wszyscy. Giagari z nimi. Korzystając z chwili przerwy w rozmowie, Antonio podszedł do niego zapytując,

4»

51

czyby nie znalazł roboty dla Maria?... Sam przecie powiedział, że robota będzie. Po zniknięciu ojca u Orbanów bieda, a chłopak zdrowy, żwawy, pojętny...

— Ależ oczywiście, znajdzie się zajęcie... Wasz chrzestniak, prawda? Tym bardziej. Niech się do mnie tylko zgłosi...

— Bóg zapłać, Manuelu...

— ...przed Hippodromem... — opowiadał Lorenzo — był dziś taki ścisk, że kilku ludzi na śmierć zdeptali... Dlatego, że się wczoraj dwóch Niebieskich zabiło na bieżni i spodziewali się, że dziś może też będzie wypadek...

— Dziwny naród te Greki! Do wojny, do obrony nie zapędzisz ich żadną mocą, ale patrzeć, jak inni karki łamią, w to im graj...

— Z tą dziwnością zjedzą ich Turki prędzej czy później...

— Oj, raczej prędzej niż później...

4

esarz Konstanty Dragazes, kardynał Izydor, legat papieski oraz Teodor Karystinus trwali w Mniejszej Mozaikowej komnacie na poufnej rozmowie. Przed kilku tygodniami Karystinus wysłany był w tajnej misji do Adrianopola, skąd dopiero co szczęśliwie powrócił.

— Udało mi się do końca pozostać nieodkrytym — opowiadał — udawałem kupca nie zwracając się nikomu... Tam zresztą nie bardzo się pilnują... Sułtan pozawierał ze wszystkimi sąsiadami pokój, z czego wśród ludzi wielka radość... Cieszą się jedni, cieszą się drudzy... Po latach wojny odetchnie nareszcie Skanderbeg i Węgrzyny... I Arabi...

— Chwała Bogu, chwała Bogu — rzekł Konstanty. — Widocznie sułtan uspokoił się już nieco... wyszumiał... Może i my zażyjemy spokojniejszych czasów...

Karystinus spojrzął na swego władcę z ukosa.

— Zażyjemy spokoju? — powtórzył przeciągle. — Najdostojniejszy, Najświatlejszy Panie, oby Bóg błogosławił twoje dni! Sułtan Muhammed wysłał posłów do swoich sąsiadów z ofiarowaniem pokoju... Do nas... nie.

— Może jeszcze przyśle?

53

■ — Najdostojniejszy, Najświetlejszy Panie. Sułtan Muhammed sposobi się jak do wielkiej wojny...

— Nie może być? Przeciw komu?

— Nikt nie wie. Ale przygotowania są. Wiem o tym na pewno. Zaprowadził na swoim dworze oszczędności, nigdy jeszcze nie widziane. Tysiąc sokolniczych * wcielił do pułku janczarów, powiadając, że mu dziesięciu wystarczy i że nie myśli żywić darmozjadów... Na bogaczy w całym państwie nałożył srogi podatek, który płacić muszą pod utratą gardła... Pozabierał złoto nie tylko z kościołów, ale i z meczetów... Buduje z pośpiechem wielką flotę... Po raz pierwszy muzułmanie biorą się do floty... Snadź chcą panować i na morzu... Budowę okrętów i ćwiczeniem ludzi kieruje Bałtu Oglu, renegat bułgarski... Zebrał kupę piratów, zbiegów z galer, wszelakiej hołoty i z nich tworzy załogę...

Cesarz patrzył uważnie na mówiącego.

— Zbroi się niby na wielką wyprawę?... — powtórzył. — Sądzicie, że przeciw... nam?

— Obawiam się, że tak, Najdostojniejszy Panie.

— Cóżemy mu winni 1 — wybuchnął cesarz. — Co mogę, to czynię, by go nie drażnić, daninę płacę... Hołd złożyłem... Czego od nas chce?

— Nie tylko flotę buduje — mówił dalej Karystinus. — Tuż pod Adrianopolem jest obóz, wysokim na pięć łokci częstokołem otoczony, a strzeżony przez janczarów tak, że nawet ptak nie śmie dolecieć. Nikt z miasta tam nie był, ale ludzie powiadają, że za ogrodzeniem sułtan buduje jakoweś bombar-dy straszliwe, jakich świat dotąd nie widział... Na one bom-bardy właśnie poszło wszystko złoto z kościołów i meczetów... A odlewa je jakiś renegat Italczyk... Bombardy mają nieść na parę mil i rozwalać mury...

— Ha — rzekł krótko milczący dotąd kardynał — coś mi się przypomina...

— Mnie też — rzekł Konstanty. — Na początku lata nie byłże u nas jakiś człeczyna, który chciał ulać bombardę większą niż wszystkie, o jakich świat słyszał?

54

— Był taki, owszem... był...

— Co się z nim stało?... Gdzie jest? Może nie taki szaleniec, jak nam się wydawał?

— Wielki drongarios będzie wiedział. On go przyprowadził.

Ale Notaras nie umiał powiedzieć nic więcej ponad to, że śmiesznego człeczynę przywiódł mu akolita Anagnostes. Anagnostes ze swej strony wypierał się (zawsze to bezpieczniej) wszelkiej bliższej wiadomości o przeprowadzonym wówczas wynalazcy. Po prostu zgłosił się jakiś Italczyk z planami. On, akolita, uważał za swój obowiązek powiadomić o tym władze przełożone. Co uczyniwszy nie troszczył się więcej o tę sprawę...

— Szkoda — zauważył Konstanty.

Na dworze nie wspomniano więcej nieznanego wynalazcy, lecz Anagnostes pamiętał dobrze, iż to Antonio Donino na-raił mu owego człeczynę. Toteż przy pierwszej okazji kazał sobie przyprowadzić starego Genuńczyka.

— Jak się zwał ów puszkarz, co chciał wielką bombardę budować? — zapytał bez wstępu.

— Giuseppe Orbano, panie.

— Co się z nim dzieje?

Antonio rozłożył ręce.

— Nie masz go, biedaka. Zginął.

— Umarł?

— Pewnie umarł. Jak nieprzytomny wyszedł z miasta zaraz po tym, jak go najdostojniejszy pan nasz raczył przyjąć, z ni-kim się nie pożegnał i odtąd nikt o nim nie słyszał... Sądzymy wszyscy, że zwariował i w alteracji do morza się rzucił... Obawiam się, że rozsądek jego był już nadwerężony, gdy ośmieliłem się mówić wam o nim, dostojny panie. Czy byłby potrzebny teraz?

— Chodzi o to, że najdostojniejszy, najświetlejszy pan nasz (oby Bóg błogostawił jego dni!) otrzymał poufne wiadomości z Adrianopola. Niewesołe wiadomości... Ten szatan Muhammed

55

znów się zbroi... Pewnie na nas... W tajemnicy odlewa pono straszliwe bombardy... Robotą kieruje jakiś Italczyk...

Wpatrzył się bystro w starego. Lecz Antonio nie zmieszał się wcale.

— Jak zowią tego łotra, co dla poganów pracuje? — zapytał.

— Tego właśnie nasz człowiek nie wiedział.

Antonio potrząsnął głową z przekonaniem.

— Orbano był dobrym chrześcijaninem — rzekł.

— Mówiliście sami, że rozum miał pomieszany... Szalony na niejedną rzecz się waży...

— Ale robota szalonego nie straszna nikomu...

— Ano, prawda.

Rozstali się. Antonio bardziej przejęty, niż to chciał okazać, poszedł wprost do Łucji. Oswoiła się już nieco ze swoim wdowieństwem. Mario chodził pracować przy naprawie murów, gdzie nieźle zarabiał. W tej chwili właśnie wrócił zgrzany i zmęczony.

— Nie moja rzecz gadać — zwierzał się chrzestnemu — ale ta robota cała, to na psa. Na kpiny. Szkoda tylko pieniędzy i ludzkiej roboty. W środek murów gruz sypią, nawet bez wapna, po wierzchu tylko co nieco zaklepią... To się nie utrzyma ani roku... Gruzu z fosy nie wywozimy, tylko rozrzucamy grabkami po dnie, przez co woda niby jest i z góry ładnie wygląda, ale fosa całkiem się zrobiła płytka. Można ją przejść w każdym miejscu... Czy tego nikt nie przyjdzie sprawdzić?

Donino słuchał z roztargnieniem.

— O ojcu nie macie żadnych wiadomości? — zapytał z nagłą.

— Nie. Czyście może co słyszeli? — wykrzyknęli matka i syn równocześnie.

Oględnie Antonio opowiedział, co mówił akolita. Mario spurpurowiał z gniewu.

— O podobną rzecz śmiać go posądzać! — wykrzyknął. — Ojciec by poganom pomagał! Renegatem się stał! Kto to mówi?! Gdzie?!

56

— Ależ uspokój się, chłopcze. Nikt nie mówi. Tylko gdy opowiadano, że sułtanowi jakiś Italczyk buduje wielkie bom-bardy, cesarz przypomniał sobie Giuseppa i pytał o niego... Ale nikt nie podejrzewał, nie...

— • Spodziewam się — mruknął chłopiec zawzięcie. — Każdemu bym nawymyślał, nawet największemu dygnitarzowi...

Łucja nie mówiła nic, jakby nie słyszała. Siadła w kącie, krzyżując ręce na podołku bezradnym, bezwolnym ruchem. W piersi czuła dojmujący, ostry ból, wstrzymywała się z trudem od jęku. Jakież to słowa powiedział mąż na odchodnym? Pamięta je dobrze!... „Pójdę choćby do diabła samego... Diabeł mnie oceni...” Tak powiedział... Nikt prócz niej tych słów nie słyszał, ona nikomu ich nie powtórzy, ale pamięta... pamięta... Boże, zlituj się nad nami!

«

I

W OBRONIE CZCI

atrważające wiadomości, przywiezione przez Karystinusa, nie zdołały zaniepokoić beztroskiej, samolubnej ludności Bizancjum. Podobnie jak zeszłe lato, początek roku 1452 mijał w wirze zabaw, wyścigów, gonitw, nieustających festynów. Bogaci patrycjusze bizantyjscy prześcigali się w przepychu i wyszukany wykwincie. Stroje kobiet przewyższyły zbytkiem i pięknnością wszystko, co oglądano kiedykolwiek. Tłum gapiów stał godzinami wzdłuż ulic, aby zobaczyć przejeżdżające strojnisię. W tłumie tym wybuchało nieopisane uniesienie, gdy ukazał się któryś ze zwycięskich zawodników, wracających z igrzysk. Wśród nie milknących oklasków obnoszono go na rękach jak tryumfatora. I kto by w owe dni spojrzął pobieżnie na rozbawione, hałaśliwe miasto, sądziłby snadnie, że dzieje cofnęły się o pięćset lat wstecz i że jest świadkiem największej chwały i mocy cesarstwa...

Zaś władca tego szczęśliwego grodu, basileus, autokrator, zwany niegdyś „panem świata”, siedział samotnie w swym pięknym ongi, dziś chylącym się ku ruinie pałacu, przeżywając najgorszą mękę, mękę bezsilności. On jeden wiedział, on czuł... słyszał kroki niebezpieczeństwa zbliżające się nieubła-

58

ganię. Czuł zgubę nadchodzącą, zachłanną nienawiść czyjąś, pracującą wytrwale nad przyspieszeniem zniszczenia. Jakoby jedyny, czuwający pomiędzy śpiącymi, nie wiedział, jakimi słowami, jakim krzykiem obudzić ich z odrętwienia. I kogo budzić? Patrycjusze, bogaci kupcy, mieszczenie zbyt ugrzęźli w sobkostwie. Uszy ich zarosły bogactwem. Zdało im się, że nawet w razie najścia wroga wykupią się złotem i będą wygodnie żyć nadal. A lud? Wrzaskliwy tłum zalegający ulice? I do niego za późno przemawiać językiem honoru, miłości ojczyzny. Zbyt długo świetni basileusowie trzymali go w poniżeniu, w ciemnocie, niewolnictwie, by chciał teraz poczuć się wolny. Nikt nigdy nie odwoływał się doń, nie pytał

o zdanie, toteż zdania swego nie miał i mieć nie mógł...

Pośród olbrzymiego otaczającego go dworu z trzema tylko

ludźmi Konstany mógł mówić o tych swoich troskach i zmartwieniach: kardynałem Izydorem, Francesem, wielkim logotetą dworu i staruszką patriarchą Sergiuszem. Ten ostatni był tak wiekowy, że nie opuszczał prawie nigdy klasztoru, położonego na wyspie Proti, naprzeciw Bizancjum. Powszechnie uważano go za świętego. Pomimo ogólnej czci nie miał wielkiego miru wśród duchowieństwa greckiego, a to ponieważ skłaniał się do unii z papieżem i pragnął podnieść poziom mnichów, „kalojerów” greckich, ciemnych, zabobonnych, nienawiść do Rzymu uważających za ważniejszy czynnik niż miłość Boga. Oni również nie zdawali sobie, w najmniejszej mierze, sprawy z mogącego grozić niebezpieczeństwa.

A czas szedł... Godziny, obwoływane przez strażę w porcie

1 na murach, sunęły nieprzerwanie. Cesarz doznawał dziwnego złudzenia. Niejednokrotnie budził się w nocy na ich głos z wrażenia, że słyszy hasło śmiertelne, że mija godzina ostatnia...

Tłum beztroski, gdy chodziło o obronę miasta, umiał być jednak dokuczliwy i natrętny. Nie wiedzieć skąd, nie wiedzieć przez kogo, rozeszła się po mieście wieść o zbrojeniach sułtana, o wielkich bombardach, które mają zniszczyć bizantyjskie mury. Za tą wieścią nazwisko nasunęło się samo przez się.

59

Któż nie wiedział, że puszkarz Orbano spędzał całe dni nad planami jakiegoś olbrzymiego działa? Znikł bez śladu... Zona twierdzi, że utonął. Nie utonął na pewno, tylko u sułtana siedzi. Pracuje na zgubę chrześcijan. Renegat podtył Zdrajca!

Gdy po raz pierwszy podniecone winem próżniacze gromady zebrały się z tym okrzykiem przed domem Orbanów, Mario chciał wyskoczyć do nich i bić, i rozpędzić, i nie pozwolić. Matce z największym trudem udało się powstrzymać go i zamknąć, po prostu zamknąć. Chłopiec skowyczał z rozpaczą jak szczeniak. Tłukł pięściami o drzwi. Krzyczał, żeby go puszczono, że nie pozwoli lżyć pamięci ojca. Gdy tłum po-hałasowawszy odszedł i matka wypuściła go z zamknięcia, czerwony z

gniewu, zapłakany co tchu poleciał do chrzestnego. Antonia nie było w domu. Mario odszukał go aż w Gala-cie w winiarni Pod Wieżą, gawędzącego z przyjaciółmi.

— Co się stało, gołąbku? — zapytał stary widząc zmienioną twarz chłopca.

Mario opowiedział bez tchu.

— Wiedziałem, że tak będzie — stwierdził Donino kiwając głową. — A skoro się zaczęło, będzie się powtarzać częściej... Lepiej, żeby matka przeniosła się do Galaty... W ogóle...

— Nie o to chodzi — przerwał Mario — ale ja nie chcę, żeby oni tak mówili! Ja im nie pozwolę! Ja zabronię!

— Ciekawym, jak? Ludziom gęby nie zamkniesz. Lepiej zejść im z oczu.

— To tak jakby im przyznawać słuszność. Ja chcę dowieść, że to nieprawda!

— Zeby dowieść, musiałbyś albo odnaleźć ojca, albo dowiedzieć się, kto buduje bombardy dla sułtana, jeśli rzeczywiście buduje... Jedno i drugie niemożliwe...

— Dlaczego?

— No, dlatego, że ojca szukaliście w zeszłym roku przez parę miesięcy i nie znaleźliście nic... Jeśli wówczas nie było żadnych śladów, to tym bardziej teraz...

— Myślę o tamtym... żeby odkryć, kto jest ów...

Antonio roześmiał się szczerze.

60

— Syneczku! Co ci się roi?! Cesarscy wiernicy nic nie wywączali, choć trza przyznać, że Greki do szpiegostwa są jedyne, a ty byś wywączał? I Nie słyszałeś, co mówiono, że nawet ptak nie przeleci w ogrodzenie, gdzie pono leją bombardy?

— Ale to byłby jedyny sposób uratowania czci ojca — odparł krótko chłopiec. I nie przestał o tym myśleć. Myślał całymi dniami. Zwłaszcza że, jak słusznie przewidywał stary Antonio, niezycliwe zbiegowiska przed domem Orbanów jęły się powtarzać, weszły w zwyczaj wszystkich gapiów dzielnicy. Lucja ryglowała wejście, chroniąc się z młodszymi dziećmi w najodleglejszy kąt obejścia, skąd krzyków nie było słyhać, Mario, o ile znajdował się w domu, szalał z oburzenia. Nie dał się już do tłumu, rozumiejąc, że chłopięce pięści to żaden argument i że trzeba zaprzeczenie poprzeć rzeczywistym dowodem. Nad osiągnięciem tego dowodu rozmyślał całe dnie, noce. Gdy po tygodniu zaszedł ponownie do chrzestnego ojca, był już zupełnie zdecydowany.

Antonio nie zwrócił uwagi na jego przyjście, miał bowiem rzadkiego gościa. Rycerz Giovanni Giustiniani, bawiący od niejakiego czasu w Bizancjum, zaszedł doń radzić się w sprawie kupna zbroi. Którzy płatnerze * greccy zachowali jeszcze dawny kunszt i posiadają prawdziwą damasceńską stal? Któ-"rym można wierzyć, że nie oszukają?

Dumny z zaufania Antonio Donino czuł się ważny, rozkładał dłonie z namysłem, zastanawiał się długo, nim zapewnił, że płatnerze greccy są wszyscy złodzieje, a jedynym rzeczywiście godnym wiary

posiadaczem najpiękniejszego wyboru blachy, wprost z Damaszku przywiezionej, jest rodak szlachetnego rycerza i jego pokornego sługi, Antonia — sławetny Lazarus Gaetani. Ma swój kram tuż koło muru przy mostowej bramie.

— Pójdę wnet do niego — rzekł rycerz. Wychodząc spojrzął na czekającego Maria; uderzył go skupiony, zacięty wyraz twarzy wyrostka.

— Czego chce ten mały? — zagadnął niedbale.

61

— Chcę iść do Adrianopola — odparł Mario — przyszedłem się spytać o drogę...

— Do Adrianopola — wykrzyknęli obaj. — Chyba ci się pomyliło! Wiesz, co to jest Adrianopol?

— Wiem doskonale — odparł chłopiec chmurniejac — wielkie miasto, dawniej greckie, obecnie stolica sułtana Muhammeda...

— Czegóż tam chcesz?

Mario zacisnął wargi. Antonio spojrzął na niego uważnie, po czym półgłosem opowiedział rycerzowi historię zniknięcia Orbana i wynikające stąd podejrzenia. Chłopiec chce pewno iść sprawdzić nazwisko tamtego, żeby pamięć ojca oczyścić. Pomysł sam w sobie słuszny i uczciwy, ale zamiar szalony, dzieciństwo, które on, chrzestny, zaraz mu wybije z głowy.

— Ależ ja na jego miejscu zrobiłbym to samo — odparł Giovanni Giustiniani z uśmiechem. — Nie daj się, mały. Masz rację. Bronić czci to największa, najważniejsza rzecz.

Wsunął mu w rękę sztukę złota i wyszedł. Antonio posa-pywał. Targały nim równocześnie duma z chrzestniaka i niezadowolenie.

— Słuchaj się panów orężnych — zrzędził — dobrze na tym wyjdiesz... Dla rycerza pewnie że najważniejsza rzecz — to obrona czci... Głowa go nie boli o nic innego... Nie potrzebuje troskać się o matkę, która, jeśli najstarszy syn zginie...

— Dlaczego miałbym zginąć? Powrócę...

— Powrócisz albo i nie. A co wtedy? Na żebrzy pójdziesz z malcami?...

— Wy ją weźmiecie w opiekę...

— Patrzajcie, jaki mi mądry! Wymyślili Ani mi się śnił A tobie wara ruszać z domu!

— Nie przystaniecie z dobrowoli, to ucieknę. I pójdę. Rycerz prawie gadał. Cześć pierwsza rzecz. A cóż dopiero ojcowo. Ojciec nie żyje, sam jej nie obroni. To mój synowski obowiązek!...

Oczy mu się iskrzyły. Podnosił głowę wysoko jak mały ko-gucik. Antonio, patrząc nań, czuł skryte zadowolenie.

62

- Nie dmij się tu niby urodzony — sarknął — boś tyk * zwyczajny jako ja i jak my wszyscy... Do Adrianopola. Jak pójdziesz? Znasz drogę?
- Właśnie przyszedłem o nią pytać.
- Niby ja też wiem. Myślisz może, że to o milę?
- Nie powiecie, to się sam dowiem... Zresztą gościniec musi być... Pono w tydzień można zajść...
- W tydzień zajść, by zaszedłszy, w godzinę łba postradać...
- Przecież nasi chodzą, jeżdżą i nic im się nie dzieje...
- Ba, oni chodzą za handlem, nie na przespiegi, na podpatrywanie sułtańskich tajemnic...
- Nie zdradzę się przed nikim... Jeno proszę, na matkę i dzieci uważajcie, ostawię jej tego dukata, co mi rycerz dał, żeby biedy nie cierpiała, i za trzy niedziele wrócę...
- Złota nie ostawisz. Może być tobie potrzebne... O matce ja będę myślał... Mówiłeś już z nią?
- pytał Antonio ani spostrzegając, jak z nieprzejednanego pozornie przeciwnika zeszedł na sojusznika i doradcę.
- Bóg zapłać, chrzestny. Wiedziałem, że mi nie będziecie przeciwni... Matka jeszcze nic nie wie... Będzie się trochę strachać, ale po prawdzie winna być rada, bo przecie idzie o ojca.
- To chodźmy do niej pogadać.

Wbrew przypuszczeniom Maria, Łucja nie tylko nie była rada, lecz wpadła w rozpacz, nie dającą się wysłować. Obejmując chłopca z całych sił ramionami, jak gdyby chroniąc przed siebie tylko znanym niebezpieczeństwem, zanosiła się od płaczu. Od płaczu nie mogła przemówić. Na wszystkie przedkładania trzęsła głową rozpaczliwie. „Nie pójdziesz nigdzie. Nie pójdziesz!...”

- Sam też zrazu odradzałem — mówił Antonio — ale po namyśle nie ganię chłopcu uczciwego zamiaru. Co mają na zmarłego pomstować, gdy dobrym chrześcijaninem był? Dzieciom też niemiło, jak ich za potomstwo renegackie obwołają...

63

Trza się bronić... A innego sposobu nie ma... Mario przecież nie głupi, nie dziecko... Zatrzyma się u jednego mojego znajomka... Zowie się Anaklet... Ma dom przy ulicy Belgradzkiej... Prawdę rzekłszy, wiele mi ten Anaklet zawdzięcza i, jeśli można na ludzką wdzięczność rachować, powinien mojego chrzest-niaka przyjąć jak syna i we wszystkim pomóc... Tak, że byle Mario Turkom zbyt w oczy nie nałaził, nic mu się nie stanie...

- Nie pójdziesz. Nie pójdziesz — zawodziła matka. — O Boże, tego jeszcze było trzeba. Zeby Mario... — W duszy karciała samą siebie za grzeszne przecucie, uparcie szepczące, że puszkarz odlewający dla sułtana bombardy a mąż to jedno, lecz nie mogła się opanować. Z przerażeniem myślała, co będzie, jeżeli Mario się dowie... Bogarodzico Najświętsza! Jeżeli się dowie!

Darmo chłopiec wspominał szlachetnego, pięknego rycerza, którego sam cesarz podobno bardzo poważa, a który mu powiedział: „Nie daj się. Sam bym tak zrobił...” Tymi słowami powiedział do niego, do Maria. Wielki rycerz Giovanni Giustini-niani.

— Nie pójdziesz, synku, nie pójdziesz.

Antonio skubał brodę zamyślony.

— Idź sobie, chłopcze — rzekł — niech się matka uspokoi. Ja z nią jeszcze pogadam.

Mario siadł przed domem patrząc na bawiące się rodzeństwo. Darmo nawoływali go do wspólnej zabawy. Dawniej chętnie z nimi baraszkował, od zniknięcia ojca zdołał, spoważniał. Ciężar odpowiedzialności, poczucie, że jest głową rodziny, odbierały chęć dziecinnej beztroskiej zabawy. Uśmiechając się do dzieci, myślał o zamierzonej podróży. Zal mu było matki, lecz zarazem jej opór niecierpliwiał go trochę. Całe szczęście, że chrzestny ją przekona. Że przekona, Mario nie wątpił. Ruszy w drogę zaraz jutro. Pora jest dobra do podróży, chłodna... W tydzień podobno można lekko zejść...

Zamyślony ani postyszał kroków Antonia i drgnął, gdy stary położył mu rękę na ramieniu.

64

— Mario — rzekł z zakłopotaniem — matka dobrze prawi, matki musisz słuchać, ostań.

Chłopiec, zaskoczony, porwał się na nogi.

— Jak to? Ale za nic. Dlaczego?

— Ostań, ostań — powtarzał Antonio. — Kiedyś ci wytłumaczę. Nie ma sensu, żebyś tam chodził. Rozumiesz? Matka i ja nie pozwalamy, i koniec.

Odszedł śpiesznie. Mario spoglądał za nim ze zdumieniem.

Puszkarz Orbano 5

KTO NA BOGA?

Więc widzisz, dlatego jutro nie przyjdę — tłumaczył Mario przyjacielowi swemu Demetriusowi, z którym wspólnie chodzili do naprawy murów. — Matka nie chce o tym słyszeć, bo się boi o mnie... Przekabaciła chrzestnego, choć miało być odwrotnie. A ja muszę iść. Mam dość tego wytykania palcami. Przy tym ojcu to winienem... Biedne, kochane ojczysko!... Rycerz Giovanni Giustiniani pochwalił mnie... Powiedział, że obrona czci to najważniejsza sprawa... Więc idę... Jutro raniutko... Zapasów już sobie przygotowałem w węzełek...

— Ja z tobą! — wykrzyknął Demetrius podskakując na jednej nodze.

— Co też gadasz. Ty? Po co?!

— Jak to: po co?! Dla kompanii... Zresztą mam dosyć tej roboty... Sypania piasku zamiast cegieł czy kamieni.

— A jeśli nas Turcy złapią?

- Co mają złapać. Ty przecież idziesz i nie boisz się?
- Ba, ja mam cel, ja mam ważny powód, a ty...
- A ja idę bez powodu... Wyłącznie dla przyjemności... Jak się staje do zawodów... Więc jutro raniutko... O której?

66

- Słuchaj, a nie wygadasz ty się czasem?... Boby mnie matka potem krokiem od siebie nie puściła...
- Chcesz szturchańca? Za kogo mnie masz?... Cóżem ja dziecko czy stara plotkara?...
- Zatem jutro o piątej przy bramie Cerkoportos... A jedzenie zabierz ze sobą, wiele wlezie, bo tam pono pustkowie.

Pustkowie szczerym była istotnie owa kraina tracka, od stu lat przedmiot nieustannych najazdów tureckich coraz dalej i śmieiej sięgających, strefa głucha, rozdzielająca zaborców od upragnionego łupu. Chłodne wiatry górskie omiały wzgórze, których już nie osłaniały wycięte przez Turków lasy. Osady, znajdujące się tu dawniej, przeniosły się w odleglejsze, spokojniejsze strony lub przestały istnieć w ogóle. Piękny gościniec bizantyjski, szeroki i równy, niegdyś tętniąca arteria ruchu, odmierzony wieżami strażniczymi, ciągnął się sennie w nieprzerwanej ciszy. Na wieżach nie było strażników. Wieczorami nie płonęły ognie. Stada chudych owiec, pasących się na rozłogach, zalegały nocą gościniec, układając się na nim do spania. m

Okutany w owczą skórę pastuch zawodził przenikliwym, cienkim głosem powszechnie znaną pieśń opłakującą zdobycie Adrianopola:

...Płaczą słowiki wołoskie, płaczą ptaki śpiewające Zachodu

Wieczorem płaczą, płaczą rano i w południe...

Płacz niby rosa ścieka głosem z gniazd...

Płaczą nad Adrianopolem, miastem okrutnie zniszczonym...

Odebrano mu trzy wielkie święta doroczne...

Święty ogień i wodę Jordanu, święte palmy kwietnia i niedzielę

[Zmartwychwstania...

Dzwony zamilkły na wieży katedry...

Z płonącego miasta uleciał barwisty ptak...

Jedno skrzydło miał skrwawione, pod drugim skrzydłem list skryty...

Chłopcy Demetrius i Mario szli za nim tuż, przysłuchując się ciekawie. Nie przestając śpiewać, oglądał się na nich z nie-

5*

67

pokojem. Widząc, że są niewiele więksi od niego, uspokoił się i przystanął.

— Nie macie co jeść? — zapytał.

Odpowiedzieli, że nie, ze szczerym żalem, gdyż sami byli potężnie głodni. Choć wzięli ze sobą, wychodząc z Bizancjum, spore węzłki jedzenia, wyczerpały się dawno, a po drodze nie mogli nic dostać. Pora była wczesna, wiosenna, pola i sady gołe. Ludzkie mieszkania rzadkie. Zresztą nie mieli pieniędzy. Sztuka złota, otrzymana przez Maria od rycerza Giustiniana, tkwiła starannie zaszyta w kaftanie chłopca i miała być użyta dopiero w razie ostatecznej potrzeby.

— Pozwól nam wydoić którą kozę — prosili. — Napijemy się wszyscy trzej...

— O nie — odparł z przestachem. — Protos zaraz by poznał i zbił mnie...

— Protos to twój gospodarz?

— Tak. »

— Gdzie mieszkanie?

— Podle miasta, na Konstantynopolskim przedmieściu...

— To już niedaleko miasto?

— Niedaleko. Z tej górki już można obaczyć... — Obejrzał się na stado i jął śpiewać na nowo:

...Jedno skrzydło miał skrwawione, pod drugim skrzydłem list skryty... Nie spoczął w winnicy ni w sadzie, nie przysiadł na dębie ani na topoli... Nad cyprysem kołem zatoczył i usiadł...

— O czym śpiewasz? — pytał Demetrius.

— O tym, jak Turki wzięły Adrianopol, a ptak przyniósł o tym wieść Janikasowi, synowi wdowy...

— Dawno to było? Nie wiesz?

Zamyślił się.

— Bardzo dawno pono. Ale mój dziad jeszcze pamiętają, jak Turki rznąły wszystkich na ulicach... Krzyże zrzuciły z kościołów... A teraz mają dobywać Bizancjum...

— Skąd wiesz? — wykrzyknęli obaj równocześnie.

— Wszystkie o tym prawią — odparł z powagą. — Sułtan

68

pono przysięgał w meczecie, że z Wielkiej Świątyni wyżenie Chrystusa Pana... Będzie miał srogie armaty, które zniszczą cały świat... Gdy wystrzeli w Adrianopolu, kula doleci do Jerozolimy albo do Bizancjum...

— Kto robi te armaty? — zapytał Mario bez tchu.

Wzruszył ramionami.

— Bo ja wiem? Jedne powiadają, że Italczyk, inne że diabeł... Pewnikiem diabeł... O, patrzajcie, już miasto widno...

Tę noc spali w Protosowej zagrodzie pomiędzy owcami. Przedtem pomogli ochoczo w obrządku gospodarskim, za co dano im nieco mleka i po sporym kawałku placka. Nie wiadomo, czy Protos byłby równie hojny, gdyby Mario nie powołał się na Anakleta z Belgradzkiej ulicy jako na cel ich podróży. Znajomek starego Antonia był, jak się okazało, wpływowym, bogatym kupcem i Protos sądził, że warto skorzystać z okazji, by go sobie zobowiązać.

Przytulony do żywych, rozkosznie ciepłych kożuchów, De-metrius spał jak zabity, odsypiając wszystkie trudy świeżo przebytej podróży. Dziesięć dni trwała wędrówka. Dość, by mieć nogi całkiem obolałe. A nocami marzli... marzli... Z dreszczem przypomnienia wtulał się między owce i spał. Mario zazdrościł mu tego snu. Sam, choć równie zmęczony, nie mógł zmrzyć oczu. Czy uda mu się jutro rozwiązać zagadkę?... Wszyscy mówią o tych bombardach sułtana, nawet taki prosty chłopiec, pastuszek... Ale nikt nie wie naprawdę, kto je buduje... Jak się dowiedzieć?... Co będzie, jeżeli zasięgnięcie wiadomości okaże się niemożliwe?... „Nie odejdę stąd nie dowiedziawszy się — powtarzał sobie zaciskając zęby. Choćby mnie to życie miało kosztować, muszę się dowiedzieć”.

...Odkryć imię tajemniczego Italczyka, renegata, z tym imieniem wrócić do Bizancjum, rzucić je wszystkim prześladowcom, co śmiało posądzać ojca, biednego, dziwaczalnego ojca, który zmarł kędyś bez pochowku...

Rano weszli do miasta bez żadnych trudności, nie nagaby-

69

wani przez nikogo. Straże przybramne nie zwróciły uwagi na dwóch wędrujących wyrostków. Na ulicach panował ruch nie mniejszy niż w Bizancjum. Chłopcy z ciekawością rozglądali się po mieście, o którym słyszeli, że było drugie co do piękności i rozmiarów w cesarstwie. Położone u zlewu trzech rzek: Maricy, Tondzi i Ardu słynęło z pięknych budowli, kościołów, ogrodów. Stanowiło doniosły punkt handlowy. Przybysze jednak poczuli rozczarowanie. Miasto było wielkie istotnie, lecz brudne jak wszystkie miasta tureckie. Odpadki i śmiecie zalegały ulice. Po śmietnikach wałęsały się rzesze chudych, bezpańskich psów. Dopytali się bez trudu o ulicę Belgradzką, a na niej o dom kupca genueńskiego, Anakleta. Mario przedstawił się jako chrzestniak Antonia Donina, nie kwapiąc się dodać, że opuścił Konstantynopol bez jego zezwolenia. Wyjaśnienie właściwego powodu przybycia uważał również za słuszne zostawić na później. Zresztą poważny Ana-kletus nie dopytywał się wcale. Miał zb-jt wiele spraw na głowie. Zapewnił, że miło mu będzie udzielić chrzestniakowi starego przyjaciela i jego koledze gościny na tak długo, jak im się spodoba. Mają mieszkanie i życie zapewnione, poza tym niech robią, co chcą, i nie zajmują mu czasu.

— Cudowny człowiek — zawyrokował Demetrius, z rozkoszą zdążając do łaźni.

Już tydzień bawili w Adrianopolu, a nie zbliżyli się do celu podróży ani o krok. Całe dnie wałęsali się po mieście, nagabując ludzi, przyglądając się uważnie wszystkiemu, zaglądając tu, to tam, lecz nie

dowiedzieli się nic więcej, niż im powiedziano w Bizancjum, niż powiedział Protosowy pastuszek. Ze sułtan się zbroi, że buduje jakąś tajemniczą straszną broń. Z niepokojem ukazywano wznoszący się o pół mil od miasta częstokół. Tam, za jego zawartymi na głucho bramami, robiono owe nieznanne przygotowania. Żadnemu chrześcijaninowi, ba, nawet zwykłemu Turkowi, nie wolno było zbliżyć się do częstokołu bardziej niż na strzelenie z łuku. Wstęp do środka

70

miał tylko sułtan, wezyrowie i janczarzy. Ludzie nie lubili zresztą mówić na ten temat w obawie, by niewczesna ciekawość nie okazała się podejrzana. Zwycięzeni mogli żyć, ale pod warunkiem, że niczym nie zwracali na siebie uwagi zwycięzców, nie drażnili ich żadnym, bodaj najmniejszym drobiazgiem. Skoro sułtan nie chce, by wiadano, co się dzieje w zamkniętym obozie, po stokroć lepiej nie wiedzieć, a gdyby ktoś chciał o tym mówić, raczej uszy na głucho zatkać niż wysłuchać. Niech Bóg zachowa od gniewu sułtana! Choć sto lat mijało od zdobycia Adrianopola przez Turków, w mieście panował nadal ciężki nastrój gwałtu i niepewności. Za błahe przewinienie karano bez sądu i karano tylko śmiercią. Gdy ulicą przejeżdżał któryś z wezyrów lub szeików, wszyscy obowiązani byli trwać schyleni w niskim pokłonie. Jeżeli przejeżdżał sam władca wiernych, przestawny sułtan Muhammed II, należało paść na ziemię twarzą w proch, nie powstając, aż sułtan przejechał. Każdego, co by się spóźnił z oddaniem hołdu, pędzący przed sułtanem i za nim janczarowie prali ciężkimi batami ze skóry, których uderzenie przecinało ciało do kości. Środkiem ulicy musiała być pozostawiona przestrzeń wolna, by orszak nie potrzebował zwalniać kroku, toteż na odgłos brzękłych dzwonek i bębnow towarzyszących sułtanowi i wezyrom wszystko, co żyło, tłoczyło się w popłochu pod ściany.

Zamienione na meczety kościoły wznosiły się w górę obcymi ich strukturze minaretami. Na wpół obłąkani derwisze * wrzeszczeli. Na ulicach panował wielojęzyczny gwar. Języki turecki, grecki, ormiański i wszystkie narzecza południowostowiańskie mieszały się w chaos bezładny. Chrześcijan nie zmuszano wprawdzie do noszenia na szyi dziesięciofuntowego ciężaru, jak to czynił niegdyś okrutny kalif Hakem w Jerozolimie, lecz na każdym kroku przypomniano, że są mierzwą ludzką, nieczystymi psami, których obecność wyznawcy Proroka znoszą jedynie przez miłosierdzie, miłosierdzie mogące wyczerpać się w każdej chwili. Przynajmniej raz na miesiąc ściągano z całej ludności znaczną daninę na cele wojenne.

71

— Jest tak ciężko, iż wytrzymać dłużej nie sposób — narzekał Anakletus. — Nie zniósłbym tej poniewierki, tych udręczeń i sprzedawszy ze stratą całe mienie przeniósł się gdzie indziej, gdyby nie nadzieja, że może coś się odmieni...

— Co mogłoby się zmienić, szlachetny panie? — zapytali obaj chłopcy z radosną ciekawością.

— Gdyby Adrianopol przestał być stolicą sułtana, położenie byłoby znacznie znośniejsze...

— Czy sułtan ma zamiar zmienić stolicę? Wynieść się? Dokąd?

— Nie wiem. Skąd bym mógł wiedzieć — odparł przezorny Anaklet. — Miłościwy sułtan nie zwierza się nikomu ze swych zamiarów. Skąd bym ja mógł wiedzieć?... Tak powiadam... Może przenieść stolicę z powrotem do Brusy...

Mario i Demetrius umilkli zniechęceni. Mario zdobył się na odwagę, po raz pierwszy objaśniając czcigodnego Symforiana Anakleta o właściwym celu ich przybycia tutaj i zapytując o radę, w jaki sposób można by obchodzić go tajemnicę przeniknąć?

Nie skończył, bo kupiec pomimo tuszy porwał się z poduszek jak ukąszony.

— Czyście poszaleli? — krzyczał piskliwym głosem — co się wam w głupich łbach roi? Możecie już z kim o tym gadali? Pytali kogo? Jużście na mnie zwrócili uwagę?! Przekłęta chwila, w której was wpuściłem. Więc Donino nasłał mi takich zdrajców, szpiegów, obłąkańców?!

Przerażony tym wybuchem Mario zapewniał, jak mógł, że nie zdradzili się przed nikim, broń Boże. Nie popełnili żadnej nieostrożności. Po raz pierwszy mówił o tym z czcigodnym gospodarzem i proszą o radę.

— Wynosić się jak najprędzej — oto rada! — warknął Anakletus cokolwiek uspokojony. — Co za szaleństwo! Powiadają owszem wszyscy, że bombardy odlewa sułtanowi jakiś Ital-czyk, ale jego miano tylko sułtan wie. Sułtan go przywiózł, nie wiedzieć skąd... Gdyby było możliwe dowiedzieć się, kto to, już by się nasi dawno dowiedzieli... To ręczę... Głupie

72

smarkacze... Oni się dowiedzą, a juźci. Zabierajcie się z powrotem jak najprędzej!

Sapał zadyszany z gniewu, dodając:

— Dobrze się składa, bo kupcy nasi jadą jutro przed wieczorem do Bizancjum. Pojedziecie z nimi, miast tłuc się piechotą.

Skłonili się bez słowa, odchodząc na swoje legowisko. Mario rzucił się na ziemię z pięściami przy oczach, Demetrius narzekał półgłosem.

— Głupia rzecz wracać bez niczego... Zeby choć coś zastyszeć... Ale jak?... Skoro tylko sułtan wie... Chyba do sułtana iść, pokłonić się pięknie: „Wielki sułtanie, zdradź nam nazwisko twojego puszkarza, co odlewa bombardy w obozie za częstokołem"... Ciekawym, co by odpowiedział na to?

— Nie pleć — zgromił go Mario. — Do sułtana nie dopuszczą nikogo.

— Widzę z tego, że wrócimy do domu nic nie uzyskawszy... O, niedobrze... Nieudane zawody... Kiepscy z nas zawodnicy... Cóż począć?

Mario nie odpowiadał nic, pogrążony w rozmyślaniach. Demetrius gadał, gadał, aż zasnął. Natenczas jego towarzysz podniósł się ostrożnie na palcach i wyszedł niepostrzeżenie na dziedziniec. Nie było nikogo, nie widział go nikt. Przebiegł lekko przestrzeń dzielącą go od ulicy i poszedł chyżo w dół, nad rzekę, ku własnej przystani czcigodnego Anakleta. Dozorca łodzi zdążył już poznać się i zaprzyjaźnić z oboma chłopcami.

— Dafnisie — rzekł Mario prosząco — jutro odjeżdżamy. Czcigodny Symforion pozwala nam jechać z kupcami. Nie będzie trzeba wędrować piechotą, dzięki temu zabieramy ze sobą trochę rzeczy. Znalazłem starą skrzynkę, doskonałą do przewozu, ale muszę ją naprawić... Czy mógłbyś sprzedać mi ze dwadzieścia sztuk dużych, dobrych haków żelaznych?

— Do skrzyni lepsze małe niż duże — odparł stary.

— Mnie właśnie duże potrzebne... Zobaczysz, Dafnisie... Oprócz haków potrzebny mi jest świder...

73

— A to na co?

— Nie mogę teraz po nocy wbijać haków młotkiem i wszystkich w domu pobudzić... Będę je wkręcał świderem... Masz świder?

— Znajdzie się. Wiele dasz?

Mario już z trudem wypruwał zębami sztukę złota, zaszytą w połę katanki. Niech idzie. Wszystko rzucić na szalę I Był chłodny, opanowany, a równocześnie działał niby w zamroczeniu, niby pod nieznanym nakazem. Wyjął pieniądz i błysnął nim przed oczami przewoźnika.

— Patrz, Dafnisie, złoto. Dam ci je za tę trochę żelastwa i świder. Ale musisz zrobić jeszcze jedno...

— Ciekawym co? — mruknął stary nie odrywając oczu od dukata.

— Zawiesz mnie łodzią wokoło miasta. Ja w jednym miejscu wysiądę i zostanę, a ty spokojnie pocisz...

— I co?

— I nic. Złoto dam ci wysiadając.

— A twoja skrzynka?

— Nie troszcz się o nią. To już moja głowa. Jeśli będą

0 mnie pytali, nie potrzebujesz nikomu mówić, żeś mnie widział, żeś mnie woził, żeś mi dał gwoździe, a ja tobie dukata...

— Hm... hm... Coś mi się to wszystko nie podoba...

— Nieprawda, bo złoto ci się podoba... Taki piękny dukat, Dafnisie... Dał mi go jeden szlachetny rycerz...

Stary grzebał w węzełkach rozrzuconych na podłodze.

— Starczy tyle haków?

— Ja myślę.

— Tu masz świder. I chodź żywo.

Zeszli w dół, nad samą rzekę. Mario dygotał cały z naprężenia. Dafnis odwiązał ostrożnie małą, lekką łódź, wsiedli, odepchnął. Ruszyła z biegiem rzeki bez szelestu. Dopiero gdy odpłynęli kawałek od domu, wyjął spod ławki krótkie wiosło

1 począł nim kierować. Płynęli szybko. Rzeka robiła pętlę okrążając miasto. W pewnej chwili znaleźli się pomiędzy

74

murami grodu a ciemniejącym w oddaleniu częstokołem obozu.

— Tutaj wysiądę — rzekł Mario. — Nie na tym brzegu, na tamtym... Masz pieniądze i nie powiadaj nikomu... Nie widziałeś mnie wcale, nie wiesz o mnie nic, pamiętaj!...

— Spodziewam się. Jeszcze mi życie miłe. Jeżeli chcesz iść do obozu, to zmówię dziś za ciebie pacierze jak za nieboszczyka.

— Bóg zapłać, Dafnisiel Zmówi

Dafnis odpłynął z powrotem, mocując się z prądem i usiłując poruszać wiosłem bez plusku. Mario siedział nad brzegiem skryty w wysokich, zeszłorocznych trawach. Siedział długo nieruchomo. Jeżeli stráže obozowe dosłyszały plusk, to pewnie zwracają teraz uwagę na błonie dzielące obóz od rzeki. Lepiej poczekać. Siedział i myślał. Powinien był myśleć o tym, co uczyni za chwilę, jak podejdzie, co powie, gdy go schwytają. Miał tego myśleć o ojcu. Jak żywa stanęła w oczach chwila, gdy odchodził, uściśnął go i polecił opiekować się matką... To znowu nadbiegały obrazy dawnych czasów, gdy Giuseppe Orban był jeszcze podobny do innych ludzi, rozmawiał, śmiał się, dokazywał jak dziecko z małym wówczas Mariem... Miał wtedy sławę znakomitego puszkarza, dobre zarobki... Biedny ojciec!... Wyśmiewali go jak wariata bezlitośnie, a teraz tego żałują... Sam cesarz pono żałuje, że się wynalazkiem Orbana nie zaciekał. Więc może ojciec nie był szaleńcem, może był mędrszy od tych wszystkich, co się z niego śmieli?... Jakaż gorycz musiała przepełniać biedaka! Z nikim nie mógł mówić o swojej pracy. On, Mario był jeszcze za głupi, za dziecinny... Dziś, o, dziś byłoby zupełnie inaczej... Ale dziś ojca nie ma. Jest tylko podłe posądzenie rzucone na jego imię, które syn musi odeprzeć...

Dafnis dopłynął już pewnie szczęśliwie do domu. Wokoło panowała nieprzerwana cisza. Noc była bezmiesięczna, ale jasna, przezroczysta. Mario przeżegnał się i począł pełzać przez trawę ku murom. Za wszelką cenę chciał dojść niepo-strzeżony. Domyślał się, że jeśli stráže zobaczą go z daleka,

75

odpędzą go po prostu strzałami i nic nie osiągnie. Gdyby jednak mu się udało wdrapać do obozu i tam dopiero zostać schwytanym, może by się czegoś dowiedział. Może by go nie rozsiekano od razu? Może widząc, że nie przyszedł szpiegować, że pyta tylko o nazwisko, puszczą go wolno?... A resztą będzie, co Bóg da. Jedno jest pewne: że dowiedzieć się prawdy można tylko w obozie, zatem musi wejść do obozu.

Pełzał dalej pomału, sunąc przez trawę jak wąż. Chwilami zatrzymywał się, podnosił głowę i patrzył. Częstokół był coraz bliższy. Przy nim lub na nim nie było widać nikogo. Było tak cicho, że Mario słyszał wyraźnie parskanie koni stojących w obozie. Posuwał się cał za calem jak ślimak. Zdawało mu się, że pełza tak całą noc, że za chwilę pocznie dnieć. Nareszcie podsunął się pod sam częstokół. Tu był

względnie bezpieczny. Przytulonego do bierwion można było spostrzec, tylko wychyliwszy się daleko poza ogrodzenie. m

Częstokół składał się z potężnych bali, wkopanych głęboko w ziemię, obłożonych od dołu ziemią i darnią. Mario jął ostrożnie, przeostroźnie wiercić dziurę świdrem na wysokości swej piersi. Stał wkręcała się opornie, drzewo nasiąkło z zimy wilgocią. Nareszcie skończył. Wsunął w otwór hak. Był długi na sześć cali, wszedł głęboko i jeszcze wystawało go dostatecznie dużo, by można było wesprzeć się jak na stopniu. O to właśnie chłopcu chodziło. Wspiąwszy się jedną nogą na tej niepewnej podporze, wyciągnął rękę, świdrując następny otwór. Miał nadzieję, że uda mu się w ten sposób wydostać na wierzch ogrodzenia. Nie było to jednak łatwe. Wisieć uciepionym na ścianie, jedną wyciągniętą ręką wierząc otwór, było niesłychanie trudne i nużące. Chłopca oblewał pot, ręce mdlały. Hak użerał boleśnie stopę. Zaciskając zęby, nie ustawał jednak w pracy. Zapomniał nawet o koniecznej ostrożności! Świder skrzypiał i szurał. Jeszcze jeden hak i zdoła pochwycić ręką górną krawędź płotu... Jeszcze jeden...

Nie zdołał krzyknąć, zrozumieć, gdy ciężka płachta spadła mu na głowę. Zleciał na ziemię. W ową podstawioną płachtę. Zawiniętego podciągnięto do góry, przerzucono na przeciwną

76

stronę. Przygnieciono, aż żebra zatrzeszczały, skrępowano ciasno, poniesiono gdzieś jak tobół. Rzucono z rozmachem na ziemię. Nie wiedział nic. Dusił się. Mdlął od bólu, jaki sprawiały wykręczone i związane ramiona, przychodził do siebie i znów omdlewał. Najdziwniejszą zdała mu się panująca wokół cisza. Dlaczego nie krzyczą, nie rozwiązują go z płachty, nie pytają?... Może go wrzucą tak, jak jest, do rzeki? Na tę myśl dreszcz przechodził. Ogarniał przeraźliwy strach, jak gdyby dopiero teraz uprzytomniło się całe niebezpieczeństwo. Strach, strach... Śmierć, śmierć... Dotąd działał jak we śnie, na poły bezwiednie. Nagle, zbyt późno, z przeraźliwą ostrością stanęła w oczach jedyna prawda tej chwili: śmierć.

Matka, rodzeństwo, stary Antonio... Demetrius... Nigdy nikt z nich nie dowie się, co się z Mariem stało... Przepadł jak ojciec... Zapał, z jakim poprzednio parł na częstokół, zdał mu się śmieszny, dziecinny... Omotany, zduszony w płachcie płakał z bólu i ze • strachu. Och, nie umierać jeszcze, nie umierać...

Cisza panująca wokół chłopca pochodziła stąd, iż strażnicy sądzili, że zuchwały śmiałek, którego poczynania śledzili, odkąd począł wiercić pierwszy otwór, musi posiadać współników. Nd pewno nie działał sam. Jest to pewnie szeroko zamierzony zamach czy napad. Wciągnęli więc Maria możliwie najciszej, by* domniemanych towarzyszy nie spłoszyć, po czym cała rota żołnierzy jęła przetrząsać najstaranniej obóz i jego okolice. Szukano do rana. Nie znaleziono śladu czyjejś obecności. Sprawa była tym ciekawsza. Aga * polecił więźnia zanieść przed beja * i tam przed ścięciem wy badać. Wyswobodzony z płachty, rozwiązany, Mario mrugał oczami półprzytomnie. Patrzył na stojących wokół wrogów, na obnażoną szablę w ręku jednego 1 Śmierć, śmierć, kołatało nadal w czaszce uparcie.

Oni zaś patrzyli na niego z nie ukrywanym zdziwieniem. Zuchwalec, podejmujący nieprawdopodobnie śmiałe przedsięwzięcie, okazywał się drobnym, najwyżej piętnastoletnim wyrostkiem o dziecinnej, przerażonej twarzy. Nie miał przy sobie

żadnej broni, tylko kilka dużych haków, za pomocą których sędził dostać się na parkan...

— Jak się zwiesz? — zapytał groźnie bej.

Mario wysiłkiem woli opanował drzenie. Musi umrzeć jak mężczyzna. Ale na zapytanie nie umiał odpowiedzieć. Nie znał tureckiego. Nadszedł aga znający grecki. Kazano mu być tłumaczem.

— Jak się zwiesz? — powtórzył bej.

— Mario Orban — odparł chłopiec bez wahania. Nie ma co ukrywać. Powie całą prawdę.

Milczenie zaległo na chwilę. Milczenie zadziwiające.

— Łiesz — rzekł bej. — Nie nazywasz się tak.

Mario wyprostował się oburzony.

— Nazywam się Mario Orban z Bizancjum, syn Giuseppa Orban, puszkarza...

— Gdyby to była prawda, przyszedłbyś jawnie do ojca, zamiast piąć się nocą po ścianie...

— Gdzie jest mój ojciec?! — zakrzyknął Mario przeraźliwie. — Mój ojciec zginął! Ja się nazywam Orban, ale ja wiem, że mojego ojca tu nie ma!

Patrzyli na niego podejrzliwie. Aga mówił coś bejowi, na co ten wzruszył ramionami i skinął przyzwalająco głową. Aga odszedł w głąb obozu. Słońce wytoczyło się jaskrawię ponad ogrodzenie. Turek z obnażoną szablą ziewał niezadowolony. Po co tyle zwłoki, tyle czasu tracić na tego cherlaka!

— Zaraz się dowiemy, czyś jest synem Giuseppa Orban, puszkarza — rzekł bej. — Jeżeliś zełgał, biada ci!

Znowu milczenie. Mario usiadł bezwładnie na trawie. Nogi się pod nim gięły. Przestał rozumieć, co się działo wokół. Dwie myśli kołatały w obolałej głowie. Ze mówią o ojcu... Ze on, Mario, albo zginie za chwilę, albo ocali się i będzie żył dzięki temu, że ojciec jest zdrajcą... Nie! Nie! To niemożliwe! Ojciec nie jest, nie może być zaprzańcem! Jego syn przyszedł, aby to sprawdzić, potwierdzić niewinność ojcową... Ale poganie złapali go i zabijają, chyba że... człowiek, po którego posłano... jest ojcem... jest Orbanem...

Słońce ledwo wyszło, już grzało. Cienie były długie, skośne. Usłyszano kroki. Jedne śpieszne... śpieszne... Idą... Aga i ktoś drugi... Ten... Ten wysoki, chudy na przedzie... Wyciąga w przód głowę ruchem nadto znanym...

Mario ukrył twarz w dłoniach i rozplakał się, rozsłochał, jakby mu serce pękało. Płakał z rozpacz, a zarazem ulgi. Ojciec jest zdrajcą, renegatem, służy Turkom, ale Maria nie zabija. Poganin z obnażoną szablą już odszedł...

— Mario, synku... Co się stało? Jak się tu dostałeś?... — pyta Giuseppe i Mario nie ma siły go odtrącić.

— Nie płacz... Nic ci już nie grozi... Co za szczęście, że mnie zawołano. Tu nikogo nie puszczają, wiesz? Mogłeś życiem przypłacić... Skąd się dowiedziałeś o mnie? — dopytuje puszkarz, lecz za każdym pytaniem chłopiec wybucha nową falą płaczu.

— Uspokój się, uspokój się — prosi ojciec. Tuli go w ramionach jak niegdyś, gdy Mario był mały, a Giuseppe nie myślał jeszcze o bombardzie. Bej mówi coś do niego z kwaśnym, choć unizonym wyrazem.

Orbano śmieje się machając ręką niedbale.

— Tęsknił za mną, nie wiedział, jak się dostać... Wymyślił taki sposób... Ot, dzieciak... To mój najstarszy... — dodaje z dumą i wzięwszy syna pod ramię, odchodzi. Idą obaj przez obóz. Przez łzy Mario widzi, że ojcu wszyscy się nisko kłaniają. Idzie jak pan. Chłopiec spogląda na niego w górę nieśmiało. Zmienił się. Niby ten sam i nie ten sam. Ręce mu nie drżą. Ma jasny, stanowczy wzrok. Stąpa pewnie. Mario odsuwa się nieco.

— Co ty tu robisz, ojcze? — zapytuje zdławionym głosem.

Orbano patrzy na niego z uśmiechem.

— Co robię?! Bombardę buduję!... Moją wielką bombardę... Mój wynalazek... Zaraz zobaczysz... Śmieli się z niej... Nie chcieli słuchać... Sułtan jeden uwierzył... Już jest skończona... Dziś będzie próbne strzelanie... Zobaczysz... Ale nie jedną taką, osiem odlewam... Osiem... Pomyśl tylko! Moje dzieło, moje dzieło nareszcie spełnione... Nic nie przesadzałem... Dziś

79

właśnie pierwsza próba... Chodź, pokażę ci wszystko, nim sułtan przyjedzie... Potem nie będę miał czasu... Chodźże!

Ciągnie oszołomionego chłopca przez obóz ku długim, wielkim szopom, przeznaczonym widocznie na warsztaty. Wszędzie mrowią się ludzie, wre praca. Oto deptacze. Cierpliwie bosymi nogami mieszają wielką górę gliny.

— Cośmy się naszukali, nim odpowiednią znalazłem — mówi Orbano. — Glina na formy musi być najdelikatniejsza, naj-tłuściejsza i dobrze wymieszana. Depczą ją po kilka dni. Dodajemy jedną trzecią posiekanych włókien lnu, jedwabiu i konopi, żeby była ściślejsza i nie pękała... Zobaczysz wszystko jakby od początku, bo już przygotowujemy formy na drugą bombardę... Tu się już robi stożek, który będzie stanowił wnętrze lufy... Właśnie z takiej gliny doskonale wysuszonej... Najtrudniejsza robota to walec zewnętrzny, który przyjdzie na ten stożek... Między nimi musi być tyle przestrzeni, ile jej zajmie brąz. Nie za dużo, nie za mało... Najmniejszy błąd popsułby wszystko... Gotową zewnętrzną formę nakładamy na stożek środkowy... I dopiero okrywamy wszystko ziemią, kamieniami, drzewem, ściągamy żelaznymi obręczami, żeby brąz nie rozerwał formy i wszystko nie poszło na marne... Zapewniam cię, że to nie są żarty, gdy chodzi o takiego olbrzyma.

— Dlaczego to jest tak nisko w dole? — pyta Mario mimo woli zaciekawiony.

— A piece na górze? Zaraz ci wyjaśnię. Te dwa kopce obłe na wzgórzu to piece. Teraz palimy w nich tylko trochę, aby nie zastygły, ale gdy forma gotowa, dopiero zaczyna się ogień piekielny! Z samego węgla brzozonego. Ani kawałka drzewa, tylko węgiel... Po trzech, czterech dniach nieustającego żaru nasz stop kipi w obu piecach. Wtedy wyrąbujemy otwór nad tą rurą kamienną schodzącą w dół... Wylot rury znajduje się tuż pod formą bombardy, u stóp luzu zostawionego między stożkiem a zewnętrznym walcem... I kipiący stop wypływa, podnosi się z wolna sam...

— Dlaczego się podnosi?...

80

— Nie rozumiesz, boś dziecko, ale kiedyś ci to wytłumaczę. ... Piec jest wyżej, więc płyn musi się podnieść do tego samego poziomu... Gdybym łał stop z góry, popsułbym sobie całą formę, a tak wypełni się ona sama z wolna, dokładnie aż po brzegi... Pozostawimy ją nie ruszając parę niedziel, aż, gdy wychłodnie należycie, rozbijemy formę i działo gotowe. Niezupełnie gotowe, bo trzeba je jeszcze długo gładzić, szlifować, wykańczać, ale najtrudniejsza i najkosztowniejsza część roboty jest zrobiona... Zresztą, co będę mówił... Chodź, obacz gotową... Masz szczęście, żeś trafił na dzisiejszy dzień... Dzień mojego tryumfu... Pierwszy strzał... Próbnny strzał... Dlatego taki jestem wzruszony... Cieszę się, że będziesz to widział... Mój drogi mały... Chodź, chodź...

Teraz mijali szopy pełne przykrego, kamiennego pyłu. Tu niewolnicy obrabiali wielkie kule z granitu czarnego. Były ogromne, mierzące ponad 88 cali obwodu. Niektóre niekształtne jeszcze, chropawe, inne gładkie, lśniące w słońcu połyskującą powierzchnią. Za szopami na otwartej przestrzeni wznosiła się wysoka, lekka strażnica, zbita z bali, z gankiem i poręczą na szczycie, a o kilkanaście kroków przed nią czerniał potężny złom skalny trójkąrfly, przekreślony na szczycie poziomym, potwornie wielkim kadłubem, o paszczy lekko wzniesionej ku górze. Wokoło stali trzema rzędami żołnierze.

— Oto ona — rzekł Orbano głosem dygoczącym z dumy i przejęcia. — Chodź bliżej... A co? Wyobrażałeś sobie podobnego smoka? Pięciu ludzi jej nie obejmie... By ruszyć z miejsca samą, bez tej skalnej podstawy, trzeba sześćdziesięciu wołów... Patrz na to łożysko: wykute w skale. Trzykrotnie szersze i głębsze, niż potrzeba, wypełnione mokrym żwirem... Ten żwir ma swoje znaczenie. Działo będzie mogło swobodnie cofać się w nim po wystrzale, nie cierpiąc od wstrząsu... A to celownik... To zamek... Spójrz, jak to wszystko wykonane!

Mario patrzył. Widział jedno. Na gładkim cielsku brązowego olbrzyma wyrzeźbiony półksiężyc, niezrozumiałe litery arabskie splątane w misterny wzór, a poniżej dużymi, łacińskimi głoskami, czytelnie i wyraźnie wyróżnione: „Orbano”...

Puszkarz Orbano 6

81

...Orbano!...

— I cóż? — spytał ojciec. Chłopiec nie zdążył odpowiedzieć, gdy w obozie wybuchła wrzawa kotłów i bębnow. Wartownicy skamienieli, znieruchomieli. Zewsząd ludzie zbiegali się, ustawiali w szereg.

— Sułtan przyjechał! — zawołał Orbano. — Stań tu sobie z boku. Postaram się, abyś widział wszystko...

Skoczył wydawać ostatnie polecenia. Muhammed II już nadjeżdżał. Odziany był jak zwykle w skórzany kaftan wojac-ki, bardzo szerokie szarawary, spiczaste ciżmy z zawiniętymi do góry końcami i ogromny zielony turban. Towarzyszyli mu wielki wezyr, Khalil Pasza, Saganos Pasza oraz liczna świta dostojników.

— Próbujemy dziś? — zapytał krótko, zeskakując z konia.

— Tak jest, Miłościwy Panie — odparł Orbano kłoniąc się wpół.

— Zawierzyłem ci, niewierny. To działa kosztuje więcej niż wystawienie dwóch armii... Wiesz, c« cię czeka, jeżeli próba zawiedzie?

— Wiem, Miłościwy Panie.

W głosie puszkarza nie było lęku. Raczej radosne podniecenie. Obleciał oczami wokoło. Obsługa działa wynosiła stu ludzi. Wszyscy stali w pogotowiu, czekając na jego rozkazy. Jedni dźwigali mocne nosze, podobne do koryta, ze spoczywającą na nich granitową kulą, inni trzymali worek z prochem, z którego zwieszał się lont, wielki gliniany dzban z oliwą, gruby krąg drewniany, naręcze pakuł. Jeszcze inni oparci na żelaznych łomach mieli w razie potrzeby unosić przód działa. Obok leżały przygotowane woreczki ze żwirem.

— Racz wybrać cel, Miłościwy Panie.

Stojąc na strażnicy sułtan rozglądał się uważnie. Jak urzeczony oczy jego ciągnęły ku wschodowi.

— Tam — rzekł ukazując ręką mur bielejący w oddali pośród kępy drzew. Oddalony o jakieś półtora tysiąca kroków stanowił widocznie boczną ścianę dużego, odosobnionego budynku.

82

Stojący u stóp strażnicy Khalil Pasza podniósł z niepokojem głowę do góry.

— Czy wiadomo, że tam nie ma ludzi, Władco Wiernych?

— Abo co? — zapytał sułtan.

— No bo przecież mogą zginąć... Mogą...

Muhammed roześmiał się w głos.

— Wielki Wezyrze! W myśl twych zwykłych twierdzeń, jeżeli zginą, to znaczy, że tak im było sądzone.». Zresztą — dodał — to mi wygląda na klasztor psów greckich... Czy i o nich troszczysz się tak dalece, że nam zabierasz czas, gdy ja doczekać się nie mogę?!

Khalil Pasza westchnął i zamilkł. Sułtan uśmiechał się złośliwie, spoglądając z góry to na niego, to na puszkarza. Lecz twarz tego ostatniego zdradzała zupełną obojętność co do budynku i znajdujących się w nim prawdopodobnie mieszkańców. Mario, nie odrywający oczu od ojca, pomyślał z przerażeniem, że gdyby sułtan kazał mu wziąć za cel krzyż, strzeliłby również bez wahania. Nic dlań nie istniało poza

bombardą i jej działaniem. Pochylony nad celownikiem mierzył długo uważnie. Rzucił krótki* rozkazy, według których obsługa, naciskając całym wysiłkiem na żelazne łomy, unosiła nieco przód potwornego walca, a inni z pośpiechem podkładali woreczki ze żwirem.

— Na Allacha! Zaczynaj! — niecierpliwł się sułtan.

Puszkarz nie zwracał na niego uwagi, całkowicie pochłonięty zadaniem. Twarz miał natchnioną, skupioną. Nareszcie wyprostował się.

— Smarować! _

Pośpiesznie trzech żołnierzy łało w armatę oliwę z wielkich glinianych amfor. Dwóch innych wyciorami rozsmarowywało ją wewnątrz lufy.

— Ładować!

Wpuszczono ostrożnie wór z prochem. Wąs lontu wyszczknął z tylnego otworu. Wisiał jak nitka u brody olbrzyma. Za prochem uszczelniacze z paku. Teraz krąży pień drewniany grubości łokciowej.

83

— Nabijać!

Dźwigacze, trzymający na noszach kulę granitową zbliżyli się, zgodnym wysiłkiem unieśli nieco drągi. Z głuchym dudnieniem pocisk zesunął się w paszczę głęboko, aż do drewnianego kręgu.

— Odstąpić!

Z tym samym skupionym wyrazem Orbano obszedł działą wkoło, sprawdzając, czy nic nie przeoczono. Pochylił się jeszcze raz nad celownikiem. Wpił się oczami w bielejącą w dali ścianę. Nareszcie wziął z ręki jednego z żołnierzy pochodnię.

— Pięć w zęby i na ziemię! — zakrzyknął.

Wszyscy upadli plackiem, otwierając szeroko usta. On przyłożył pochodnię do lontu i stał nieporuszony, licząc głośno: raz, dwa, trzy...

Nie doliczył do dwudziestu, gdy mignęła błyskawica, a równocześnie straszliwy huk wstrząsnął powietrzem, zatargał światem, zgniótł wszystko falą sroższą od natarcia huraganu. Huk, jak gdyby waliła się ziemia. Gęsta chmura śmierzdzącego dymu spowiła wszystko. Olbrzymie cielsko bombardy skoczyło niby żywe, cofnęło się konwulsyjnym rzutem, o kilkanaście łokci wstecz, żłobiąc głęboką bruzdę w swym skalno-ziemnym łożysku. Huk powtarzał się echem wśród wzgórz, toczył przeciągle jak grzmot.

Oprócz sułtana i wynalazcy wszyscy leżeli na ziemi, ogłuszeni, oszołomieni, przerażeni do cna.

— Przez dym nic nie widać — krzyczał sułtan zbiegając ze strażnicy. — Koniał Pojadę zobaczyć! Wstawajcie! Wstawajcie! Nuże!

Trącił nogą wielkiego wezyra.

— Och, Władco Wiernych... — bełkotał Khalil Pasza nie podnosząc głowy. — Daj umrzeć twojemu słudze... Stoczyły się góry, jak ostrzegali Prorok... Koniec grzesznemu światu...

— Umieraj, jeśli chcesz, stary niedołęgol Konia!

Dosiadł z . pośpiechem bachmata. Reszta podnosiła się z ziemi zawstydzona. Oglądali się wzajemnie z niepokojem,

\

84

czy jeszcze żyją. Widząc, że tak i że dym pomału rzednie, biegli do koni. Orbano kazał synowi sięść za sobą i popędzili ku bramie, stamtąd na przełaj przez pole ku obranemu za cel budynkowi. Resztki dymu włóczyły się po dolinie. Na murach miasta czarno było od ludzi, co wylegli tłumnie, przerażeni niepojętym wybuchem.

Budynek był istotnie starym, warownym klasztorem. Ku niezmiernej uldze dwóch ludzi, Khalila Paszy i Maria, był pusty, jak gdyby nie zamieszany. Czy mnisi wyszli wszyscy w pole, czy w ogóle porzucili tę budowlę na skutek prześladowań tureckich, nie wiadomo. Wokoło murów panowała pustka. Nie trzeba było szukać miejsca, w które trafił pocisk. Widniało ono z daleka wywartą, czerniejącą raną, otworem wybitym na przestrzał, wyszarpanym w murze siłą nie znaną dotychczas nikomu. Przebiwszy zewnętrzną ścianę, kula zwała następną i wpadłszy do dużej, sklepionej sali, prawdopodobnie dawnego refektarza, zaryła się na sześć stóp w ziemię, rozrzucając wkoło bryzgi kamiennych płyt.

Orbano zdjął kapelusz i ocierał pot z twarzy. Sułtan obchodził rozbite mury w milczeniu. Wąskie jego nozdrza rozdy-mały się drapieżnie. Nagłym ruchem zdjął jednemu z bejów turban z głowy, nałożył na głowę puszkarza. Zsunął z palca drogocenny pierścień i rzucił mu również.

— Słusznie mówisz, niewierny, że posiadacz twego wynalazku będzie panem świata... To jest broń... Na Allacha! To jest broń. Nazwiemy ją... — szukał przez chwilę w myśli odpowiedniego imienia. Rozjaśnił się.

— Nazwiemy ją Basilissa* — zawołał. — To jedyne godne jej miano!

A zwracając się ponownie do puszkarza dodał:

— Więc odlejesz mi jeszcze siedem takich, siedem... do przyszłej wiosny muszą być gotowe. W zamian żądaj ode mnie, czego chcesz. Nie odmówię ci niczego.

— Nie chcę nic, Miłościwy Panie. Jestem szczęśliwy.

Orbano istotnie wyglądał na szczęśliwego. Mario odwracał oczy. Widok twarzy ojca promieniejącej pod turbanem —

85

pod turbanem! — sprawiał mu ból nie do zniesienia. Czuł się nieszczęśliwy, chory, rozbity. Przeżyte zmęczenie, głód, strach, ból, rozczarowanie, odbierały resztę sił. Siedząc na koniu za ojcem, musiał obejmować go mocno w pól, by nie spaść. I to było najboleśniej. Przytulać się do odnalezionego ojca, widząc na jego głowie zawój, dowód najwyższej łaski sułtań-skiej...

Bombarda nazwana Basilissą była jeszcze ciepła. Z paszczy snuła się wątła smużka dymu. Orbano gładził ją czule jak żywą istotę. Sam ostrożnie nalewał do wnętrza oliwę, przecierał wyciorem. Sam zaczeptał o wystające z dwóch stron uszy liny, którymi stu ludzi ciągnęło potwora z powrotem na właściwe miejsce. Był pochłonięty tą robotą całkowicie.

— Idę już, ojcie — rzekł Mario zmęczonym głosem.

— Co? Już? Nie możesz zostać? — pytał Orbano z roztargnieniem.

— Nie mogę, dziś muszę odjechać do Bizancjum.

— Szkoda. Nawet nie miałem czasu nagadać się z tobą... wyptać o wszystko... Zdrowie dopisuje wam, mam nadzieję?... Jak matka? Dzieci? Nie mam pieniędzy, ale zanieś jej ode mnie...

Podał bezcenny pierścień sułtański. Mario cofnął się purpurowy.

— Ależ, ojcie — wybuchnął — ja nawet nie wiem, czy odważę się powiedzieć matce, żeś tu jest... Matka by tego pierścienia do ręki nie wzięła... Ja — dodał ciszej — też...

Orbano spojrział ze zdumieniem.

— Dlaczego?

— Bo to od poganina... Zapłata za pomoc do zdobycia Bizancjum... Za krew chrześcijan... Za...

— Co też pleciesz. Tu Adrianopol, nie Bizancjum...

— Ależ wszyscy wiedzą, że o Bizancjum chodził. Na to twoja bomba potrzebna. Dla rozbicia naszych murów. Dla pognębnienia chrześcijan. I to ty, ojcie, ty chrześcijanin!

86

Orbano usiadł patrząc uważnie na syna. Sułtan dawno odjechał z obozu. Obsługa odeszła wykonawszy wszystko, co do niej należało. Byli prawie sami. Orbano zdjął zawój z głowy i przeciągnął ręką znużonym ruchem po czole.

— Tak to bierzesz — rzekł powoli. — Nie zastanawiałem się nad tym dotychczas... We mnie jest mus... Rozumiesz... mus... Ja dla tej chwili, dla dzisiejszego dnia żyłem... Ja dla tego pracowałem tyle lat... Nie obchodzi mnie, co z moim wynalazkiem uczynią... Nie czuję za to odpowiedzialności... Wiem, że musiałem go wykonać... Gdybym nie spotkał możliwości urzeczywistnienia, zginąłbym marnie... Ten pomysł byłby mnie rozsadził, zabił... Cóżem winien, że chrześcijanie nie chcieli o nim słyszeć? Wyśmiewali mnie, a jeden tylko poganin zaufał i zrozumiał?... Czyż nie prosiłem doży, podesty, basileusa?... Nie zaklinałem, nie padałem do nóg?... Cóżem winien, że się nie poznali na tym, co im przynosiłem?... Ty tego jeszcze nie rozumiesz, nie wiesz, co to mus, nakaz budzący się w samym człowieku...

— Przynajmniej teraz odejdz — błagał Mario — swoje już zrobisz, pokażesz...

— O nie, nie odejdę. Sułtan chce, aby mu jeszcze odlać siedem dział... On chce mieć takie same, ale ja mu zrobię lepsze... Wprowadzę niektóre zmiany, poprawki... Przed chwilą, gdy strzelałem, już mnie uderzyły... Można lepiej... można to udoskonalić... Będę njd tym pracował... Dojdę do nadzwyczajnych wyników...

— Pomyśl, że każdy twój wynik przyśpieszy zgubę nas wszystkich, zgubę chrześcijan! Wracaj ze mną, ojcie, błagam cię, wracaj!

Orbano zachnął się zniecierpliwiony.

— Nie wrócę, bo nie mogę zdradzić zaufania, jakie ma względem mnie sułtan...

— O tego poganina, okrutnika, więcej dbasz niż o swoich?

— Dla mnie to nie jest poganin ani okrutnik i powtarzam ci, nic mnie nie obchodzi, do czego mu moje działa potrzebne... Dla mnie to jest człowiek, który mi pomógł urzeczywistnić

87

samego siebie... Wszyscy mnie odtrącili, on jeden zrozumiał... 1 choć ci się to wyda dziwne, ja go za to prawie... Kocham...

Mario ukrył twarz w dłoniach. Trząsł się cały jak w chorobie.

— Boże, Boże — szeptał — byłbym głowę dał byłbym się dał posiekać za to, że nie ty pracujesz dla sułtana, że to jakiś inny, nieznaną człek... Tak wierzyłem, wierzyłem...

— Jak to, nie wiedziałeś, że tu jest?

— Nikt nie wiedział. Zeszłego roku szukaliśmy cię wszędzie... Żadnego śladu. Myślałem, żeś utonął. Matka płakała... my też... A zaczęli ludzie gadać, że sułtan wielkie bombardy buduje... że je odlewa jakiś Italczyk, ale nie wiadomo, jak się zwie... Przypomnieli o tobie. Zbierali się przed domem i krzyczeli, żeś zdrajcą... Chciałem bić... rozpędzać... Ze śmią twoją pamięć... Ze na ciebie tak mówią... I po to przyszedłem... Dowiedzieć się, kto robi bombardy, i wrócić z jego nazwiskiem... Żeby cię po śmierci nie krzywdzono...

— I dlatego narażałeś się na pewną śmierć... mój synku, mój drogi synku... Widzisz, jak to dziwnie jest... Biedactwo... Wy tak na to patrzycie... Matka też... Zdrajca... zaprzaniec... To łatwo rzec... A któż winien?... Nie wiem, ale nie ja! Nie ja! Ja m u s i a ł e ml...

Dozorujący robotników dziesiętnik podszedł prosząc, by zobaczył, czy glina dostatecznie udeptana. Orbano porwał się z pośpiechem z miejsca.

— Muszę już iść — powtórzył Mario.

— Niech cię Bóg strzeże, mój najdroższy chłopcze... Kiedyś może zrozumiesz... Przyjdź znów do mnie wtedy... Bądź zdrow...

Poszedł za dozorcą sprawdzać stan mieszanej gliny. Mario powlókł się ku bramie. Odszedłszy kilkanaście kroków przystanął, obejrzał się. Ojciec zdawał się całkowicie pochłonięty pracą. Może już zdążył zapomnieć o bytności syna. Czymże jest wszystko wobec jego wynalazku?... Brązowe, wypukłe cielsko Basilissy połyskiwało w słońcu mocno osadzone w swym łożu ze żwiru i gładów. Mario poczuł, że tży prze-

88

słaniają mu oczy i ruszył dalej. W bramie nikt go nie zatrzymał, nikt o nic nie pytał. Czyż nie widzieli wszyscy wartownicy, jak przed godziną siedząc za ojcem, odzianym w turban beja, cwałował tuż za sułtanem? Wyszedł na błonie, kierując się ku miastu. Przypuszczał, że w domu szlachetnego Anakleta powitają go pytania, wyrzuty, badania, tymczasem nieobecność jego zaledwie została zauważona. Wszyscy byli nadto przejęci nieoczekiwanym wybuchem, straszliwym hukiem, który wstrząsnął miastem. Podobno w całej wschodniej dzielnicy, wyleciały szyby z okien. Sznury ludzi zdążyły za miasto oglądać z zabobonną trwogą ślady olbrzymiego pocisku. Najbardziej zastanawiało wszystkich, że samego pocisku nie było ni śladu.

— Ja byłem niedaleko zaraz po strzale — objaśniał Mario f. Demetriusa, gdy już siedzieli na wozie jadąc ku Bizancjum — ii widziałem kulę... Ogromna, czarna... Był tam sułtan i mnóstwo

żołnierzy. Kulę wygrzebali z ziemi i zabrali z powrotem do obozu... Toczyło ją kilku ludzi...

— Że też ja z tobą nie byłem! — rozpaczał Demetrius. — Że też wyszedłeś tak wcześniej nic mi nie mówiąc... Dlaczegoś to zrobił?... Powiedz zarazi A może i tego puszkarza widziałeś? Musiał tam także być, co? Jak wyglądał?

— Widziałem tylko Turków w zawojach — odparł Mario znużonym głosem.

w

✓

W PRZEDEDNIU

rzyjazd sędziwego patriarchy Sergiusza do Bizancjum można było poczytywać za wyjątkowe zdarzenie, świątobliwy starzec bowiem od kilkunastu lat nie opuszczał celi swojego klasztoru. Mówiono o nim, że ma przeszło sto lat, że po nocach rozmawia z duchami, że widzi rzeczy dla oczu zwyczajnych ludzi zakryte. Od dawna już był raczej świętkiem, powszechnie czczonym symbolem niż żywym człowiekiem. Kościołem greckim rządili za niego zastępcy, gwałtowny Marek z Efezu, po jego śmierci mnich Gennadius, obaj zawzięci przeciwnicy unii z Rzymem, której patriarcha był gorącym zwolennikiem. Choć zdanie oponentów podzielało całe prawie duchowieństwo greckie, starzec mimo pozorne odosobnienie i niedołęstwo potrafił przed kilkunasty lata zamierzonego dzieła dokonać. Akt unii został uroczystie podpisany we Florencji. Kościół, przed trzystu laty rozdarty schizmą * na dwoje, złączył się ponownie w całość. Basileus i przedstawiciel patriarchy złożyli hołd papieżowi, legat papieski, kardynał Izidor, odprawił uroczyste nabożeństwo w Wielkiej Świątyni, czyli u Sw. Zofii. Fakt wiekopomny, mogący mieć nieobliczalne znaczenie dla dziejów Europy, był dokonany.

Niestety, przychodził za późno.

Nienawiść wzajemna Greków i Latyńców rozwieliżmożnita się w sercach zbyt silnie, by prawdziwa jedność mogła się ustalić. Niepojęte lekceważenie niebezpieczeństwa tureckiego przez jednych i drugich zasłaniało oczy na palącą potrzebę wspólnego działania. Duchowieństwo greckie, ciemne i zabobonne, lękało się Rzymu i odżegnywało od narzuconej przez patriarchę i cesarza unii. Mnich Gennadius, piastujący faktyczną władzę duchowną, fanatyk o płomiennej wymowie, nawoływał do oporu i akt florencki nazywał zbrodnią. W tej podburzającej działalności miał potężnych i licznych sojuszników. Czyż sam Lucius Notaras, wielki drongarios armii, krewny cesarza nie rzekł: wolę widzieć w Bizancjum turban Muhammeda niż tiarę papieża?

Nic więc dziwnego, że twórca złączenia Kościołów, patriarcha Sergiusz, rozgoryczony, odsunął się od wszystkiego, dożywając końca stuletnich dni w ustronnym klasztorze. Walkę z Gennadiusem prowadził w jego imieniu kardynał Izidor. Szorstki, nieugięty, energiczny, obcy wschodniemu światu, choć rodem z Morei, zaostrzał jeszcze spór, miał go łagodzić i rzecz okropna, zdająca się nie do wiary: w początku owego roku 1453, co miał być ostatnim rokiem wielkiego cesarstwa, gdy ptaki na drzewach ćwierkały o przygotowaniach wojennych sułtana Muhammeda, gdy dziady prośalne, mnichy wędrownie, kupcy, żeglarze jednogłośnie potwierdzali, że sułtan się zbroi i że celem tych zbrojeń jest niewątpliwie Bizancjum, ludność miasta myślała jedynie o groźącym rzekomo niebezpieczeństwie rzymskim. Przeciw unii lub za nią było wyłącznym przedmiotem dysput i rozmów. Na placach mnisi, miał nawoływać do obrony kraju, wzywali wiernych, by omijali kościół Sw. Zofii, Wielka Świątynia bowiem została sprofanowana przez odprawienie w niej mszy według łacińskiego obrządku.

Ta zdecydowana niechęć nie przeszkadzała jednak bynajmniej oczekiwać pomocy od zniechęconych Latyńców. Niech przyplyną z silnym wojskiem, liczną flotą, niech walczą z sułtanem. Basileus ich hojnie zapłaci. Tak już bywało, tak będzie

i teraz. Barbarzyńcy zachodni kochają się w walce, wojna ich żywiołem. Słuszna, by bronili tych, co szczęku broni nie znoszą, a za rozkosz uważają wykwinę życia, naukę i sztukę...

— ...Wasza Wielbność przednio uczyniła przenosząc się do Bizancjum — mówił, zapalczywie jak zwykle, kardynał Izidor do patriarchy. — We dwóch łącznie może zwalczymy ogólną ospałość.

— Nie przybyłem walczyć, ale umrzeć — odparł patriarcha z westchnieniem. — Koniec idzie. Chcę zginąć na stanowisku powierzonym mi przez Pana...

— Walczyć należy do ostatniej chwili — sarknął niecierpliwie kardynał. Obrzucił szybkim wzrokiem pergaminową, nie-ledwie przezroczystą twarz starca, jego drżące dłonie, wysuwające się jak piszczele z luźnych rękawów ciemnopurpurowej szaty i dodał:

— Więc Wasza Wielbność jest już powiadomiona o niewątpliwych zamiarach sułtana?

— Nie wiem o niczym — wyznał ze zdziwieniem. — Nie przynoszono mi do klasztoru żadnych wieści.

— Więc skądże Wasza Wielbność przepowiada koniec?

— Czuję go, chociaż nie wiem, skąd nadejdzie. Już idzie... Sprawdzają się księgi... Napisane jest: przyjdą poganie, zgłodnieli jak lwy drapieżne... Ludzie mrzeć będą jak muchy... Grabarze pójdą ulicą pytając: kto ma zmarłych? I ten wyniesie ojca, ów syna, ów żonę... Biada, biada grodowi... To czuję, że już nadchodzi...

— Nadchodzi istotnie — potwierdził krótko kardynał.

— Cesarz Leon — ciągnął patriarcha — zwany filozofem, (oby Bóg dał wieczny spokój jego duszy!) w chwilach wolnych od prac ustawodawczych pisał przepowiednie, słowa pozornie bez związku. Kreślił je na tabliczkach, w naszym klasztorze przechowywanych po dziś dzień. Spisał na nich w dwu rzędach wszystkich patriarchów i basileusów, którzy byli i być mieli... Na Konstantynie Paleologu (oby Bóg błogosławił jego dni!) urywa się rząd cesarzy. Na mnie, słudze niegodnym,

92

urywa się rząd patriarchów... W mrokach przyszłości nie dojrzał już dalszych cesarz-filozof...

— Jeżeli zginiecie, zginiecie przez własną winę — zauważył sucho kardynał — nie widziałem w życiu podobnego niedołęstwa jak tutejsze. Jeszcze dziś, gdyby ten lud porwał się, uzbroił, sprawa mogłaby się zakończyć inaczej...

— Stanie się, jak przepowiadał pobożny cesarz — westchnął patriarcha. — Nie poradzi człowiek przeciw przeznaczeniu... Sam Bóg pisze wyrok...

— Wasza Wielebność bluźni... Bóg nie odmawia pomocy nikomu. Wspomaga każde działanie człowiecze... Wspomaga! Bóg nie chce kukieł bezwolnych i takim cudu z pewnością nie ześle... Sami własnowolnie usuwacie się ze świata, nie myśląc o obronie. Krew się we mnie burzy, gdy widzę ludzi rozprawiających spokojnie o tym, czy sobór należycie rozstrzygnął spory teologiczne, gdy sułtan Muhammed już się ruszył z Adria-nopola, już nadciąga... Ma pono ćwierć miliona żołnierzy... Ma straszliwe działa burzące...

— Sprawdzi się, co napisane w księgach — stwierdził z rezygnacją patriarcha. — Dlatego się tu przeniósł, dać głowę na posterunku...

— Głowę dać łatwo... Walczyć trudniej... — zachnął się gniewnie kardynał i wyszedł rozeźlony. Siadł na koń zdążając do oddanego mu na siedzibę pałacu. Cisnął niecierpliwie konia piętami, krzycząc gniewnie, gdy służba nie dość sprawnie usuwała z drogi przechodniów. Ci ostatni nie rozstępowali się śpiesznie, patrząc na kardynała spode łba jako na papieżnika. On im odpłacał równie niezyczliwym spojrzeniem. Przekłęte niedołęgi!... A jednak są chrześcijany i ratować ich trzeba... Zachód musi ich ratować... W jakiej też sile nadciągną panowie chrześcijańscy, zwoływani, zaklinani usilnie przez Ojca świętego? Kto przybędzie? Byle się nie opóźnili! Wenecja obiecywała silną flotę pod dowództwem Loredana. Przedni wojownik... Byle zdążyli na czas...

Spojrzał koso na Hippodrom, wokół którego jak zwykle tłoczyli się masą ludzie. Wynik ostatniej gonitwy pochłaniał cie-

93

kawość ogólną bardziej jeszcze niż unia Kościołów. Opodał, korzystając z cokołu kolumny jako z podwyższenia, herold cesarski odczytywał głośno orędzie cesarza do narodu, trzaskając próżno. Nikt na niego nie zwracał uwagi.

Zniecierpliwiony kardynał zatrzymał konia i stanął koło niego.

— Ludzie — zakrzyknął — słyszycie, co tu czytają! Nie-chajcie wyścigów, tu idzie o wyścig ze śmiercią. Komu życie miłe, niech słuca!

Grzmiący jego głos zrobił wrażenie. Przechodnie stawali, podnosząc ciekawie głowy.

Kardynał wyjął dokument z rąk heroldii sam czytał:

— ...Biada temu i niewart miłosierdzia Bożego, kto nie odszuka wreszcie lepszej części w swoim wnętrzu i nie nagnie wedle niej żywota... Chrześcijanie! Poczujcie się do obrony, póki czas! Macie w sobie dość sił, by wyżenąć Turków, jeno trzeba chcieć tych sił użyć... Niebezpieczeństwo bliskie, a pomoc wątpliwa i daleka... Sami sobie musim radzić... Kto się zaciągnie w szeregi, będzie miał darowane wszystkie zaległości, podatki, długi... Otrzyma więcej jeszcze: odpuszczenie wszystkich grzechów! Zasłuży na łaskę niebios i wdzięczność potomnych... Każda godzina jest droga...

— Aż tak? — przerwał ktoś z tłumu. — Gdzież ten nieprzyjaciół?!

Kardynał opuścił dłoń z pergaminem i spiorunował śmiałka spojrzeniem.

— Zobaczycie go nadto wczesnie! — zagrmiał. — Ślepi, głupi. Nie wiecie, że sułtan Muhammed zaprzysiągł waszą zgubę, że ciągnie już od Adrianopola! Wojska ma tyle, że choćby niebo upadło, starczy mu włóczy, aby je zatrzymać... Działa straszliwe, które skruszą wasze mury i obrócą wniwecz...

— Słyszemy już od dwu lat tę piosenkę!

— Straszycie nas, by łacniej do Rzymu przyłudzić!

— Sułtan był już pod murami i odszedł... Tak samo będzie i teraz...

94

Czarno odziany zakonnik, z długimi włosami, długą brodą w wysokim, czarnym kołpaku, wspiął się na cokół sąsiedniej kolumny.

— Bracia! — krzyczał. — Nie słuchajcie rzymskiego wystawnia. Nic nam nie grozi! Wiadome są przepowiednie świętych ojców. Jeśli nieprzyjaciół wejdzie, nie dojdzie dalei niż do kolumny Konstantyna. Tam się pojawi anioł, który go mieczem wytraci. Gród jest strzeżony przez Boga. Jeżeli Turki wedrą się do miasta, to po własną zgubę.

— Biada Turkom! — wykrzyknął chóralnie tłum.

— Biada wam, nieszczęsne durnie! — warknął kardynał i czując, że jeszcze chwila, a krew go zaleje, odjechał szybko, zostawiając mnicha panem placu i zebranych ludzi. Podobne obrazki zdarzały się tak często, iż winien był się z nimi oswoić, jednakże wstrząsał nim gniew. Otumanione było! Czym je ocucić, otrzeźwić?...

W pałacu zastał niespodziewanie swego sekretarza i powiernika, Gabriela Trevisano, wysłanego przed sześciu tygodniami do papieża z poufnym sprawozdaniem.

— Masz listy? Gdzie? — gorączkował się kardynał — ale przede wszystkim powiadaj! Pomoc idzie? W jakiej sile?...

Trevisano potrząsnął głową przecząco.

— Nie idzie?! — wykrzyknął kardynał z osłupieniem.

— Nie, Wasza Dostojność.

— Nie idzie nikt?!

— Nikt. Oto jest pismo, w którym Ojciec święty pisze toż samo. Ojciec święty robił, co mógł. Listy pisał, sam jeździł, zaklinał....

— To niemożliwe. Król polski?...

— Król polski Kazimierz gotuje się do wojny z zakonem Najświętszej Panny Marii Jerozolimskiej o swoje ziemie nadmorskie. „Nie ociągałbym się iść w ślady brata — prawil posłom Ojca świętego. — Jeno mi tych wilków z karku zdejmijcie... Niech się połączą z Joannitami i na Turków nacierają, co ich obowiązkiem jest, miast nam krzywdy ustawicznej przyczyniać...”

95

— Słusznie mówił — westchnął kardynał — a inni?

— Mediolan walczy z Wenecją... W Lombardii Francesco Sforza zajęty wyłącznie gromadzeniem w jedno dziedzictwa po Viscontich... Nic mu innego nie w głowie... Aragon i Kastylia borykają się z Maurami... Francja i Anglia wyniszczone srogą wojną, którą ludzie będą chyba zwać stuletnią...

— A cesarz niemiecki?! Cesarz! Przecie obiecywał! Ślubował!

— Wasza Dostojność! U Fryderyka III dziesięć obietnic w gębie, a każda fałszywa. Nie dotrzymał jeszcze w życiu ni żadnej... Nie ruszy się z pomocą, zresztą po prawdzie brak mu wojska, pieniędzy...

— A Wenecja! Doża zgłaszał wielką flotę... Miała wyruszać natychmiast?!

— Flota pod wodzą Loredana wypłynęła z Wenecji — przyznał poseł z ociąganiem.

— Już wypłynęła? Dobrze, że choć to... Powinni lada dzień nadjechać?...

Trevisano potrząsnął głową.

— Nie tak skoro, Wasza Dostojność. Loredano otrzymał rozkaz zatrzymania się na Cyprze, dopóki nie przyślą mu dalszych rozkazów...

Kardynał spojrział na mówiącego ze zdumieniem.

— Na co dalsze rozkazy? Dlaczego nie jedzie wprost tutaj?

— Nie wiem, Wasza Dostojność. Sądzę, że Wenecjany, chytre jak to Wenecjany, wolą czekać, co dalej nastąpi... Czy warto lub nie występować przeciw sułtanowi...

— To wszyscy — szepnął kardynał. — O Genuę nawet nie pytam, bo przecież wiem. Pójdą, gdzie im obiecują lepszy zarobek...

— Tak jest, Wasza Dostojność.

— Nie byłyby się rozwiały nadzieje chrześcijaństwa pod Warną, gdyby nie to, że Genuńczyki usłuźnie przewiozły flotę Amurata przez Bosfor... Tak... Więc to wszyscy... Znikąd pomocy...

— Znikąd — powtórzył Trevisano jak echo. — Cóż w tym

96

dziwnego? Każdy kraj ma swego księcia, każdy książę ma swoją sprawę... Czyż wymowa zdoła tyle zwaśnionych między sobą potęg skupić pod jednym znakiem? Kto by stanął na ich czele, gdyby szły w szeregu? Kto by je utrzymał w porządku i posłuszeństwie? Gdzie jest ten, co by zdołał pogodzić Anglika z Francuzem, Genuńczyka z Aragonem, Niemca z Węgrem lub Czechem?... Tak to bowiem dziś świat chrześcijański wygląda...

— Istotnie — przyznał kardynał przebierając niecierpliwie palcami po poręczy krzesła — przecież jednak te rozliczne tłumy szły kiedyś wielką ławą, szły i gromiły niewiernych...

— Pieniądz nie miał wówczas takiego znaczenia jak obecnie... Nikt dziś nie podejmie się czegoś, w czym nie widzi doraźnego interesu...

— Słusznie mówisz, Trevisano. To jest najgorsza bolączka... Pieniądz! Pieniądz! Wszystko dla pieniądza. Dla ziemskiej, krótkowzrocznej, o jakże krótkowzrocznej korzyści... Dla pieniądza warto się choćby z poganami sprzysiąc... Dla pieniądza warto Chrystusa poświęcić... Oby sami przy tym nie zginęli! Jeśli Konstantynopol upadnie, Morze Czarne i Morze Greckie staną się morzami tureckimi... Wiadomo, co znaczą Turki. To nie Arabi, nie Saraceni, co choć pogani, ale wiodły za sobą naukę, wiedzę, przednich budowniczych, bogactwo... To dzięki, złowieszcze plemię! Już dziś Wschód, źródło dawniej bogactw nieprzebranych, staje się jałową pustynią... Obaczysz! Pierwsi płakać będą ci, co teraz radzi z Turkami handlują, a boją się im narazić. Obdtrzyś! Ani się ludzkość obejrzy, gdy pryśnie pomyślność Wenecji, Genui... Gdy janczary zapanują w Bizancjum, a Mameluki * w Egipcie, wieki nie starczą, by naprawić szkody, wyrządzone przez nich w dorobku świata... Ślepy, ślepy świat... Zaprawdę nie wiem, kto ciemniejszy; ten tłum grecki, co mnie nazywa rzymskim pachotkiem i cieszy się, że anioł Turków na Augusteonie wytraci, czy nasi chrześcijańscy panowie... Dać Turkom osadzić się w Europie! Toć nikt już nie zazna spokoju! Ani Polska, ani Węgry, ani cesarstwo! Ani Rzym... To zagłada! Rozumiesz?! Zagłada!

Puszkarz Orbano 7

97

— Może by się łącniej dali ubłagać — zauważył Trevisano — gdyby nie to, że tych hultajów greckich strasznie wszyscy nienawidzą...

— A czy ja ich nawidzę?! — wybuchnął kardynał. — Patrzeć na to paskudztwo nie mogę, ale chrześcijany są... Chrześcijany! Bronić ich to obowiązek... A nie bronić to najwyższa głupota... Ale cóż, kiedy nikt tego prócz Ojca świętego nie rozumie.

Umilkli obaj na chwilę. #

— Daj mi listy Ojca świętego — rzekł nagle kardynał. — Przeczytam je i pójdę do cesarza. Niewesołe mu wieści zaniosę...

Istotnie, przywiezione przez Trevisana, a potwierdzone listem Ojca świętego, Mikołaja V wiadomości były dla Konstantyna Dragazesa ciosem. Więc na żadną pomoc z Zachodu nie można liczyć? Pomimo unii?! Więc wszystko przepadło?!

— Nic jeszcze nie przepadło — odparł zapalczywie nieugięty jak zwykle kardynał — będziemy próbowali obronić się sami...

— ...Będziemy?... — powtórzył Konstanty. — Czyżby Wasza Dostojność chciała zostać?...

— Oczywiście, że nie ucieknę przed sułtanem. Racz, Miłościwy Panie, zwołać co rychlej radę wojenną. Trzeba się zastanowić, co zrobić...

— Według ustawy radę wojenną zwołuje wielki drongarios armii...

— Ten głupiec Notaras?! Miłościwy Panie! Mniejsza o ustawę, zwołaj sam tych paru ludzi, na których możemy liczyć... Francesa... Kantakuzena... Karystinusa... Ja ze swej strony pošlę po Giustinianiego... Podobno jest w grodzie... Również Contario Contarini... Ręk nie opuszczać! To rzecz najważniejsza...

— Nie mogę pomijać Luciusa — rzekł Konstanty z wahaniem.

98

— Wezwijcież go także. I waszych pozostałych świetnych wodzów... akolitę Bazylego... Protostratora... Protospatora... Lo-gotetę armii... Niech się zjedą, byle skoro...

Nie zeszli się jednak, gdyż Lucius Notaras, urażony, odrzekł zuchwale, że narad zwołanych za instygacją * papieżnika nie uznaje, a jego podwładni opowiedzieli się za nim. Tak więc na radzie, omawiającej ostatnie możliwości ratunku Bizancjum, nie było nikogo z właściwych wojskowych dygnitarzy.

— Nie posiadam niczyjego mandatu — mówił Giovanni Giustiniani — nie przybywam z poręki niczyjej, jeżeli jednak zachodzi konieczna potrzeba, mogę stanąć na czele obrony. Ufam, że zbiorę do tysiąca ludzi z moich rodaków, z Kreteń-czyków i wszelkich innych cudzoziemców. A ile może dać gród?

— Jak dotąd nikt się jeszcze nie zgłosił...

— Ja się tym zajmę — obiecał Frances. — Mam nadzieję, że możemy liczyć na kilka tysięcy.

— Gdybym miał pieniądze — westchnął Konstanty — wszystko wyglądałoby inaczej... Pieniądze. Oddałbym za nie wszystko, co posiadam... Niestety, nie jest to wiele... Zwracałem się niedawno do

Luciusa, błagając, by mnie wspomógł przez miłość Przczystej Panagii, przez miłość Ojczyzny... Ale on też nie ma. Dziwił się, dlaczego złośliwi rozprzestrzeniają pogłoski o jego rzekomych bogactwach...

— Złośliwi... — roześmiał się szyderczo kardynał Izidor.

— Przedstawił mi szczegółowo swoje dochody i stan majątku... W ostatnich latach poniósł wielkie straty... Wzmogły się przy tym wydatki... Nie widzę racji, by podejrzewać jego szczerość — stwierdził cesarz z cieniem urazy w głosie.

— Mniejszy z tym. Ja oddałem wszystko, co miałem, na naprawę murów... Czy przynajmniej zostały dobrze użyte?

— O, Wasza Dostojność może być spokojna. Sam sprawdzałem kilkakrotnie raporty komisji...

— A kto sprawdzał mury, nie raporty?

Konstanty zmarszczył brwi. Choć życie od dawna karmiło go samymi upokorzeniami, kardynał doprawdy za dużo sobie po-

7*

99

zwał. Zresztą nikt z obecnych w rzeczonych komisjach nie brał udziału i bliższych objaśnień w tej sprawie nie można było na razie udzielić.

— Ja posiadam uzbieranych dwadzieścia tysięcy talarów — odezwał się milczący dotychczas Karystinus — oddaję je w całości do rozporządzenia Najświetlejszego naftego Pana...

— Wszystko, co mam, jest również jego własnością — powiedział Frances z przejściem. — Jenó, że to nie jest wiele... Trzydzieści tysięcy talarów... Posag mojej córki Damary...

— Dziękuję wam, przyjaciele — szepnął Konstanty ze szczerym wzruszeniem. — Gdyby więcej znalazło się podobnych do was, inaczej byśmy wyglądali...

— Znajdzie się! — zawołał kardynał. — Zawsze powiadam: grunt rąk nie opuszczać!... Jeszcze w ostatniej chwili Bóg może los odmienić. Bronić się! Bronić się! Do serc ludzkich kołatać!

— Choć go dzisiaj pobito, Cyprianus jest zawsze moim ulu-bieńcem — mówiła z żywością piękna Damara, wychodząc z Hippodromu w otoczeniu znajomej młodzieży — w porażce zachowuje tyle godności, spokoju... To trzeba cenić... Tym bardziej, że jego niepowodzenie jest na pewno chwilowe...

— Ja też tak sędę — przytwierdził Kleon — w następnej serii wybije się znów na czoło...

— Prawda? Ach, co to za człowiek. Uwielbiam bohaterów... Po prostu mam kult dla nich... A to jest bohater. Żałuję, że go ojciec dziś nie widział...

— Wielki logoteta dworu zaniedbuje w ostatnich czasach Hippodrom...

Damara skrzywiła usta niechętnie. 4

— Dał się wciągnąć w politykę temu nieznośnemu legatowi — oznajmiła z żalem. — Nie widuję go prawie zupełnie... Ciągłe są razem... Wyobraźcie sobie, że mój ojciec, dla którego właściwie nic poza książkami nie istnieje, zajmuje się teraz... wojskiem.

100

— Jak to, zmienił urząd? — zdumiała się Zoe.

— Zdaje się, że nie zmienił, tylko z polecenia najdostojniejszego pana prowadzi zaciągi...

— Szlachetny Frances prowadzi zaciągi! Przecież od tego są inni, przede wszystkim akolita Anagnostes...

— Właśnie, nie rozumiem, dlaczego wdaje się w nie swoje spfawy... Co prawda, o ile słyszałam, nie chodzi o zwykłe zaciągi najemne... Ojciec namawia ludzi, by wstępowali w szeregi z dobrowoli, bez żadnego wynagrodzenia...

— Któż pójdzie w ten sposób? Po co?

— Bronić grodu przed sułtanem, który podobno nadciąga...

— Straszą nas tymi Turkami jak niańki dziecko, a przecież wiadomo, że Turcy nie ośmielą się uderzyć, gdyby się zaś ośmielili, odejdą z niczym, jak już tyle razy bywało...

— W tym wszystkim jest głębsza gra — rzekł Kleon ściszone głosem — to polityka papieska, której narzędziem jest ten wścibski, nieznośny kardynał, rozsiewający pogłoski o rzekomym niebezpieczeństwie, aby nakłonić nas do unii, do szukania oparcia w Zachodzie...

— Ach, oczywiście, to jasne...

— Dlaczegoż ojciec daje się wziąć na lep? Nie rozumiem. Spróbuję mu wytłumaczyć... Tylko że ja go teraz tak mało widuję!

— Sama słyszałam, jak szlachetny Notaras mówił do pro-tospatora: patrzmy i czekajmy, co z tego wyniknie... Widocznie jest tego samego zdania, co Kleon...

— Pochlebia mi to, ale nie dziwi — stwierdził z przyjemnością młodzienc.

4

„Niewdzięczne wziąłem na siebie zadanie” — myślał z goryczą Frances przeglądając spisy świeżo zwerbowanych. Były zasmucająco ubogie. Mimo wszelkie wysiłki, wszelkie zabiegi, wynik przedstawiał się zniechęcająco. Gdy Giustiniani skrzyknął już wśród cudzoziemców prawie siedmiuset zbrojnych, on,

101

Frances, nie zdołał jeszcze zebrać pół tysiąca. A miasto liczyło przecież sto osiemdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Każdy też, kto zgłosił się do urzędu werbunkowego, był mile widziany, chociażby był wyrostkiem, jak Mario albo De-metrius.

Obaj przyjaciele zgłosili się równocześnie. Łucja Orbanó wraz z dziećmi mieszkała już od dawna w Galacie, ale Mario wrócił do Bizancjum i zaciągnął się jako ochotnik, mimo gwałtownego sprzeciwu matki i chrzestnego ojca.

— Wiedziałaś, że ojciec poszedł do sultana? — zapytał surowo, gdy usiłowała go odwieść od zamiaru.

Pierwszy raz zadał jej to pytanie.

— Domyślałam się i dlatego cię nie puszczałam — wyznała.

— Trzeba mi było powiedzieć prawdę, matko. Całą prawdę. Byłbym wtedy ostatek i dziś w domu siedział... Teraz nie mogę...

Nie dokończył swojej myśli i poszedł. Darmo go było zatrzymywać. Nie był już dzieckiem. Ostatnie przeżycia dodały mu wieku, a myślom ciężaru i wagi. Demetrius znów jak to Demetrius. Poszedł, bo Mario szedł, a wojsko wróżyło nowość. Poza tym nudził się w domu. W biurze werbunkowym nie omieszkał się pochwalić, że był z towarzyszem w Adriano-polu i obaj widzieli naocznie skutki bombardy. To zrobiło nie lada wrażenie. Frances zapragnęła widzieć ich obu.

— Po coś mówił, ach, po coś mówił? — wzdychał Mario idąc.

— Jak to? — puszył się Demetrius. — Miałem o podobnej rzeczy zamilczeć? Zobaczysz, zaraz nas dziesiętnikami zrobią.

Dziesiętnikami ich nie uczyniono, tylko gońcami przy osobie logotety, przed tym jednak Frances kazała sobie najdokładniej opowiedzieć wszystko, co widzieli lub słyszeli w Adrianoplu. Mario milczał, rad, że przyjaciel wyręcza go w opowiadaniu. Słuchając miał w oczach opuszczony klasztor. Nagą salę refektarza oświetloną słońcem, wdzierającym się do niej po raz pierwszy przez wyłom w murze, mur gruby na dwa łokcie, rozwalony od jednego pocisku jak gliniany garnek, druga wewnętrzna ściana przebita podobnie i na koniec głęboka wy-

102

rwa w posadzce... Miał w oczach jeszcze i to, o czym Demetrius nie mówił: sultana kładącego turban beja na głowę ojcową...

— Więc to nie przesada? — powtarzał Frances. — A czy słyszeliście, że podobno Italczyk buduje te działa?

— Tak wszyscy powiadają, ale nic pewnego nie mogliśmy się dowiedzieć — odparł Demetrius.

.Zbrojne kroki zadźwięczały u wejścia. Wszedł Giovanni Giustiniani, główny dowódca obrony, nie uznawany przez wielkiego drongariosa i wielkiego logotetę armii.

— Odmawiają mi wydania broni z arsenału, a ja przecież muszę ludzi ćwiczyć — zawołał zapalczywie.

- Chcę iść natychmiast do Miłościwego Pana!
- Dobrze, zaraz pójdziemy — odparł Frances. — Spójrzcie na tych dwóch malców, szlachetny panie: byli w Adrianopolu, widzieli próbną strzał z bombardy. To, co opowiadają, jest istotnie przerażające...

Rycerz obrzucił chłopców uważnym spojrzeniem.

- Ciebie już gdzieś widziałem — zwrócił się do Maria, który sponął.
- Tak jest, Wasza Miłość. U Antoniego Donino...
- Wybierałeś się wtedy do Adrianopola... Pamiętam... Dla ratowania czci ojca... No i cóż? Dowiedziałeś się?
- Nie zdołałem się dowiedzieć niczego... — wyjąkał Mario czerwieniąc się jeszcze bardziej.

%

astuszek, którego niegdyś Mario i Demetrius spotkali zeszłego lata wędrując, Protos, jego gospodarz, bogaty Anakletus z ulicy Belgradzkiej, dozorca przystani i przewoźnik, Dafnis, wszyscy mieszkańcy Adrianopola i jego okolic stanęli tłumnie wzdłuż drogi, którą idą wojska sułtana Muhammeda. Są istotnie tak liczne, że jak mówił Frances, mogą niebo zatrzymać na włóczniach. Lecz oczy ludzkie ciągną przede wszystkim nie przepyszne pułki janczarów, rosnących, barwistych chłopów o surowych twarzach, wychowanych od małego na chlebie sułtańskim z małych chłopców chrześcijańskich, żalosnej dziesięciny, jaką zmuszone są składać podbite narody. Nie oni zwracają ogólną uwagę, lecz strzeżona tak długo tajemnica warownego obozu. Straszliwe działa burzące.

Jest ich osiem, nie licząc pomniejszych. Łożyska z gładów wyścielonych mokrym żwirem zostały w obozie. Nowe będą wykute ponownie na miejscu. Podłużne cielska brązowe spoczywają na saniach, a raczej pomostach, ciągnionych wprost po ziemi. Do każdego sań zaprzężono sześćdziesiąt par wołów. Stu ludzi idzie przodem, wyrównując starannie drogę, usuwając kamienie, rozszerzając wąskie przejścia. Dwustu ludzi kroczy

"V

bokami, trzymając w pogotowiu liny mające zatrzymać działo, gdyby chybnęło się na spadku lub groziło zsunieniem z pomostu. Za bombardami niezliczony tabor wiezie przynależny do nich sprzęt. Olbrzymie, ciężkie kule marmurowe, zapasy prochu, oliwy i czopów. Idą przez puste wyżyny trackie wśród budzącej się wokół czarownej wiosny. Jarzma wołów skrzypią. Poganiacze krzyczą przeciągle: ahooo... ahooo. Baty świszczą. Setnicy naglą ludzi. Władca wiernych żąda, by szli śpiesznie... spiesznie...

Ciągną tak na oczach zdumionej, milczącej ludności trzy dni i trzy noce. Na wschód, na wschód, na Bizancjum...

Przeszli, tylko kroki tętnią w dali. Każdy powraca do zajęć. Mały pastuszek zagania kozy i śpiewa monotonną, żalosną piosenkę, zawsze tę samą, bo innej nie umie:

...Płaczą słowiki wołoskie, płaczą ptaki śpiewające Zachodu...

...Płaczą nad miastem okrutnie zniszczonym...

Gdy pierścień wojsk muzułmańskich otoczył gęstym mrowiem mury Konstantynopola, zaroilo się w mieście od naj-sprzeczniejszych pogwarek. Nad wszystkie uczucia wybijało się zdziwienie, że jednak Turcy istotnie nadeszli. Więc to nie były bezpodstawne plotki rzymskie? Więc znów oblężenie? Dlaczego? Czym rozniewano sułtana? Na pewno zawinił ba-sileus, ten nie lubiany, nie koronowany skąpiec, wiecznie przewidujący najgorsze. Widno haraczu w porę nie zapłacił, nie upokorzył się dostatecznie i teraz dobry lud ma za to cierpieć. Trzeba go co rychlej przymusić, by błędy naprawił...

Długowłosi mnisi w wysokich, czarnych kołpakach uparcie nawołują:

— Nie miejcie żadnej obawy. Nadejście Turków to kara Boża za unię z łacinnikami, ale żeście jej nie przyjęli, włos wam z głowy nie spadnie. Mury są nie do zdobycia. Gdyby zaś nawet pogany wdarły się do miasta, nie postąpią dalej niż kolumna Konstantyna. Tam pojawi się anioł, który ich mieczem wytraci...

105

— Mury są nie do zdobycia — powtarzają z otuchą inni. — Dwadzieścia dziewięć razy był oblegany Konstantynopol. Na 477 lat przed narodzeniem Chrystusa przez Pauzanasza po bitwie pod Plateami. Potem kolejno otaczali go barbarzyńcy, Rusy pod wodzą Igora, pod wodzą Askolda. Bułgary z carem Symeonem, Awary, Persowie, Arabcy, Sulejman, Harun ar Ra-szyd, Latynicy zdobywający Bizancjum miast Jerozolimy... Nareszcie nie znani przedtem nikomu Turcy. Bajazet Ilderim, czyli Błyskawica w roku 1396. Tenże sam w sześć lat później. Syn jego w 1414. Amurat, ojciec Muhammeda, w 1422. Sam Muhammed przed półtora roku, na koniec obecnie...

Pośród tych licznych napaści jednym tylko Frankom udało się wdrzeć do miasta i zapanować nad nim. Lecz wiadome jest powszechnie, że Frankowie to szatany... Sułtan Muhammed odejdzie ze wstydem jak poprzednio...

— Pono ma bombardy, jakich świat nie widział?... — obawiają się lękliwi.

— Ech, te bombardy! Wszyscy prawią, że budował je puszkarz Orbano. Znamy go przecież. Śmieszny, pocieszny szaleniec. Ten z pewnością nic groźnego nie wymyślił...

— Słusznie prawicie, kumie... Teraz chodźmy do basileusa... Niech zaraz wchodzi w układy...

— Flota. Flota turecka nadciąga.

— Ejże?! Turcy mieliby flotę?

— Ano patrzcie, patrzcie...

Gromady ciekawych biegną na mury od strony morza. Patrzą. Rzeczywiście. Olbrzymia flota śnieży się żaglami. Znaczą liczą. Będzie więcej niż trzysta statków... Silna flota...

— Kiedyż ją zrobili? Skąd się wzięła?.

Nie wiadomo. Nie ulega jednak wątpliwości, że jest. Zielone sztandary Proroka na masztach. Zakotwicza się porządnie tuż u wejścia do Bosforu. Głośny w historii żelazny łańcuch broni im wstępu

do Złotego Rogu. Za tą zaporą stoi w porcie flota bizantyjska. Pożal się Boże! Kilkanaście statków, na poły spróchniałych, przestarzałych, nie mogących równać się

106

w zwrotności i szybkości nowo budowanym... A przecież kiedyś flota grecka nie miała sobie równej w całym świecie...

- Złe, złe... — wzdychają rozważniejsi.
- Abo co? Przecież łańcuch?... I tak nie wpłyną do portu?...
- Ale miasto jest otoczone zewsząd po raz pierwszy... Choćby posiłki z Zachodu nadeszły, jakże się dostaną?
- Wenecja już wysłała pono wielką flotę. Turcy jej nie wydzierżą.
- Daj Boże!

Zakotwiczone statki stoją czujnym, gęstym szeregiem. Od strony lądu słychać tępy stukot siekier, kucie młotów. Janczary rąbią lasy na szanie. Obrabiają głązy na łożyska do dział. Spędzona zewsząd batami okoliczna ludność ciągnie linami głązy. Dwie bombardy staną przed bramą Cerkoportos, drugie dwie przed bramą Kaligaria, tamże kwatery główna sułtana. Trzecie dwie przed bramą Sw. Romana i dwie przed bramą Złotą, niegdyś przeznaczoną dla wjazdów tryumfalnych, od czasów panowania Latyńców zamurowaną. Na niej' posąg Zwycięstwa i cyfry Teodozjusza Wielkiego cesarza. Oprócz tych czterech głównych baterii całe miasto otoczy wieniec dział pomniejszych, lecz także kąśliwych i celnych. Obok ko-lubryn znajdują się nawet staroświeckie katapulty, ciężkie proce do miotania głązów i rozwarłe leje z ogniem greckim, stanowiącym niegdyś postrach świata.

Trębacze tureccy ogłaszają, że do miasta jedzie poseł, więc uspokojeni mieszkańcy radują się ze swej przenikliwości. Jak przypuszczali, skończy się wszystko na układach. Cesarz będzie musiał znów Turkom coś oddać. Ale co?... Bo po prawdzie nie posiada już nic, prócz miasta i kilku małych nie znaczących wysp...

W świetnym orszaku, na białym jak mleko koniu, okrytym złocistym czaprakiem, jedzie wielki wezyr, Khalil Pasza, poseł sułtana Muhammeda. Broda jego jest biała jak sierść konia. Turban skrzy się od klejnotów. Nad nim siedmiokrotny czarnobiały buńczuk * sułtański, bo jedzie jako przedstawiciel władcy. Jadąc spogląda po mieście z ciekawą, uważną rozważą.

107

Na przyjęcie posła basileus autokrator wskrzesza dawno zapomniany ceremoniał przyjęć. W wielkiej, mozaikowej sali stoi nieruchomy, liczny, błyszczący od złota dwór. Biało odziani eunuchowie przy drzwiach. Żołnierze w srebrzystych pancerzach trzymają wartę. Wprawdzie bezcenne klejnoty, zdobiące niegdyś tron cesarski i koronę, zostały dawno wyjęte, zastąpione kolorowymi szkiełkami, lecz od postaci cesarza bije majestat. Na stopach purpurowe ciżmy, haftowane w złote orły. Sztynna, chrzęszcząca, złotolita szata. Kamienny, obojętny spokój twarzy.

- Władca wiernych pozdrawia cię, Paniel — mówi Khalil Pasza kłoniąc się z godnością.

— Pozdrawiam go również. Dlaczego, by przysłać mi pozdrowienie, władca twój otoczył wojskiem nasze mury?

— Władca wiernych powiada ci przez moje usta: „Czas już, by ten gród był jego własnością i jego stolicą. Gród ten jest najpiękniejszy w świecie. Przeto jak najpiękniejsza kobieta słuszna, by należał do najwaleczniejszego i najpotężniejszego. Któż zaś jest waleczniejszy, potężniejszy od władcy wiernych?”

Z najwyższym trudem zachowuje Konstanty na twarzy należyty spokój.

— Słyszę ja dobrze? — pyta stłumionym nieco głosem. — Władca wiernych chce, bym z dobrowoli oddał mu dziedzictwo?

— Władca wiernych chce was, Panie, hojnie odszkodować, oddając w dożywocie księstwo w Azji Mniejszej lub Peloponezie... Wybór księstwa zależy od waszej woli... Władca wiernych jest ludzkim panem. Pragnąłby uniknąć zniszczenia miasta, które tak czy inaczej będzie jego... By nie przyczynić niepotrzebnych ofiar, zgadza się na wasze ustąpienie...

Konstanty milczy przez chwilę.

— Więc sułtan Muhammed — rzecze powoli — gardzi mną do tyła, że śmie podobną rzecz ofiarowywać?... Zaprawdę, niesłusznie! Jeżeli nie zdołam uratować mojego państwa, potrafię zginąć na murach... Żywy z grodu nie ustąpię.

Khalil Pasza gładzi brodę z wyraźnym zmartwieniem.

— Czy to ostatnie twoje słowo, Panie? Waleczność jest

108

piękną cnotą, lecz gdy zawiera w sobie cień nadziei. Tu nadziei nie masz. Nic się nie oprze potędze, jaką przywiódł władca wiernych...

— Dość o tym — przerywa ostro Konstanty. — Możesz odejść, pośle, jeżeli z tym tylko przyszedłeś.

Khalil Pasza kłoni się głębiej nieco niż na powitanie i wychodzi. Odprowadzają go uroczyście, jak przystoi odprowadzać posła. Wielki logoteta dworu idzie obok. Są dobrymi znajomymi. Przed kilku laty, gdy basileus. Konstanty wstępował na tron, Frances jeździł w poselstwie do sułtana Amurata prosząc, by na jego panowanie zezwolił. Uczony logoteta i zaufany kanclerz starego sułtana zaznajomili się wtedy i zaprzyjaźnili. Teraz Khalil Pasza, patrząc wprost przed siebie, cedzi w gąszcz brody:

— Kto nie siał w porę, niech się nie kusi o żniwo... Uprosiłem władcę wiernych, by to poselstwo wysłał, bo mi żal grodu i wszystkich ludzi, co zginą... Nieroztropnie czynicie odmawiając...

— Sam byś tak samo uczynił, wielki wezyrze — odpowiada Frances również bezosobowo.

— Nie utrzymacie się ani miesiąca... Mamy nową artylerię, która zniszczy mury...

— Słyszeliśmy o tym...

Orszak dochodzi bramy dziedzińca. Skłoniwszy się jeszcze raz Khalil Pasza siada z westchnieniem na konia. Odjeżdża. Siedmiokrotny buńczuk kołysze się nad nim. Gapie uliczni patrzą za orszakiem posła z ciekawością. Widocznie sułtan nie chce wojny, skoro pierwszy zaczyna układy...

Wielki logoteta Frances wrócił do pałacu. W audiencjonalnej komnacie Konstanty Dragazes siedział nadal na swym tronie, niegdyś bezcennym, dziś upstrzonym kolorowymi szkiełkami. Zapomniał o ceremoniale, nakazującym cesarzowi sztywną nieruchomość, niewrażliwość na wszelkie ziemskie uczucia. Zatopiony w głuchej trosce, zgarbił się frasobliwie, oparłszy głowę na dłoni. Frances stał dłuższą chwilę bez ruchu, szanując zadumę swego pana.

109

Konstanty ocknął się nagle.

- Ach, jesteś tu? Która to godzina?
- Zdaje się, że piąta... Nie jestem pewien... Zaraz zobaczę...
- Nie warto... Mniejsza z tym... którakolwiek by nie była, to ostatnia, Francesie, ostatnia...

Orbano ma wypieki na twarzy. Dygocze z pośpiechu. Mimo największych wysiłków łożyska jeszcze nie są gotowe. Sułtan nagli, gniewa się i grozi, a przecież najmniejsza niedokładność może popsuć całe dzieło! Pierwszy strzał ma paść z bombardy, ustawionej na wprost zamurowanej przed wiekami bramy Złotej i zwalić stojący na niej posąg Zwycięstwa. Tak chce sułtan. Orbano z niepokojem myśli, czy aby nie chybi, i ta troska nie dozwala mu zastanawiać się nad czymkolwiek innym. Od Genuieńczyków, sprzedających oliwę potrzebną do dział, dowiedział się już, że żona z dziećmi mieszkają w Galacie. Chwała Bogul Zaleci do nich kiedy, gdy będzie miał czas. Na razie pochłania go tylko robota.

Stojąc na wzgórzu sułtan Muhammed przygląda się uważnie pracy. Gniewa go jej powolność. Prędeż! Prędeż! Co za szczęście, że basileus nie przystał na dobrowolne oddanie grodu. Muhammed wysłał poselstwo, ustępując prośbom Khalila, dziedzinniałego starca, nie znoszącego krwi, a wysławszy zgrzytał zębami na myśl, że Konstanty skwapliwie przyjmie podane warunki i on, Muhammed, wejdzie do miasta bez bitwy. Osiągnięcie marzenia całego życia w ten łatwy, kupiecki sposób nie sprawiłoby mu najmniejszej radości.

Na szczęście basileus nie przystał. Będzie walka. Krótka zapewne, bo Greci do obrony nie są zdadne, ale będzie.

Sędziwy patriarcha Sergiusz modli się niby przed końcem świata. Nieomylnym instynktem człowieka, od dawna żyjącego wyłącznie duchem, wyczuwa, że coś się kończy, rozpada, przemija... Jest głuchy, przy tym nieżądny wiadomości ze

110

świata, przeto nie wie, co nadchodzi, co grozi, w jakim objawi się kształcie. Wyczuwa jednak, że ład dotychczasowy się wali. Nie wie, czy zwalony kiedykolwiek z gruzów powstanie. Lecz, modląc się, nie czuje lęku ani żalu. Nie stanie się nic innego, niż to, co Bóg przeznaczył... zasądził... Niechaj się spełnia Jego Przenajświętsza Wola.

W starym, mrocznym klasztorze bazylianów blask dnia z trudem wypłaska cień nocy. Chłodny, rzeźwy mrok czai się jeszcze w zakątkach. Dłonie brata Porfiriusza, który idzie dzwonić na jutrznię, wydają się w nim przezroczyście. Widmową dłonią brat przeciera pełne snu oczy. Sięga, by zatargać sznurem, i zastyga w przerażeniu... Bo... oto... coś strasznego nad wszelkie pojęcie targa całym ciałem, wstrząsa murami, ziemią, całym światem... Małe szybki w wąskim oknie dzwonią przeraźliwie. Huk niepojęty wali się na głowę, toczy jak grzmot, przygniata. W panicznym strachu brat Porfiriusz szarpie sznur, lecz dzwonu nie słyszc wśród huku. Trzęsienie ziemi! Trzęsienie ziemi! Ratuj się, kto może! Z cel wysuwają się pobladłe twarze. Dzwon wciąż dzwoni. Huk ucichł i teraz słyszc, że odpowiadają mu inne dzwony. Biją w całym grodzie. Na trwogę. Biją, by zagłuszyć grzmot. Nie zagłuszają. Ponowny wstrząs powietrza napiera uszy, piersi, tamuje dech, dławii. Ziemia stęka i dygoce. Szyby przerażone lecą na posadzkę dzwoniąc ostro, przeraźliwie. Wiązania dachów kołącą.

Trzęsienie ziemi! Zewsząd biegną tłumy oszalałe, nie wiedzące, gdzie się skryć, jak chronić. Gęsty dym snuje się wokół murów od strony bramy Złotej i bramy Kaligarii. Ejże, to nie trzęsienie ziemi! Znowu trzeci, czwarty wybuch. Trzeci, czwarty grzmot uderza. Dym chmurą wytryska... To nie ziemia się wzburzyła, to wałą sułtańskie straszliwe bombardy...

Piąty raz... Szósty raz... Nikt nie śmie ruszyć się z miasta ku murom. Przed szatańskim rykiem dział ludzie ukrywają się w najciemniejsze kąty. Pełzną pod murami, zasłaniając oczy, owijając głowy. Od murów nadbiegają obrońcy... Mają grozę

111

w oczach. Wołają, że takich pocisków żadne mury nie wytrzymają. Pierwszy trafił w bramę Złotą, strącił statwę Zwycięstwa... Drugi wykruszył wielki zręb zewnętrznego muru i potoczył się do fosy... Trzeci, strzelony od bramy Kaligarii, przeniósł ponad pierwszym murem i wyrwał srogi kawał wewnętrznego... Święty Boże! Święty Mocny! Zmiłuj się nad nami!

Przeor bazylianów chwyta za ramię brata Porfiriusza, co półprzytomny, uwieszony u sznura, dzwoni nieustannie. „Dość, bracie! Chodźmy wszyscy, może się przydamy...”

Ciągną przez miasto wołając: „Na mury! Na mury! Bronić!” Lecz nikt się ich śladem nie kwapi. Każdy z trwogi włązi w najciemniejszy kąt i nie chce stamtąd wychynąć.

A bombardy znowu wałą. Znow ziemia dygoce. Górą kołuje przerażone ptactwo. Od początku świata nie widziano nic równie strasznego. Siedem razy w ciągu dnia dają ognia niesamowite działa, iście przez diabła odlane. Wśród nocy raz. Sześćdziesiąt cztery strzały, sześćdziesiąt cztery gromy wałą każdej doby w gród. Słyszał kto o czymś podobnym? Większość tych pocisków uderza w mury topniejące z każdym dniem, niektóre przenoszą górą, wpadają do grodu, rozbijają domy, miażdżą ludzi, wrywają głębokie dziury w ulicach i placach. Wyjąc z przerażenia mieszkańcy uciekają z dzielnic w dzielnicę, lecz nigdzie nie masz bezpiecznego miejsca. Łamią w trwodze ręce. Czują się jak w złowrogim śnie. Wszakże to nie oblężenie! Nie masz machin oblężniczych. Nikt się nie wspina na mur po drabinach. Niepotrzebne stoją kotły ze smołą i wodą. Nie ma po co ognia rozpalać, nie ma po co wrzątku grzać. Turcy nie podchodzą pod mury. Tylko bombardy grzmia, za każdym pociskiem odłupując złomy ścian, od tysiąca lat strzegących Bizancjum. Od tysiąca lat strzegące miasta mury Teodozjusza Wielkiego drżą jak w febrze, pękają i osypują się do fosy. Po każdym strzale janczary

tureckie podbiegają z dzikim wyciem radości patrzeć, czy pocisk celnie trafił i co zdziałał. Zacietrzewionych, niebacznym udaje się wtedy ustrzelić z łuku lub kuszy, ale słaba to pociecha.

112

Plan sułtana jest jasny: nie myśli pchać ludzi do szturm, dopóki nie zwali murów. Nic go wtedy nie zatrzyma. Najeźdźcy wtłoczą się do miasta jak rzeka. Oczekując tego mieszkańcy wyją z obłąkanej trwogi. Nigdy otrzeźwienie nie było na-glejsze, ocknienie dotkliwsze. Z wyżyn bezmyślnej ufności, beztroskiego lenistwa staczają się w głąb rozpacz. Huk toczący się po murach, odbijający echem o fale morza rozbija wielowiekowe złudzenia o bezpieczeństwie, nietykalności, sobkowskich przywilejach, których nic naruszyć nie zdoła. Miłośnikom zawodów, igrzysk i biegów, wygodnego życia, opancerzonym poczuciem urojonej wyższości, przekonaniem, że wszystkie narody istnieją po to, by obywatelom Cesarstwa Wschodniego służyć — otworzyła się nagle pod stopami otchłań, przed którą nie masz, nie masz ratunku ani osłony. Ci sami ludzie, co przed tygodniem patrzyli z obojętną ciekawością na otaczające miasto wojska tureckie, co widząc poselstwo Khalila Paszy cieszyli się, że sułtan pierwszy zaczyna układy — przesadzają się teraz w opowiadaniu o okrucieństwach i bezwzględności tureckiej. Wszystkie wieści zasłyszane ongi z okazji zdobycia Adrianopola, zdobycia Nicei, Nikomedii, nie dochodzące wówczas do świadomości, ukołysanej przekonaniem o nietykalności Bizancjum — teraz ożyły, runęły, zwaliły się jak lawina okropności. Wszystko, w co nie chcieli niegdyś wierzyć, stało się teraz jawne, prawdziwe, niewątpliwe, rychłe. Paraliżowało trwogą członki, odbierało ducha. W ostatecznej rozpacz ni by tonący, ni by dzieci czepiali się nadziei, że anioł zapowiadany przez mnichów wytraci ognistym mieczem Turków, gdy wędrują na plac Augusteonu. To się musi stać! Bizancjum nie może zginąć! Bóg ześle cud! Więc płaczące z przerażenia tłumy wloką się na kolanach do świątyń, skomlą, rozpaczają w głos. Bogaci chciwcy po raz pierwszy w życiu rozdają hojnie jałmużny. Jedno im tylko nie przychodzi na myśl: obrona.

Mimo nawoływań, zakłęb, przykład ojców bazylianów nie pociąga za sobą prawie nikogo. Wprawdzie miasto nie jest tak ludne, jak było przed wiekami. Liczba mieszkańców z pół

Puszkarz Orbano 8

113

miliona spadła na 180 tysięcy — wszakże co dziesiąty człowiek mógłby chyba dźwignąć miecz? Dałoby to 18 tysięcy. Niestety! Niestrudzony Frances mimo największych wysiłków nie zdołał zebrać całych 5 tysięcy. Historia zapisała skrzętnie dokładną cyfrę tych ochotników: 4987.

Giovanni Giustiniani zwerbował wśród cudzoziemców trochę ponad 3 tysiące. Z 8 tysięcy ludzi zatem składa się ostateczna, śmiertelna obrona Bizancjum.

Na razie obrona ta polega wyłącznie na zmuśnym naprawianiu murów. Chodzi o opóźnienie momentu wtargnięcia Turków do miasta. Może tymczasem nadejdzie przecież jakaś pomoc z Zachodu? Może nadpłynie flota wenecka, stojąca na Cyprze? Szpiedzy ciągle o niej mówią. Wszak została uzbrojona i wysłana dla walki z niewiernymi... Byle przetrwać! Każda chwila może stanowić o istnieniu miasta.

Więc nieliczni obrońcy pracują jak lwy, jak bohaterzy Homerowi. Każdy starczy za dziesięciu, za całe opieszale, bezgłowe miasto. Zapomnieli snu, jedzenia. Dźwigają kamienie, wory z piaskiem, wielkie

belki, wzmacniając zrysowane, walące się mury. Spuszczają na sznurach zwały wełny, mające osłabić siłę uderzenia pocisku. Lecz każdy nowy strzał rozbija w drzazgi te barykady, rozsypuje tumanem piasek, robi nową, większą wyrwę, zabija nieustraszonych obrońców. Z nieugiętą wytrwałością zakładają wyłom ponownie faszyną, wełną, kamieniami, zalewają wapnem, ołowiem, ściągniętym z dachów. Równocześnie spoglądają tęsknie ku morzu. Czy nie nadpływa oczekiwana pomoc? Czy za murem floty nieprzyjacielskiej, osaczającej gród, nie zabielią się zbawcze żagle?

Raz po raz pocztą gołębią cesarz daje znać do Galaty błagając, by posłano jeszcze jednego gońca do Wenecjan na Cypr, z żądaniem pośpiechu. Czy jednak prośba ta jest wykonana? Któż wie? Z goryczą, z nienawiścią lud teraz mówi o Italczykach. Mur naprawiany w zeszłym roku przez Manuela Giagari, zaufanego dostawcę logotesionu, naprawiany za dobre, ciężkie talary legata, stanowi najśłabszy punkt obrony. Każdy pocisk robi w nim wyłom na przestrzał. Ze środka sy-

114

• I,

pią się piasek i gruz. Kardynał Izydor widząc to zgrzyta zębami. O, gdyby dostał tego złodzieja w ręce! Lecz Manuel Giagari jest od dawna bezpieczny w Galacie i nic mu nie grozi.

Bo Galata nie bierze udziału w walce. Za ledwie wojska tureckie nadeszły, podesta podpisał z sułtanem układ, warujący Galacie neutralność. Neutralność ta nie przeszkadza, że w dzień Genuieńczycy przyjmują pocztę gołębią cesarza, obiecują słać gońców na Cypr i dostarczyć broni, w nocy zaś zaopatrują Turków w oliwę, potrzebną do smarowania bombard po każdym strzale. Jednym i drugim każą sobie drogo za te przysługi i obietnice płacić. Most łączący Galatę z grodem został zniszczony przez pociski tureckie, rzucone z okrętów. Z wody sterczą tylko zwęglone pale. Z wysokiej wieży strażniczej mieszkańcy italskiego przedmieścia patrzą ze spokojem widzów na agonię miasta, w którym wzrosli.

Lecz Italczykami są również Giovanni Giustiniani, główny dowódca obrony, Contario Contarini i ci wszyscy, co się do szeregów na zawołanie Giovanniego zaciągnęli. Tym rumieniec pali lica na widok postępowania handlarskich rodaków. Z tym większą zawziętością i męstwem starają się złe wrażenie zatrzeć, zatracić przez własną gorliwość.

Obok Giustinianiego kieruje wszystkim osobiście sam cesarz. Z nim legat papieski Izydor, jak zwykle nieustępliwy, powtarzający swoje: ręk nie opuszcza! ręk nie opuszcza! — kipiący energią do ostatniej chwili, i wierny Frances, wielki logoteta dworu. Łagodny uczony przedzierzgnął się z musu w wojaka. W przeciwieństwie do kardynała nie żywi żadnej nadziei, lecz czuje, że wytrwać trzeba. Czuje też, że z każdą chwilą miłuje bardziej swojego cesarza i nie chce go odstąpić.

Lucius Notaras, główny dowodzący wszystkich sił zbrojnych cesarstwa, jest nieobecny. Obłożnie chory. Zasłabł właśnie pierwszego dnia oblężenia. „Ze strachu” — mówią złośliwi. Razem z nim słabuje wielu spomiędzy wyższych wojskowych dygnitarzy.

«* 115

Piękna Damara, strwożona, pobladła, wysiadła z lektyki. Błaga ojca, by zaszedł choć na godzinę do domu umyć się, wypocząć. Po namyśle Frances przystaje. Nie chce jednak sięść do lektyki i idą oboje pieszo.

Ktoś kłania się nisko do ziemi na Portowej ulicy. Damara omal nie wykrzykuje ze zdziwienia. Cyprianus, uwielbiany przez nią zwycięzca Hippodromul Jakże się zmienił! Znędz-niał, zmałał...

— Co się z tobą dzieje, Cyprianusie? — zapytuje logoteta.

— Kręcę się, Wasza Dostojność, jak szczur w pułapce... — wyznaje młodzian zbolalym głosem — co za położenie! Co za położenie! Pomyśleć, że nie ma sposobu stąd się wydostać... Szczury w pułapce... jesteśmy wszyscy jak szczury w pułapce...

Przeciągły grzmot wstrząsnął powietrzem. To odezwała się bombardarda przed bramą Cerkoportos ustawiona. Piękny zawodnik wzdrygnął się z rozpaczą.

— Szczury w pułapce — powtórzył raz jeszcze żałośnie.

Damara przeżegnała się na głos strzału, ale zachowała spokój.

— Dlaczego niś idziesz na mury, Cyprianusie? — zapytała wyniośle. — Mój stary ojciec pracuje tam dzień i noc...

Siłacz potoczył bezradnie spłoszonym wejrzeniem. - -- Nie umiem robić orężem...

— Tam nie trzeba umiejętności, tylko siły i odwagi... Nosić kamienie i belki potrafi każdy...

Zmierzyła go pogardliwym spojrzeniem i ruszyła naprzód, pociągając ojca. Szli w milczeniu. Naraz Frances spojrział na córkę uważnie. Dwie łzy spływały jej po policzkach.

— O tego chłystka ci chodzi? — zapytał ostrożnie.

Potrząsnęła gniewnie głową.

— Miałam go za bohatera... Taki wydawał się mężny, spokojny... A teraz...

— A teraz stchórzył? Tak bywa. Nie każdy odważny na torze okazuje się mężny w życiu. Sprawność fizyczna nie zastąpi siły ducha...

116

p

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu.

— Cyprianus mówi, że nie ma sposobu wydostać się z miasta — podjął znowu Frances — ale ja mam i ciebie wyprawię, pieszcotko moja miła... Już dawno nad tym przemyśliłam... Stary Antonio Donino przyjeżdża tu łodzią jako wysłaniec po-desty.j. Turcy mu nie bronią pod warunkiem, by nic i nikogo nie przewoził. Gdyby kogoś u niego w łodzi znaleźli, biada! Obiecał mi jednak, że ciebie

przewiezie zawiniętą w płótno żaglowe, złożoną na dnie. Będziesz musiała leżeć bez ruchu, ale cię wywiezie... Jużem mu za to zapłacił... Zresztą to porządny człowiek...

- Jednego dnia wywiezie mnie, a drugiego ciebie — zgodziła się z ulgą Damara.
- Mnie? — głos Francesa zabrzmiał najgłębszym zdumieniem. — Skądże? Moje miejsce jest tu, przy moim panu...
- I co? I co? I chcesz zginąć? — zawołała rozpaczliwie.
- Chcę podzielić los przeznaczony nam wszystkim i Bizancjum...
- Więc ja też zostaję...
- O nie... Ty, pieszczotko moja... Na gorsze rzeczy niż ja byłabyś narażona... Jedyłą moją pociechą będzie świadomość, że jesteś z dala bezpieczna...

Rozpłakała się żałośnie.

- Nie chcę odjechać od ciebie!
- Musisz, kochana, by mi nie przysparzać udręki... Odjedziesz pojutrze... To postanowione...

Począł rachować na palcach.

- Dziś szósty dzień tego piekła — podjął — do pojutrze jeszcze wytrzymamy... Wytrzymamy może jeszcze cztery dni... O, gdybyż Wenecjanie nadpłynęli lub gdyby nas było więcej! Jeżeli flota stojąca na Cyprze jest tak potężna, jak mówią, mogłaby nas jeszcze uratować...

Nowy huk targnął powietrzem. Frances zasłonił uszy oburącz...

- Nie mogę już tego słuchać — wyznał. — Przeklęty, kto te bombardy zbudował, przeklęty!

117

Idąc za nimi o dwa kroki nieodstępny goniec Francesa Mario, skulił się w sobie jeszcze bardziej na te słowa. W ostatnich czasach zmienił się do niepoznania, schudł, szerniał. Nie dziwota! Niełatwo było żyć z taką udręką!

... Przeklęty... Tak, od dawna nie było tajemnicą dla nikogo, że nieznaną twórcą straszliwej artylerii sułtańskiej i ośmieszony dziwak puszkarz Orbano — to jedno. Wszyscy przeklinali go w głos, wzywając na jego głowę pomsty niebios. Proszą Boga, by ukarał krew jego, jego potomstwo w setne pokolenia, by nie przebaczył zdrady i krzywdy wyrządzonych chrześcijaństwu. Mario, gdy to słyszy, skręca się ze wstydu i bólu jak robak. Czasem wstyd przeradza się w bunt, w gniew... Czyż ci, którzy przeklinają, nie są równie winni? Dlaczego nikt nie był dość mądry, by się zająć wynalazkiem ojcowym, by mu uwierzyć, tylko sułtan?

Złocisty miesiąc przeziera skroś zasłon okiennych. Damara nie może zasnąć. Wokoło cisza, lecz wiadomo, że niedługo przerwie ją ośmiokrotny grzmot, od którego zadrży miasto. Zresztą to jej przedostatnia noc... Pojutrze, a właściwie jutro ma wyjechać... Dobry ojciec, że tak obmyślił... Odjechać, odjechać co prędzej! Tylko... jakże go tutaj zostawić?...

Miesiąc oświeca prześliczną komnatę, pieszczone gniazdo wykwintu i zbytku, łamie się w kryształowych czarach, ślizga po krawędziach pozłocistych sprzętów, lśni w fałdach jedwabnych kotar. Dziewczyna patrzy na otoczenie, w którym wzrosła, jakby ujrzała je po raz pierwszy. Jak tu pięknie!... Pięknie!... I to wszystko ma zginąć, przepaść? Wszystko to zostanie spalone, zburzone lub rozgrabione przez dzikie ręce najeźdźcy?...

Krótki nagły szloch schwycił ją za gardło. Wnet za nim przyszło pojęcie, że nie tylko jej urocza panińska komnatka ma być zdana na zagładę. To samo dotyczy grodu, całego grodu, niegdyś „strzeżonego przez Boga”, a którego Bóg widno się wyparł, skoro go nie chce ani strzec, ani ratować. W nagłym nie-

118

pojętym olśnieniu pojęła po raz pierwszy w życiu i miłość do ojczyzny, i ból po utracie jej. Niewytłumaczony wstyd, z jakim słuchała białej Cyprianusa-zawodnika, powrócił, tym dotkliwszy, że tyczył się teraz jej samej. Nigdy dotąd nie słyszany głos pytał z pomroki: „Coście, coście uczynili, żeby ojczyznę ratować?...”

Ja nic... nic... tylko ojciec... Drogi, stary ojciec... Ujrzała tuż przy sobie jego twarz zmęczoną, jakby spłowiłą, pełną zmarszczek. Za nim piękny Cyprianus, dygocący ze strachu, kwilący jak małe dziecko... Wróciło poprzednie uczucie wstydu coraz przykrzejszego. Tak jak Cyprianus zachowywała się prawie cała świetna, bogata, bizantyjska młodzież. Prawie cała. Pałacy rumieniec oblał w mroku policzki Damary.

Frances zdziwił się niemało, ujrawszy córkę zbliżającą się ku niemu żwawym krokiem o niezwykle rannej porze.

— Przyniosłam ci sama śniadanie — rzekła — a poza tym chcę oznajmić, że nie wyjadę nigdzie. Zostanę z tobą do końca. Będę pracować i nawet walczyć, jeśli trzeba, jak ty.

Spojrzał z rozrzuwionym pobłażaniem na jej zarumienioną twarzyczkę.

— Pogadamy o tym później. Tymczasem przysłaś w ważnej chwili. Zdaje mi się, że Wenecjanie nadpływają...

— Nie może być! — krzyknęła radośnie.

— Nie krzycz, jeszcze nie wiadomo... Nie warto ludzi po próżnicy łudzić... Pacholek jeden, który ma wzrok bystrzejszy, prawi, że jakoweś żagle widać, ale nikt z nas jeszcze ich nie baczy...

Stojąc obok córki wpatrzył się w dalekość morza. O kilkanaście kroków od nich, na składanym, przenośnym krześle siedział basileus Konstanty Isapostolos *, bez dworu i świty. Odziany był w lekki, pozłocisty pancerz. Purpurowe sandały, szyte w złote orły, świadczyły jedyne o jego godności. Przy nim legat papieski Izydor i Giovanni Giustiniani. Wszyscy również patrzyli na morze.

— Nie widać nic — westchnął Frances. — Zaraz mówiłem, że się coś pacholikowi ubrdało...

119

Urwał, bo cesarz przyzywał go ręką. Podbiegł ku niemu z pośpiechem.

— Prawda jest — mówił Konstanty radośnie. — Patrz! Płyną, już widzę całkiem wyraźnie... Jeden... dwa... trzy... cztery... Nie mówmy o tym głośno, by powszechnej uwagi nie zwracać... Turki z dołu nie tak szybko zobaczą, a im później się spostrzegą, tym lepiej...

— Sześć żagli widzę — stwierdził Frances z przejęciem.

— Tak, sześć. Reszta widocznie pozostała w tyle, te wysyłają na zwiady.

Zamilkli, bo w tejże chwili zagrzmiało, jakby niebo miało im runąć na głowy. Od szeregów tureckich wionął dym, spod stóp obrońców pył. Gdzieś waliła się ściana z łomotem.

Giustiniani pobiegł zobaczyć szkody. Pozostali patrzyli dalej na morze z dziękczynnym utęsknieniem. Flota nadpływała powoli. Powoli punkciki żagli rosły, przybliżały się... Sześć ich było. Dalsze nie ukazywały się na razie, lecz patrzący nie niepokoił się tym. Z Wenecji wypłynęło pono przeszło czterdzieści okrętów.

— Pogany nic jeszcze nie widzą. Na pokładach nikt- się nie rucha.

— Zaraz pchnę ludzi na dół, by stali przy kołowrocie, a opuścili łańcuch, skoro tylko zajdzie potrzeba! — zawołał Frances, zbiegając jak młody.

Legat zęgnął się uroczyście znakiem krzyża. Dłoń miał szorstką, stwardniałą od dźwigania ciężarów. Cesarz Konstanty oddychał głęboko. Zaprawdę, najwyższy był czas, by pomoc nadeszła! Więc jednak Bóg się zlitował! Czterdzieści okrętów to co najmniej osiem tysięcy świeżych ludzi do obrony, to przede wszystkim znów wolne, otwarte morze! To możliwość zaatakowania sułtana na tyłach. To nadzieja! Nadzieja!

Zaprawdę, chwila była ostatnia. Pierwszy, zewnętrzny mur przestał już właściwie w kilku punktach istnieć. Skruszony, zwalony, zalegał rumowiem fosę. W tych miejscach ataki nieprzyjaciela uderzały bezpośrednio w mur wewnętrzny, jedyną ostatnią osłonę, jedyną zaporę pomiędzy wrogiem a miastem...

120

— Nieroztropnie, że się wypuścili samosześć — zauważył cesarz do powracającego Francesa. — Jakże się przedrą przez Turków? Mogą zginąć w naszych oczach...

Jakoż na pokładzie sułtańskich galer spostrzeżono już nadpływających! Świszczały przeraźliwie piszczałki. Z pośpiechem otwierano kłapy w bokach statków, z których wyjrzały jadownicze paszcze dział. Gorączkowo flota turecka gotowała się do boju.

Stojący na murach obrońcy mogli być tylko widzami oczekiwanej bitwy. Działa grodzkie nie donosiły do galer tureckich. Mogła wprowadzić flota grecka wypłynąć ze Złotego Rogu, uderzyć z tyłu na Turków i legat Izydor domagał się tego. Lecz wielki drongarios floty, przywołany z rozkazu cesarza, oświadczył, że to niemożliwe z racji nieprzygotowania.

— Okręty Najdostojniejszego Pana tak dawno nie były w użyciu...

— ...że wszystko już na nich zdążono pokraść! — sarknął kardynał groźnie. — Znam wasze złodziejstwo! Wszędzie złodziejstwo! Statki nie przygotowane! Kiedyż, na Boga, winny być bardziej gotowe niż teraz?!

Drongarios floty wycofał się szybko, nie tając urazy, i cierpkie słowa kardynała padały w próżnię. Cesarz milczał. I patrzył. Bezczyinnie patrzył. Myślał nad błędami rządów ojców i dziadów, ujawniających się teraz tak przeraźliwie jaskrawo. Biurokracizm, papierowość, sprzedajność. Wszędzie pomiędzy nim, cesarzem, a jego wojskiem, a jego flotą, jego ludnością stał tłum urzędników obojętnych, nierzadko obcych, leniwych i nieodpowiedzialnych. Gdzieś coś się działo. Do niego, cesarza, dochodził tylko beztreściwy papier o zdarzeniu. Wspomniął, co mówiono o Muhammedzie: że pracuje od świtu do nocy, sam kierując wszystkim, o wszystkim najdokładniej wiedząc...

Spóźnione i gorzkie rozmyśły pierzchły wobec rozpoczynającej się już bitwy. Nadpływające statki były to wielkie brygi trzypokładowe, trzymasztowe, spiętrzone, ziejące otworami dział. Każdy okręt opatrzony był z przodu w wielką, stalową

121

ostrogę, służącą zarazem jako ochrona dzioba i narzędzie ataku. Rozwinięte żagle wydymał wiatr południowy, że płynęły z szumem, rozbryzgując wokoło pianę. Nie zwalniając pędu, runęły jak wspięty koń na niższe znacznie tureckie galery. Huk wstrząsnął morzem i grodem. Boki statków zakwitły dymem, który skrył walczących. Z gęstego obłoku dolatywał grzechot salw, zaciekle wrzaski, trzeszczenie burt, łomotanie żagli. Słoczone na ciasnej stosunkowo przestrzeni galery tureckie nie mogły sprostać rozpędzonemu nieprzyjacielowi. Konstanty patrzy na walkę z murów z nadzieją w sercu, sułtan Muhammed z przeciwnego z wściekłością. Dopada do Orbana.

— Strzelaj do nich! Strzelaj!

— Nie zdołamy obrócić łożyska, Miłościwy Panie...

— Więc co warte twoje działa, psie przeklęty?! Nie zdołasz obrócić! Głupcze!

Wraca tuż nad brzegiem, wpiera ogiera w morze krzycząc i wygrażając swoim. Woda znosi konia, Muhammed nie zważa na to. Sinego, nieprzytomnego z gniewu jeden z wezyrów wyciąga na brzeg, chwyciwszy sułtańskiego rumaka za wodze.

Tymczasem Grecy opuścili ze zgrzytem łańcuch gruby jak udo mężczyzny, zamykający wejście do Złotego Rogu. Osunął się w wodę niby śliski, zielony smok. Zwycięskie galery, dymiące bokami, zasłane drzazgami zrąbanych burt, już są u wejścia. Złocisty lew pani Adriatyku trzepoce się dumnie na masztach. W grodzie znowu biją dzwony, tym razem dziękczynne.

Galery tureckie daremnie usiłują przedostać się do portu tuż za brygami. Morderczy ogień wenecki ściele gęstym trupem pokłady, zatapia łodzie. Z chrzęstem wielki łańcuch ukazuje się znów na powierzchni, wznosi, napręża, trafia na przód tureckiego statku i przewraca go jak łupinę. Złoty Róg jest znów zamknięty. Przybyłe statki bezpieczne.

— Ale gdzie reszta? Gdzie reszta? — niecierpliwi się Konstanty.

— Dowiemy się zaraz, Najświatlejszy Panie, oby Bóg błogosławił twoje dni. Już płyną ku nam...

Admirał turecki, renegat Baltu Oglu, leży pokornie u stóp swego władcy, który z wściekłością okłada go złocistym buzdyganem. Stojący wokół wezryzy cmokają z zachwytu nad łaskawością pana, który miał winnego kazać obedrzeć ze skóry, zadowala się biciem, i to własnoręcznymi. Nie każdemu dano dostąpić takiego zaszczytu 1...

Zmęczywszy się sułtan ciska buzdygan na ziemię i kopie nogą leżącego admirała. Niech wstaje i odpowiada.

Nierychło poruszył się skatowany i zaszczycony Baltu Oglu. Na koniec z największym wysiłkiem czołga się o krok i całuje żarliwie ciżmy sułtańskie.

— Wstawaj i słuchaj — parska gniewnie Muhammed.

Lecz Baltu Oglu nie może powstać. Inni podejmują go pod

ramiona i podnoszą. Wstrzymując mężnie jęk, patrzy z oddaniem i lękiem w srogie lico pana.

— Przez ciebie, psie, spotkała mnie hańba! — syczy sułtan. — Trzysta moich statków nie zdołało zatrzymać sześciu! Sześciu!

— Nasi ludzie nie są jeszcze dosyć sprawni... — jąka Baltu Oglu.

— Więc ich powieś, a weź sprawniejszych. Weź Italczyków, Greków... Daj im złota, wiele chcesz. Chrześcijan zawsze można kupić.

— Uczynię tak, Władco Wiernych...

— Dajęć tydzień czasu. Jeśli ci życie miłe, za tydzień nasze statki muszą stać tu w porcie, za łańcuchem... Rozumiesz. Na pal wbiję, na ogniu piec będę, jeśli tego nie dokonasz... Rozumiesz?

— Rozumiem, Władco Wiernych — zapewnia admirał.

4

«

r ■

l'.

SPEŁNIAJĄ SIĘ WRÓŻBY

esarz Konstanty nie ruszał się z miejsca wzrokiem śledząc gorączkowo zbliżającą się do brzegu łódź. Wysiadło z niej trzech zbrojnych i szli ku oczekującym.

— Loredana nie masz z nimi — zauważył Giustiniani. — Ten na przedzie to Jakub Bochiardi. Znam go także. Przedni wojak.

I zdjawszy kapelusz powiewał nim ku przybywającym.

Oni szli dźwięcząc mieczami, spokojni i radzi z siebie, boć nie byle rzeczy dokonali. Na oczach dwóch wodzów i niezliczonych tłumów widzów przebić się w sześć okrętów przez ogromną flotę! Zbliżywszy się oddawali z godnością winne pokłony basileusowi i kardynałowi.

— Witajcie mili, niech Przenajświętsza Dziewica, Święci Rycerze Niebiescy i Męczennicy ześlą błogosławieństwo na wasze głowy — rzekł śpiesznie Konstanty. — Z podziwem oglądaliśmy wasze męstwo... Bóg zezwolił, żeście przeszli cało, ale zbytnią śmiałością było rzucać się w tak słabej sile na nieprzyjaciela... Należało raczej poczekać na resztę floty... Szlachetny Loredano zapewne nadpłynie niebawem?

Bochiardi spojrzął na cesarza ze zdziwieniem.

124

— Szlachetny Loredano pozostał na Cyprze...

Konstanty zbladł i jął głośno oddychać przez nos, co czynił zawsze, ilekroć był wzburzony.

— Na Cyprze? — powtórzył. — Kiedyż tu nadpłynie?

— Nie otrzymał jeszcze od prześwietnego senatu rozkazu wyjazdu...

— Nie otrzymał rozkazu, powiadacie? Więc nie ma co liczyć na rychłe jego przybycie?... Wy jednakże, szlachetny rycerzu, jesteście z floty weneckiej?

— Bynajmniej, Miłościwy Panie. Ochotnikami jesteśmy, pragnącymi walczyć w obronie Chrystusa... Te brygi są naszą własnością. Wynajęliśmy je od weneckiej spółki kupieckiej, oddając w zastaw całe mienie... Dobry rycerz Loredano poręczył za nas i kupcy przystali...

— Niech Bóg wam stokrotnie wynagrodzi waleczną ochotę... Lecz czemu senat nie nadsyła rozkazu?... Czemu? Czy szlachetny Loredano otrzymał moje listy?

— Otrzymał temu dwie niedziele. Natenczas my, posłyszawszy o żalosnym położeniu miasta, skrzyknęliśmy towarzyszy i wynajęliśmy okręty... Loredano prawił: leciałbym ptakiem za wami, bo dusza rwie się do wałki, ale cóż począć? Rozkaz dla mnie prawem... Wiem, że gońca stał do Wenecji, prosząc, by mu pozwolono ruszyć, kiedy jednak ów goniec powróci?...

— Nas już naówczas nie będzie, to pewna — rzekł bezdźwięcznie cesarz. Spuścił głowę patrząc posępnie na końce własnych, czerwonych sandałów.

— Nie żywcie urazy, szlachetny rycerzu — rzekł po chwili — że tak nieradośnie was witamy... Opuszczeni od wszystkich tym bardziej cenimy, gdy ktoś z dobrowoli z chrześcijańskiej uczciwości przychodzi wspomóc nas i zginąć z nami... O, gdyby takich jak wy było więcej. Gdyby podobnie czuł prześwietny senat Rzeczypospolitej i reszta panów chrześcijańskich!... Gdyby posiłków choć z dziesięć tysięcy.

— Na okrętach ostawim tylko niezbędną załogę, resztę ludzi zabierając do kupy... Będzie ich bez mała dwa tysiące... Nie dziesięć to, ale i nie garść...

i 25

Urwał, bo powietrze zadrgało od huku. Odzywała się wielka bombarda Orbana. Wstrząs powietrza zaparł dech nawet przyzwyczajonym do tych grzmotów obrońcom. Bochiardi patrzył na nich z osłupieniem.

— Tak, to tak — roześmiał się Giustiniani — my to mamy dzień i noc... Nie dziwota, że z murów niewiele już więcej nad gruz...

— Nigdy bym nie uwierzył... — wyznał Bochiardi rozglądając się wokół. Spojrzał po raz pierwszy na stojącą opodal przy ojcu Damarę. Była blada, lecz spokojna. Wydała mu się cudnie piękna i godna podziwu.

— Zrozum, pieszczotko, że musisz dziś wyjechać... Antonio będzie tu wieczorem — przedkładał córce Frances. — Dłużej nie chcę zwlekać... Nie przyczyniaj mi próżnego zmartwienia i troski, gdy ich mam bez tego dość...

Damara potrząsała głową z niezwykłym u niej uporem.

— Pozwól mi poczekać jeszcze parę dni...

Roześmiał się gorzko.

— Poczekać? Na co? Nie łudź się, że dłużej jak kilka dni wytrzymamy...

— Przecież przyszła pomoc...

— Pomoc? Niewiele zaważy... Dwa tysiące niecałe... Cóż to jest?... Zapakuj swoje klejnoty i jedź, mój ty najdroższy klejnocie...

— Dlaczego ja jedna mam odjeżdżać?

Spojrzał nie rozumiejąc, o co jej chodzi.

— Tak — upierała się żywo — dlaczego ja mam uciekać? Czy ja jedna w grodzie?... Cóż z pozostałymi?... Poza tym... Tamci obcy rycerze przybyli z daleka, by z nami wespół walczyć i zginąć, a my uciekamy...

— Jaż nie uciekam, a ty nie jesteś rycerzem...

— Och, ja wiem, że ty nie uciekasz... Ale myślę o moich rówieśnikach... O młodzieży... — (odwróciła nieznacznie głowę, by ukryć rumieniec. W oczach stanął piękny Cyprianus, nie-

126

dawne bożyszcze). Ojciec patrzył na nią uważnie. Sptoniła się pod tym spojrzeniem jeszcze bardziej.

— Nie chcę uciekać — wybuchnęła w końcu. — Nie chcę ratować się ja jedna... Niech będzie jeden los wszystkim... Dlaczego ja?... Że jesteś wielkim logotetą dworu? Że jeszcze Genuńczyki liczą się z tobą?

— Chętnie pomógłbym do wyjazdu wszystkim kobietom, ale nie zdołam... W takich chwilach każdy musi myśleć o swoich najbliższych nie oglądając się na innych... To nie moja wina... A ty wyjechać musisz... Każdy dzień może być ostatnim... Sułtan po prawdzie mógłby już ruszać do szturm, jeno snadź oszczędza ludzi i dlatego zwleka... Woli czekać, aż mury runą, a miasto stanie otworem...

— Przecież ciągle naprawiacie, a teraz przybyła pomoc...

— Gdybyśmy nie naprawiali, dawno byłoby po wszystkim... Lecz co znaczy ta robota? Jeden pocisk obraca wniwecz to, co tysiąc ludzi sprawiło przez kilka godzin... Ostatnia nadzieja była w weneckiej flocie... Nie nadpłynie... Słyszałaś, co mówił rycerz...

— Bóg może jeszcze odmieni...

— Nie sądzę, abyśmy zasługiwali na cud... — westchnął.

— Zwłaszcza jeśli będziemy uciekać! — zawołała żarliwie, gorąco. — Ja nie wyjadę. Nic dotąd nie rozumiałam. Dziwiłam się, że zwołujesz do obrony... Teraz będę z tobą... Pomogę ci... Zobaczysz, co potrafię... Zobaczysz, ilu ludzi ci przyprowadzę.

Odbiegła nie czekając, co odpowie. Patrzył za nią miłośnie wzrokiem pełnym żalu. Jakaż była wdzięczna, urocza, smukła, uosobienie beztroskiej radości życia. Spadkobierczyni długo-wiekowej kultury umysłu i ciała. Takich jak ona dziewcząt było w Konstantynopolu tysiące. Co z nimi się stanie? Ach, co stanie się niebawem?...

Jeńcy chrześcijańscy trzymeni w obozie sułtana rąbią lasy dzień i noc. Pod uderzeniami toporów padają dęby, kasztany, cyprysy, oliwki i figi, bez różnicy i wyboru. Poganiani batem

127

tracze przepiłowują ścięte pnie wzdłuż na połowę. Powstałe stąd belki układają pomostem na ziemi, krągłą stroną do dołu, gładką, przetartą do wierzchu. Układają od brzegu pod górę, w miejscu, gdzie wąski grzbiet wzgórza Galaty oddziela Bosfor od Złotego Rogu. Inni umacniają pomost palami wbitymi w ziemię, wiążą belki łańcuchami oraz sznurami z wikliny. Genuńczycy zwożą na łodziach setki beczulek z oliwą i masłem. Na co będą potrzebne, nie pytają. Co ich to obchodzi? Są zawsze i wszędzie wyłącznie kupcami, a sułtan płaci gotówką...

Tylu ludzi jest potrzebnych przy nowej robocie, że nawet grad pocisków padających na miasto słabnie i wolniej. Bombardy rzadziej ryczą z powodu zbyt szczupłej obsługi. Nie znając przyczyny, obrońcy radują się i oddychają śmieiej. Przypuszczają, że piekielne działa zniszczyły się w końcu od strzałów? Zabrakło gładkich, marmurowych kul? A może sułtan zniechęcił się, widząc zawziętą, upartą obronę? Może dowiedział się, że reszta floty weneckiej nadciąga?...

I tym gorliwiej znoszą kamienie, belki, cegły, liny, słomę, faszynę i chrust. Umacniają, dźwigają, piętrzą, osłaniają... Jeszcze mury nie upadły całkiem, jeszcze Konstantynopol nie zdobyty, może jeszcze Bóg dołę odmieni?...

— Nie potrzebowałby Pan nasz nic odmieniać, gdybyście dawniej stawali jak teraz — mruczy gniewnie kardynał Izydor, patrząc na zgłaszających się co dzień nowych ochotników. Stają na murach ludzie prości, biedacy, twierdzący dotychczas, że zarówno im sułtan czy cesarz, i panicyki wykwiłtne,

0 pielęgnowanych dłoniach. Młodzi i starzy. Nie brak też

1 kobiet. Podobne przeobrażenie jak w umyśle Damary nastąpiło w sercach wielu.

— Niewiele to wam już pomoże — ciągnie mrukliwie kardynał — ale przynajmniej zginiecie jak ludzie. To też coś warte...

Pochłonięci umacnianiem bram i murów bizantyjscy nie przykładają należytego baczenia do tego, co się dzieje poza miastem. Nie zauważają pomostu, układanego przez sułtańskich na wzgórzu galackim. Ta strona uchodzi za najbezpiecz-

128

niejszą. Bezpieczną jak własny dom. Stróżują warty przy wejściu do portu, baczą pilnie na łańcuch zamykający Złoty Róg,, lecz po co by miały zważać na przeciwną stronę kanału? Genueńczycy zaś milczą. Nawet Antonio Donino nie mówi nic. Czyż sułtan nie zapowiedział, że jeśli sprawa wyda się przedwcześnie, z Galaty nie pozostanie kamień na kamieniu?

Od rozpoczęcia oblężenia minęły już trzy tygodnie. Tej nocy po raz pierwszy nie przerywa snu mieszkańcom wstrząsający huk bombard Orbaną. Cała noc zesła spokojnie. Perłowy świt Wschodzi nad Marmarą. Do drzemających na murach straży podbiega pędem pastuch nadbrzeżny, na poły przytomny.

— Okręty płyną po lądzie! — krzyczy przeraźliwie. — Ludzie! Patrzajcie! Okręty płyną po lądzie!

I leci z tym krzykiem dalej. Porywają się ze snu żołnierze. Przecierają zaspane powieki. Świat ze snu miesza się w oczach. Gdzie morze, gdzie ląd? Odkądże morze na górze? W mlecznych zwojach mgły ukazują się okręty, wysoko, prawie na równi z wieżą strażniczą Galaty... Ciemniej żagle, jeden, drugi, trzeci, dziesiąty, dwudziesty... Co się stało? Czy świat za-kotysał się jak statek i osunął w dół?... Czy to są czary?... O Boże...

...Okręty płyną po lądzie...

Simą rzeczywiście po gładkim, ociekającym oliwą pomoście. Każda galera tkwi w dębowej skrzyni, umieszczonej na potężnych płozach. Żagle są rozpostarte, oczekujące na wiatr, sternik ma rękę na sterze, wiosłarze siedzą przy wiosłach, bombardierzy przy lontach dział. Każda lina, każda śrubka jest na swoim miejscu. Tysiące chrześcijan, spędzonych z Azji Mniejszej i Tracji, ciągnie uczone do płóz łańcuchy i liny. Ciągną, padają martwi z wysilenia, wnet na ich miejsce przychodzą nowi. Baty nie próżnują. Prędszej! Prędszej! Skorol Nuże! Byle dociągnąć do wierzchu... Stamtąd po lśniącym od tłuszczu pomoście ciężkie sanie z okrętami posuną się same... Muszą być w porcie, zanim słońce zejdzie!...

Jęczą baty, rżężą ludzie, nagli sułtan. Z góry istotnie nie

Puszkarz Orbano 9

129

trzeba już ciągnąć. Wystarczy potężnie pchnąć i strzec, by okręt nie zmienił kierunku. W oczach przerażonych wartowników pierwszy statek z szumem, bryzgiem sięga wody. Kołysze się gwałtownie. Podtrzymująca go skrzynia już niepotrzebna, koziołkuje w wodzie, wypływa z boku przewrócona, galera odpływa z szumem robiąc miejsce następnej, następna trzeciej, dziesiątej. Nie tracąc ani momentu już się szykują do boju. Do natarcia na weneckie, greckie, nie spodziewające się niczego galery... Nie masz na nich prawie nikogo. Wszyscy ludzie zostali wzięci do grodu do obrony murów. Samotny sternik trąbi przejmująco w róg.

Bezilni patrzą się z murów obrońcy. Dział od tej strony nie masz wcale. Wszakże nikt się stąd napadu nie spodziewał. Toć to własny, wewnętrzny port. Milczą w grozie osłupienia.

...Okręty płyną po lądzie... Okręty płyną po lądzie...

Co parę minut z szumem, pluskiem spływa na fale nowy, a końca niesamowitego orszaku nie widać... Cała prawie flota sułtańska nadciąga przez wzgórze.

Błady jak trup, rozpychając ludzi drze się do brzegu Bochiardi. Łodzi! Łodzi! Walczyć! Ratować swoje statki! Wskakuje do barki rybackiej. Za nim kilkunastu wojów. Lecz tureckie galery już zdążyły odciąć dostęp do brygów weneckich. Przez ich zbrojny szereg nikt się nie dostanie! Baltu Oglu, choć jeszcze nie włada członkami, leżąc na poły bezsilnie na pokładzie, sam kieruje wszystkim. W oczach obrońców nieliczne załogi, grecka, wenecka zostają wymordowane, okręty zdobyte. Wielkie, trójpokładowe brygi są już własnością turecką. Lew św. Marka zdarty z masztów, zdeptany, poszarpany w strzępy, na jego miejsce wypływa zielona chorągiew sułtańska...

Jeszcze słońce nie zdążyło unieść się wysoko, gdy wszystko jest już skończone. Całe miasto patrzy, jak na przeciwnym brzegu sułtan Muhammed klepie przyjacielsko po karku admirała Baltu Oglu, który chwieje się na nogach. Dobrze się spisał. Naprawił poprzednią porażkę. Od dziś zostaje wezyrem.

Nie tracąc czasu setnicy znów pędzą jeńców. Biegiem zbie-

130

rają pomost, po którym ciągniono okręty. Belki układają na powiązanych galerach, stwarzając podłogę dość mocną, by na niej stanęły ciężkie, Orbanowe działa. Tu mur jest cienki i wąły. Parę pocisków wystarczy, aby go obalić... Pętla na szyi grodu zaciśnięta.

Spełniła się przepowiednia...

Bochiardi mówi:

— Ja oszaleję, ja się mieczem pchnę... Nasze statki. Nasze statki!...

Giustiniani uspokaja go:

- Szkada ginąć bez pożytku. Miast pchać się na własny miecz, próbujcie podpalić pogańską flotę... Pomost nasiąkły oliwą... Będzie się palił jak żagiew... Dla bombardy przywieźli setkę worków z prochem...
- Słusznie prawisz! Podpalić! — Bochiardi zrywa się, jakby już chciał biec.
- Cicho... Ostrożnie... Tutaj nikomu dowierzać nie można... — Giustiniani rozgląda się po sali, czy nie wsunął się kto podejrzany. Lecz nie, sami swoi. Rycerze italscy. Z Greków tylko wielki logoteta Frances z nieodstępnym chłopaczną Ma-riem, gońcem.
- Gdyby udało się spalić sułtańską flotę — podejmuje Giustiniani — dałoby to nam możliwość przeciągnięcia obrony jeszcze o jakiś tydzień... Próbujmy... Wiadomo, że to sprawa niełatwa, może się jednakże uda... Turcy pilnują głównie naszej strony. Należałoby dostać się od genueńskiego brzegu...
- Jak to uczynić? Poganie natychmiast spostrzegą, jeśli ktoś zsunie się z murów albo wyjdzie z bramy!
- Spokojnie, spokojnie... Nikomu prócz niewielu wiadomo, że przy bramie Cerkoportos znajduje się mała furta... Tajemna... Poniżej poziomu ziemi, w fundamencie murów... Z grodu zejście zasłaniają kamienie, które trza odsunąć. Od zewnątrz, o ile sobie przypominam, krzaki... Tamtędy można nocą wyjść niepostrzeżenie, a potem już, jak Bóg da.
- Wdzięcznym Waszej Dostojności za wiadomość... Wyjdziemy jeszcze dziś w nocy...

9«

131

Na pokładzie pięknego brygu weneckiego zaścielono miękkie łożo. Lecz admirał Baltu Oglu nie może spać. Przeszkadzają mu ból i radość. Zmęczył się walką, nadwerężone przez sułtana kości bolą teraz nieznośnie, a równocześnie pycha rozpięra serce. Jest wezyrem... Żaden zdrajca nie dostał jeszcze nigdy takiego zaszczytu... Jest wezyrem...

Jakiś szelest na pokładzie przerywa mu rozmyślenia. Na pewno ludzie z sąsiedniej galery, pewni, że wszystko śpi, przychodzą plądrować, a jeśli się uda, rabować... On im pokaże, on ich nauczy, przeklęte byki albańskie! Z trudem powstrzymując stękanie zwleka się z łoża i skrada na przód okrętu, skąd dolatuje cichy szelest kroków. Jeśli ich spłoszy przedwcześnie, uciekną i nie rozpozna, którzy to byli. Przyczają się za masztem i czeka.

I widzi. Czterech ludzi pełza po pokładzie jakby coś rozlewając... Przykry swąd uderza nozdrza... Na Allacha i Proroka! Na wszystkie bogi dwóch wiar! To گیاوری! گیاوری! Ratunku!

Tuż przed twarzą admirała wyrasta italski rycerz. Giń, psie! Wezyr Baltu Oglu wali się z głuchym łomotem na deski. Ale jego krzyk przedśmiertny zdążył obudzić załogę. Zewsząd zbiegają się białe turbany. Wprawdzie pokład już się pali w dwu miejscach, lecz hurma ludzi rzuca się na płomień. Padając na płonące deski tłumią ogień własnymi ciałami. Zdeptują go, duszą. Inni walą się na śmiałków. Zgrzytają milcząco miecze. Giustiniani uchodzi szczęśliwie do łodzi i cudem, lekko tylko ranny, dobija do brzegu. Jakub Bochiardi zostaje martwy na pokładzie swego statku, tuż przy trupie Baltu Oglu, admirała i wezyra.

Darmo Contarino z pomocą Gabriela Trevisano kuszą się po raz drugi o spalenie floty. Z czterdziestu młodymi zapaleńcami ruszają na lekkich łodziach w bezmiesięczną, chmurną noc. Lecz Turcy mają się na baczności. Dopuściwszy śmiałków blisko ku okrętom zasypują w odpowiedniej chwili gradem pocisków. Łodzie zatopione, nikt żywy do brzegu nie wraca...

132

t

A bombardy po dawnemu grmią. Jeszcze dzień, jeszcze dwa, a mimo wszelkie wysiłki mury runą, doszczętnie zniszczone. Nikt już nie myśli o tym, by zalewać je wapnem, spajać ołowiem. Nie ma na to czasu. Rozbierając bliższe domy sypią beładnie gruz, zasieki z drzewa wiążą sznurami z pędów winnych lub wikliny. Każdy strzał roznosi to w strzępy daleko niby na urągowisko. Darmo ludność grodu pracuje. Cała ludność. Już nie owi nieliczni, pierwsi ochotnicy, z których ani połowa nie żywie, lecz wszyscy. Pracują z taką zawziętością, zapałem, odwagą, że dziwi się sam sułtan. Na Allachal Kto by się spodziewał...

„Gdybym zdołał wydostać się z miasta — myśli Mario — i przejść do tureckiego obozu, do ojca... Może ubłagałbym go, żeby zniszczył te potwory?... Może się w nim ocknie sumienie?... A jeżeli się nie zgodzi... Jeżeli się nie zgodzi?... Nie. Niemożliwe, żeby się nie zgodził. Sam musi już być przerażony tym, co sprawił... Byle się wydostać z miasta... Bochiardi wyszedł podpalać łodzie małą furtką podziemną koło bramy Cer-koportos... Odnaleźć tę małą furtkę...”

Straże na murach drzemią zmęczone całodziennym wysiłkiem. Noc jest majowa, czarowna. Słynęły niegdyś bizantyjskie noce, migocące światłami odbijającymi się w wodzie, słynęły po całym świecie. Nikt się dzisiaj ich urokiem nie napawa. Żłocisty miesiąc, drużba zakochanych, wiernie sunący od wieków ponad oboma morzami, zda się obecnie patrzącym gromnicą zatloną przy konającym.

Straże drzemią. Mario niepostrzeżenie podchodzi do miejsca, gdzie kupa kamieni zastawia wejście do furty. Pomału, ostrożnie trzeba odkładać gązdy. Obejrzał je w dzień dokładnie i wie, od czego zaczynać. Ale ktoś już je odłożył. Przejście ku schodkom swobodne? Czyżby gotowała się jaka wycieczka? W głębi słychać szmer. Ktoś pora się z ostatnimi prze-•zkodami. Mario ostrożnie zstępując po stopniach, przytula się do ściany rad, by go nie zauważono. Jeżeli szlachetny Giusti-

133

niani wysła wojów, jak on, Mario, wytłumaczy się przed nimi ze swojej tu obecności? Nie opowiedział się, odchodząc, nikomu. Nie prosił wielkiego logotety o pozwolenie. Mogą mu nie wierzyć. Jest przecież synem znieprawionego zdrajcy, którego powszechność uważa za przyczynę wszystkiego złego... Gotowi go wziąć za szpiega...

Więc nie odrywając się od ściany, nasłuchuje bacznie. O ile na zewnątrz jasno jest od księżycy, o tyle tutaj, w ciasnym zaułku murów, panuje mrok nieprzenikniony. W tym mroku ktoś się porusza, ktoś odsuwa ostatnie kamienie. Pomału oczy przyzwyczajają się do ciemności. Teraz Mario rozróżnia. Człowiek. Jeden. Mężczyzna rosłego wzrostu. Zmęczył się. Sapie. Odpoczywa. Nie przyzwyczajony widno do wysiłku. Przy nim na ziemi leży kanciasty, podłużny przedmiot. Odpocząwszy podnosi pomału zawory i haki. Odkręca sztabę. Widocznie równie jak Mario nie chce być zauważony przez

straże. Za każdym zgrzytnięciem żelaza odskakuje na bok i czeka, aż uspokojony panującą nadal ciszą powraca do swego zajęcia.

Ostatnia zasuwka ustępuje. Jedno pchnięcie i niska, warowna furta uchyla się piszcząc na zawiasach. Choć wyjście na zewnątrz osłaniają krzaki i brzeg fosy, wpada smuga księżycowego światła, wystarczająca, by Mario ujrzał wyraźniej tajemniczego towarzysza. Owinięty ciemną opończę z kapturem schyla się po stojący obok przedmiot, bierze go .starannie pod płaszcz. Przy tym ruchu chłopiec spostrzega złotistą tunikę, obrzeżoną purpurowym szlakiem. Znak przynależności do rodziny panującej. Ktoś z krewnych basileusa?! Ale dlaczego się kryje? Z tamtej strony murów trzeba zachować ostrożność, nie z tej, jeśli się nie jest biednym chłopcem italskim, synem zdrajcy...

...„Widocznie nowa próba podpalenia statków... — rozmyślał dalej Mario, gdy nieznajomy, przeciskał się ostrożnie przez wąskie przejście. — Kto to może być? — Ze wzrostu i tuszy można by sądzić, że Lucius Notaras, wielki drongarios armii. Ale wielki drongarios jest od kilku niedziel obłożnie chory i nie wychodzi z mieszkania”.

134

Tajemnicza postać znikła przymykając starannie furtę za sobą. Mario patrzył na to spokojnie. Domyślał się, że od zewnątrz nie ma zamknięcia i że za chwilę sam będzie mógł wyjść również, nie trudząc się odsuwaniem zaworów. Przeczekał dwa pacierze i wychynął z kolei na zewnątrz. Fosa, niełatwa dawniej do przebycia, nie mogła już zatrzymać nikogo, zasypana prawie całkowicie gruzem. Zewnętrzny mur przedstawiał kupę niekształtnego rumowiska, na które można było wspiąć się bez trudu. Nie było już na nim straży, cała obrona grodu była skupiona na murze wewnętrznym. Obielony pyłem wapiennym Mario ujrzał nieznajomego, kroczącego już szybkim i śmiałym krokiem wprost ku obozowi tureckiemu.

„Nie boi się, nie boi się wcale!” — pomyślał z podziwem Mario i mimo woli uspokojony ruszył w pewnej odległości za nim. Pierwsze czaty tureckie nie były oddalone od murów więcej niż o dwa strzelenia z łuku i kilku janczarów już się wysunęło groźnie ku idącym.

— Ktoś jest? — warknęli zatrzymując pierwszego z nich.

— Pochodzę z krwi cesarskiej — odpowiedział dumnie, nieznajomy — przychodzę z darami i pokłonem dla waszego władcy.

— Przejdź. Władca wiernych przyjmie cię po przebudzeniu, jeżeli znajdziesz łaskę w jego oczach.

— Jestem Orbano... syn Giuseppa Orbano, puszkarza... — przedkładał Mario, gdy nieznajomy rażno wkroczył w głąb obozu... — Orbano... Chcę się widzieć z ojcem...

O, jak to nazwisko było znane, jak przeklęcie wszystkim znane! Bez słowa wartownik wskazał ręką kierunek na lewo i przepuścił bez sprzeciwu.

Sułtan Muhammed II budził się codziennie o świcie i Lucius Notaras (gdyż on to był) nie czekał długo na posłuchanie. Władca wiernych przyjął greckiego dynastę nie wstając z niskiego, polowego łoża. Ukośne, ranne promienie słońca oświecały jego żółtą twarz o sępich rysach.

135

— Z czym przychodzisz? — zapytał krótko, splatając dłonie na karku pod wielkim turbanem.

Notaras ukląkł wysuwając przed siebie trzymaną dotychczas pod płaszczem sporą, podłużną szkatułkę. Była cudnie kowana, złocista. Otworzył wieko. Tęczą barw zajaśniały* przepyszne klejnoty.

— Przychodzę złożyć ci, panie, hołd — oznajmił. — Oddaję się w twoją własność wraz ze wszystkim, co posiadam. Rozporządzaj mną, podobnie jak tymi cennieściami, które ci składam u stóp.

Muhammed zmrużył czarne, skośne oczy.

— Kosztowny dar — zauważył niedbale. — Dlaczego nie oddałeś tego bogactwa na ratowanie własnej, ginącej ojczyzny?

Notaras zaczerwienił się i zmieszał zaskoczony nieoczekiwanym pytaniem.

— Uwielbiałem ciebie, Panie, któryś jest zdobywcą świata... Bóg chciał, by moje skarby należały do ciebie, nie do Konstantyna... Czymże on przy tobie? Niby łójówka przy słońcu... Taką była wola Boga... Czułem ją wyraźnie...

— Ach, czułeś ją? — podchwycił drwiąco Muhammed. — W takim razie od Boga otrzymuję ten dar, nie od ciebie... Jesteś dla mnie niczym i każę cię ściąć jak zwyczajnego, niewiernego psa...

Wielki drongarios armii z czerwonego stał się blady jak płótno. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło.

— Władco Wiernych — wyjąknął z rozpaczą — ja przyszedłem z dobrowoli.

— Właśnie dlatego.

Skinął na czauszów * stojących u wejścia. Wywlekli dostojnika greckiego z namiotu.

Sułtan przeciągnął się na łożu.

— Plugastwo — rzekł sam do siebie.

Nachylił się nad otwartym wnętrzem szkatułki i palcami jął przegarniać z lubością drogie kamienie. Stanowiły jego namiętność jak każdego człowieka Wschodu.

#

130

\

Mario szedł nie zatrzymywany przez nikogo. Nikt na niego nie zwracał uwagi. Mały, chudy chłopaczyna jfaógł się plątać swobodnie.

W obozie sułtana nikt nie lęka się szpiegów. Owszem, niechaj niewierni przychodzą obaczyć, jeśli chcą, zwycięską moc wyznawców Proroka. Niech o niej opowiadają szeroko po świecie. Przyczyni to chwały, a zaszkodzić nie może. Niech idzie mały Orbano!

Więc szedł kierując się na sterczące wśród głązów i zrąba-nych drzew brązowe cielska najbliższej baterii. Leczą ojca przy nich nie zastał. Tylko napis Orbano wryty na spiżu kłuł boleśnie oczy ciężkim

przypomnieniem. Orbano... Orbano... Krzątająca się wokół dział obsługa ukazała mu na migi, że „wielki pan ognia”, bej Orbano, znajduje się po przeciwnej stronie obozu przy czwartej baterii. Była dość oddalona i Mario zdążył zmęczyć się porządnie, nim doszedł. Zmęczenie to było równie fizyczne jak duchowe. W głowie kręciło się od niezliczonych mas wojska, piechoty, artylerii, konnicy, szeregami bez końca ciągnących się wszerek, wzdłuż i w głąb. Pułki za pułkami obozowały we wzorowym porządku i ładzie. W milczeniu żołnierze pracowali żwawo czyszcząc konie, ostrząc broń, zamiatając przejścia. Opodal setnicy ćwiczyli nowe oddziały piechoty. Za tymi świetnymi, doskonale odzianymi, dostatnio żywionymi wojskami zaczynał się obóz jeńców, a raczej niewolników, chrześcijan spędzonych ze wszystkich stron. Obdarcy, obrośli brudem, wynędzniali z głodu, leżeli na ziemi bezwładną gromadą. Oni to przeciągali galery sułtańskie przez wzgórze, oni czekali teraz chwili szturm. Wiadome było, że pognają ich wtedy do boju, by, osłaniając ławą szeregi tureckie, wytrzymali na sobie pierwszy opór obrońców. Sułtan Muhammed dba o swych żołnierzy, swych jeniczeri, na których spoczywa jego potęga. Żywe tarcze kłute w plecy spisami, gdyby iść nie chciały, uderzą pierwsze na chrześcijan. Ze szturm miał nastąpić lada dzień, wydawano nieszczęśnikom strawę skąpo lub wcale, jako że nie oczekiwało ich już długie życie. Półnaczy, straszliwie wychudli, zwale-

137

ni na ziemię, patrzyli tępo przed siebie, oczekując, rychło bat pogna ich ku śmierci.

Mario nie wiedział o przeznaczeniu trzody niewolników, jeszcze niedawno wolnych ludzi, lecz młodym sercem wyczuwał ich beznadziejną niedolę. Że chrześcijanie, poznawał po braku turbanów i dusza łkała w nim z żalu. Pomimo zmęczenia szedł coraz szybciej, byle stracić posępnych głodomorów z oczu, lecz ich szeregi ciągnęły się w nieskończoność. Jeszcze i jeszcze. Nie dziwota. Wszak spędzono tu więcej ni-żli sto tysięcy. Na koniec zaczął biec. Zadyszany, bez tchu, dopadł stojących na wzgórzu dział, przy których miał się znajdować ojciec. Jeden z wartowników chwycił go ostro za ramię.

— Dokąd? — krzyknął groźnie po turecku.

— Orbano... Orbano... — powtarzał Mario. Pchnięto go w stronę namiotu.

Ojciec znajdował się tam istotnie. Siedział za stołem założonym papierami w znanej dobrze chłopcu postawie zamyślonego oderwania się od świata. Na odgłos kroków podniósł z roztargnieniem głowę.

Mario odniósł wrażenie, że ojciec dłuższą chwilę patrzył nań nie poznając. Nareszcie oprzytomniał i uśmiechnął się.

— Przyszedłeś, mój mały — zaczął serdecznie — to dobrze!... Często o was myślałem... Nie miejcie mi za złe, że dotąd u was w Galacie nie byłem... Wybieram się od początku...

— Ja nie przyszedłem z Galaty, tylko z Bizancjum... — szepnął Mario, lecz ojciec nie dosłyszał go. Z widocznym nadal roztargnieniem ciągnął:

— Jestem tak pochłonięty robotą, że nie mam czasu na nic... Ale myślę o was często... Przyjdę niedługo... Mam nadzieję, żeście wszyscy zdrowi?... Mam teraz tyle pracy, że wcale stąd nie wychodzę... Nie wiem, co się wokoło dzieje... Pracuję... Widzisz te plany... Teraz nie chodzi o samą

bombardę, ale o jej udoskonaleniu... Ruchome, obracalne łożysko... Rozumiesz? Ruchome obracalne łożysko... W czasie bitwy

morskiej sułtan krzyknął do mnie: „Co warte twoje działa, skoro ich nie można obrócić?”... Miał słuszość. Cóż są warte? Wystarczy, by nieprzyjaciel zaszedł z drugiej strony, a najpotężniejsze działa stają się bezsilne... A wykuwanie łożysk z gładów... Co za udręka! Muszę to zmienić. Zagadnienie trudniejsze niż to, co dotychczas zrobiłem, ale wykonalne... Czuję, że wykonalne... Nie widzę jeszcze, ale czuję... Rozwiązanie drży gdzieś nad moją głową... Wydaje mi się chwilami, jakby ktoś nachylał się nade mną i miał szepnąć do ucha słowo, cyfrę, za którymi gonię... Tę myśl, tę myśl. I zawsze coś wtedy przeszkodzi, ktoś wejdzie, jak ty w tej chwili, i słowo ucieka... Zrozumi mnie... Jestem rad, że cię widzę, serdecznie rad, ale tymczasem myśl uciekła... Może byłbym ją właśnie uchwycił... Wiele godzin znów minie, zanim ją przyciągnę? I czy zdołam wtedy pojąć, co mi szepcze?... Ach, co za męka! Nie możesz sobie wyobrazić tej męki...

Umilkł patrząc przed siebie. W oczach miał niesamowity blask. Mario spuścił głowę. Ogarnęła go beznadziejność podobna tej, co otaczała jeńców chrześcijan. Nigdy, przenigdy ojciec nie zrozumie, co uczynił. Darmo z nim mówić. Najwymowniejsze słowa nie dotrą do jego świadomości. Jest opętany przez szatana wynalazku, opętany całkowicie, gruntownie, nieuleczalnie. A jednak trzeba spróbować.

— Ojcie — zaczął korzystając z chwilowego milczenia Or-bana — ja nie jestem w Galacie, jestem w Bizancjum, tym nieszczęsnym grodzie, który dzięki twoim bombardom będzie za kilka dni zdobyty, zburzony... Wszyscy mieszkańcy, chrześcijanie, chrześcijanie, ojcie, podzielą los tych nędzarzy, co są tutaj w obozie... Widziałeś ich?

Orbano spoglądał na stół, jak gdyby pragnąc wrócić najprędzej do swoich papierów.

— Zdaje mi się, że zauważyłem kiedyś — odparł — wyglądają nieszczęśliwie...

Mario roześmiał się przez łzy.

— Nieszczęśliwie?! Tak to nazywasz? Chodź ze mną, chodź popatrzeć na nich! Może wtedy zrozumiesz... Chodź!

1.39

Orbano potrząsnął głową. Ani mu się śniło odchodzić gdziekolwiek.

— Oszalałeś! — zawołał zniecierpliwiony. — Mam robotę! Nie pójdę nigdzie! Zresztą po co mam ich oglądać?

— Aby zobaczyć, co chcesz uczynić z nas wszystkich...

— Ja? Ja chcę? Czy jestem sułtanem?

— Sułtan nic by nie zrobił bez ciebie...

Orbano błysnął oczami.

— Słusznie mówisz — rzekł nagle uspokojony. — Nic by nie działo. Nie mówiłem, że to potęga? Potęga! A inni się śmiali! Nie wierzyli! Za głupca mnie uważali. Obaczysz, co będzie, gdy uda mi się zrobić to... — wskazał ręką na rozrzucone na stole papiery. — Obaczysz! To narodziny nowego świata, to nowa, nie znana dotychczas moc, moc umysłu ludzkiego! Ja ją czuję!... Ja ją zaczynam... Byle zacząć... Po mnie przyjdą inni, którzy to udoskonalą... Nabudują potworów, które im będą posłuszne, które będą za nich walczyć, za nich pracować... Czego płaczesz?...

— Chodź ze mną popatrzeć na jeńców, a dowiesz się... Po tom przyszedł, ojciec... Prosił cię, abyś zrozumiał... Lepiej, żeby potęga, o której mówisz, nie istniała, jeśli ma się przez nią dzieć tyle niedoli...

Orbano spojrzał na syna z natężeniem.

— Lepiej, żeby nie istniała — powtórzył. — Co za brednie! Jak gdyby to było zależne od czyjej woli! Mówiłem ci kiedyś, że to mus! Choćbym nie wiedział, jak pragnął, nie uwolnię się od nakazu własnych myśli... Ludzie nic mnie nie obchodzą — zakończył nagle i siadł do przerwanej roboty tak śpiesznie, jak gdyby niewidzialny przymus, o którym mówił synowi, zawisnął nad nim widomie.

Mario wysunął się z namiotu zrozpaczony. Usiadł na trawie obejmując dłońmi strudzone kolana. Jak wszystkie baterie tak i ta znajdowała się na wzgórzu i widać stąd było oblegane miasto niby na dłoni. Mury opasujące je do niedawna dumnym, gładkim pierścieniem, dziś skruszone, wyszczerbione, dawały obraz ruiny. Zbyt młody i prosty, by zrozumieć, co przed-

140

stawiało Bizancjum, miasto więcej niż tysiącletniej kultury, siedlisko wiedzy i skarbów sztuki, gród nie mający sobie równego na świecie — chłopiec odczuwał jednak żal, przechodzący jego wątłe siły. Czuł niejasno, że w jego oczach kończy się bezpowrotnie, rozpada coś, co stanowiło dotąd o pięknie i wartości życia. Jeszcze dwa, trzy dni i Konstantynopol istnieć przestanie. Będzie tureckim, podbitym, zniszczonym miastem, nie śmiejącym tchnąć, jak Nicea, Adrianopol... To samo Bizancjum, na które patrzył, ten sam Konstantynopol, „miasto strzeżone przez Boga”, stanowiące podziw i dumę ludzkości. Zbyt młody również, by zrozumieć, że winę upadku ponosili przede wszystkim i wyłącznie mieszkańcy grodu, co w wielowiekowym zbytku i wygodzie zatracili poczucie twardych konieczności — całkowitą przyczynę nieszczęścia przypisywał ojcu. On był winien. On wymyślił działa, które rozwały mury. Gdyby nie ojciec, sułtan nie zdobyłby grodu. Ojca nazwisko widnieje wyryte na brązie armat, ojca pamięć zostanie po wiek wieków związana z upadkiem Konstantynopola. Ojca nazwisko, jego, Maria, nazwisko... Ogarniały go bunt, gniew i żałość nieutulona. Poczł się mały, bezradny, zatęsknił dziecinnie do matki. Wtulić się w jej ramiona i wypłakać nagromadzone w sercu brzemię łez. Ale matki nie było. Nie widział jej już od paru tygodni. Tęskniła za nim w Galacie, dopytywała krajanów przyjeżdżających z Bizancjum, czy widzieli syna, co robi, czy zdrow? Za ich pośrednictwem błagała go, by powracał. Po co narażał się na pewną śmierć? Nie był wszak Grekiem, mógł być widzem wypadków jak wszyscy Genuńczycy z Galaty. Antonio Donino, utrzymujący stałą łączność pomiędzy oboma miastami, powtarzał to zlecenie, przy czym gniewał się na upartego chłopaka, wygrażał zapowiadając, że go weźmie siłą.

— Nic nie działo, chuchraku — zżymał się — a matkę wpędzisz do grobu...

— Matka wybaczy — bronił się Mario — ona wie, że muszę...

— Co mówisz? Co znów za głupstwo?...

— ...Muszę... za ojca...

141

stawiało Bizancjum, miasto więcej niżli tysiącletniej kultury, siedlisko wiedzy i skarbów sztuki, gród nie mający sobie równego na świecie — chłopiec odczuwał jednak żal, przechodzący jego wątłe siły. Czuł niejasno, że w jego oczach kończy się bezpowrotnie, rozpada coś, co stanowiło dotąd o pięknie i wartości życia. Jeszcze dwa, trzy dni i Konstantynopol istnieć przestanie. Będzie tureckim, podbitym, zniszczonym miastem, nie śmiejącym tchnąć, jak Nicea, Adrianopol... To samo Bizancjum, na które patrzył, ten sam Konstantynopol, „miasto strzeżone przez Boga”, stanowiące podziw i dumę ludzkości. Zbyt młody również, by zrozumieć, że winę upadku ponosili przede wszystkim i wyłącznie mieszkańcy grodu, co w wielowiekowym zbytku i wygodzie zatracili poczucie twardych konieczności — całkowitą przyczynę nieszczęścia przypisywał ojcu. On był winien. On wymyślił działa, które rozwały mury. Gdyby nie ojciec, sułtan nie zdobyłby grodu. Ojca nazwisko widnieje wyryte na brązie armat, ojca pamięć zostanie po wiek wieków związana z upadkiem Konstantynopola. Ojca nazwisko, jego, Maria, nazwisko... Ogarniały go bunt, gniew i żałość nieutulona. Poczuł się mały, bezradny, zatęsknił dziecinnie do matki. Wtulić się w jej ramiona i wyplakać nagromadzone w sercu brzemię łez. Ale matki nie było. Nie widział jej już od paru tygodni. Tęskniła za nim w Galacie, dopytywała krajanów przyjeżdżających z Bizancjum, czy widzieli syna, co robi, czy zdrow? Za ich pośrednictwem błagała go, by powracał. Po co narażał się na pewną śmierć? Nie był wszak Grekiem, mógł być widzem wypadków jak wszyscy Genuieńczycy z Galaty. Antonio Donino, utrzymujący stałą łączność pomiędzy oboma miastami, powtarzał to zlecenie, przy czym gniewał się na upartego chłopaka, wygrażał zapowiadając, że go weźmie siłą.

— Nic nie zdziałasz, chuchraku — zżymał się — a matkę wpędzisz do grobu...

— Matka wybaczy — bronił się Mario — ona wie, że muszę...

— Co mówisz? Co znów za głupstwo?...

— ...Muszę... za ojca...

141

Mario nie dopowiadał swej myśli, lecz Antonio nie pytał dalej. Odchodził mrużąc i przecierając podejrzanie oczy. Wprawdzie następnego dnia nalegał znowu, lecz Mario nie ustępował. Trwał nadal na swym stanowisku pachotka do zleceń przy Francesie, wielkim logotecie dworu.

I teraz przelotna chęć puszczania się pędem do matki (Gala-lata wszak była tak blisko! Nikt do niej nie bronił dostępu!) zgasła równie nagle, jak powstała. Zostało tylko poczucie odpowiedzialności ciężące na ojcu, a skoro ojciec jej nie rozumiał, na nim jako na synu. Oczywiście nie był w stanie zastanowić się nad tym, jak bardzo był właśnie do ojca podobny, jak wiele ojcowego uporu, zacierzenia w pewnej idei tkwiło w jego charakterze i usposobieniu. Gdy pół roku temu, nie bacząc na niebezpieczeństwo, wspinał się na częstokół adrianopolskiego obozu, był więcej synem zacieklego w swej pracy Giuseppa Orbano niż łagodnej, ustępliwej Łucji. Podobnie i teraz, gdy siedząc na wzgórzu, powtarzał z zacisniętymi zębami: muszę... muszę... Skoro on nie chce, ja muszę... Z twarzą

przedwcześnie dojrzałą, ściągniętą bólem, przypominał sobie wszystkie upokorzenia, jakich doznał w ciągu ostatnich miesięcy, obmierzłe uczucie palącego wstydu, towarzyszące synowi znienawidzonego powszechnie zdrajcy, wyzwiska i groźby. Gorzkie te wspominki sprzęgły się w palącą żądzę zadośćuczynienia, złagodzenia winy ojcowej bodaj kosztem życia. Mniejsza o to, czy zło naprawi ojciec, czy syn. Wina spadnie z nazwiska, spadnie z pokolenia. Orbano zniszczy, co zrobił Orbano. Pograżył się w myśli o popsuciu bombardy równie całkowicie, zachłannie, jak jego ojciec pograżył się w myśli o jej stworzeniu. Jeno jak to wykonać? Nie bał się wcale. Śmierć, nieuchronnie grożąca w razie zamachu na działo, nie przenikała do jego świadomości, wydawała się sprawą drugorzędną, błahą... Najważniejsze to zmyć plamę z imienia. Naprawić zło... Potem małe rodzeństwo będzie mogło żyć swobodnie. Matka... Odsunął szybko myśl o matce. Wywołany wyobraźnią widok jej dobrej, zmęczonej twarzy rozrzewniał, odbierał potrzebną stanowczość. Zacięty mściciel gotów byłby ustąpić

142

miejsca dziecku, po prostu dziecku... Więc lepiej nie myśleć teraz o matce...

Zniszczyć bombardy... Ale jak? Mario nie darmo był synem puszkarza, zwanego „panem ognia” przez pogan. Znał naturę prochu i właściwości jego niszczącej potęgi. Wiedział, że olbrzyma z brązu można stosunkowo łatwo uszkodzić i że uszkodzenie takie bywa nie do naprawienia. Proste zatkanie wylotu lufy może wywołać wybuch i zniszczenie działła. Lecz jak to wykonać niepostrzeżenie, tym bardziej że bombard jest osiem?...

Osiem potworów do zabicia, osiem paszcz, które trzeba zmusić do milczenia, osiem zamachów, na które wystarczyć musi jedno życie...

Było nad czym myśleć. Czas mijał. Żołnierz przyniósł do namiotu jedzenie na dużej tacy, przykrytej płótnem. Ryż z baraniną i placki. Przywołano Maria. Wszedł i jadł razem z ojcem. Nie rozmawiali wcale. Orbano sięgał ręką do miski, nie patrząc, co bierze. Wzroku nie odrywał od swoich papierów. Mario jedząc przyglądał mu się ukradkiem.

— Jedz, jedz — rzekł nagle ojciec ze zwykłym roztargnieniem — nim odejdiesz, chcę z tobą pomówić... Dam ci parę poleceń dla matki...

Mario otworzył usta, by rzec: Ojcze, pomówmy teraz... Jeszcze raz... Błagam... Posłuchaj... — lecz Orbano utkwiał ponownie wzrok w swych planach z wyrazem tak doskonałej nieobecności, że chłopiec poczuł bezowocność wszelkiej próby. Zjadł i wyszedł bez słowa z namiotu. Tuż za wejściem zawahał się, zatrzymał i zawrócił. Nachylił się nad siedzącym i pocałował go cicho w ramię.

Orbano odwrócił się zdziwiony.

— Tak, tak, przyjdź, nim odejdiesz... — mruknął. Mario wyszedł, tym razem na dobre. Uderzył go w piersi grzmot głuchy, potężny. Ziemia zadrżała od wstrząsu. We wschodniej części obozu wykwitł dym, rozsnuł się niskim, białym obłokiem. To bombardy odzywały się po zwykłej dwugodzinnej przerwie. Za chwilę dadzą ognia następne baterie. Wokół sto-

143

jącego beczynn timer chłopca obsługa działa uwijała się już szybko, sprawnie, lejąc w gardziel bombardy oliwę, ładując proch. Działo było wycelowane po każdym strzale przez samego Orbana, więc nie troszczyli się już o kierunek ani patrzyli, co się dzieje przed baterią.

„Gdybym zdołał teraz wepchnąć w wylot jakąś zaporę, na przykład woreczek z piaskiem — rozmyślał naiwnie Mario podchodząc bliżej. — Gdybym zdołał...”

Giuseppe Orbano wsparł głowę oburącz. Stał się cały jednym skupieniem. Przyszła nań chwila, o której mówił synowi, że zda mu się, iż ktoś niewidzialny stoi za plecami i podpowiada słowa rozwiązania. Aż drżał od tej świadomości. Czerniejące przed nim szeregi cyfr zdawały się trzepotać, ożywać, nabierać tajemnego, tak gorąco poszukiwanego sensu. W rysunkach objawiały się nagle, widomie, niezbitie błędy i celowe poprawki... Jeszcze parę minut, a wytężona myśl uchwyci to, za czym goni... Jeszcze moment...

Raptowny, niesamowity wrzask buchnął tuż pod ścianą namiotu. Szamotanie, gardłowe krzyki, czyjś jęk żałosny, przeszywający tupot nóg, przekleństwa... Myśl pierzchnęła. Jasne przed chwilą widzenie zmąciło się, znikło. Orbano poderwał się z miejsca rozżalony, wściekły na niewiadomych sprawców zamieszania.

— Ja im pokażę bójki tutaj pod namiotem! — syknął. — Pod kije. Niech ich wychłosczą...

Z pasją odchylił zasłonę namiotu. Gromada rozprawiających żywo żołnierzy stała skupiona nad czymś czy nad kimś... Ktoś leżał na trawie. Wokoło krew... Dużo krwi... Orbano spojrział i oprzytomniał.

— Mój syn! — krzyknął przeraźliwym głosem, rzucając się ku leżącemu. — Co się stało? Kto go ranił?!

Chmurny, posępny aga wysunął się naprzód.

— Ten chłopiec — rzekł — pchał piasek do działa... Zabiliśmy go, bo to było naszym obowiązkiem...

144

— Mariol — zawołał Orbano padając na kolana przy rannym. — Synku... to nieprawda przecie... Medyka biegiem sprowadźcie. Nuże! Prędszej!... Synku...

Chłopiec otworzył z wysiłkiem gasnące oczy.

— Chciałem zniszczyć wszystkie osiem... — szepnął — nie udało się...

— Ale dlaczego?... Co ci?...

— Za ciebie... Bo ty nie chciałeś...

Umilkł. Powieki spadły mu na oczy. Z piersi podnosiło się rżenie. Różowa piana wystąpiła na usta. Poruszył palcami niespokojnie. Otworzył jeszcze raz oczy. Spojrział na ojca z czułością... Czy też z wyrzutem?...

Skonał.

— Nie dotykajcie go. Sam poniosę — rzekł głucho Orbano. Ujął ciało i podźwigał z trudem do namiotu. Krew spływała mu po rękach. Głowa zmarłego zwisała bezwładnie. Spod nie domkniętych powiek sączyło się spojrzenie pełne nadal czułości czy wyrzutu... czy oczekiwania?... Ułożył zwłoki na posłaniu, zasunął starannie zastonę wejściową. I usiadł jak poprzednio przy stole, podpierając głowę oburącz. Starał się ochłonąć, uprzytomnić sobie, co zaszło, zrozumieć spadające nań z nagłą nieszczęście. Nie wiedzieć skąd, zadzwoniła w głowie świadomość, że twórcza, wynalazcza myśl, za którą gonił przed chwilą, nie przyjdzie już do niego nigdy, nigdy... Chłopię z piersią przebitą jataganem * stanie raz na zawsze pomiędzy nim a wynalazkiem. Zresztą Orbano nie dba już o wynalazki. Na jego drodze rozwarła się przepaść niemożliwa do wypełnienia. Nic jej nie przekroczy. Żadna z nici zerwanych nie da się nawiązać. Skończyło się wszystko... Skończyło... Pozostaje jedno tylko: wypełnić to, co chciał syn...

...Mus kazał poprzednio budować bombardy. Silniejszy mus nakazuje teraz je zniszczyć... — „Chciałem wszystkie osiem... Za ciebie... Bo ty nie chciałeś...”

Z gorączkowym pośpiechem schwycił ołówek, papier, jął coś obliczać, kreślić... Nachylił się nad stygnącymi zwłokami. Patrzył długo w szczupłą twarz o dziecinnych jeszcze rysach,

Puszkarz Orbano 10

145

lecz nie po dziecinnemu smutną i stanowczą. Ucałował ją ostrożnie, czule i wyszedł. Huk strzału uderzył go znienacka, aż się zatoczył. Bombarda cofała się po strzale, podrygując. Echo hurkotało po wzgórzach. Ledwie widoczna w kłębach dymu obsługa patrzyła na beja Orbana spode łba. Syn tego zdrajcy pchał piasek do lufy, a on miast przytaknąć, że łotra zabito, rzucał się jak szalony...

Nie patrząc na nich Orbano zeszedł ze wzgórza. Mijał obóz jeńców. Mario chciał, by ojciec przyszedł tu z nim i zobaczył ich... Maria już nie ma, lecz Orbano posłusznie stanął i patrzył... „Twoje dzieło, twoja wina” — mówił syn... Ojciec zakrył twarz rękami. „Nie moja, synku, nie moja”... Pytanie, czy wynalazca ponosi odpowiedzialność za skutki swoich pomysłów — stanęło przed nim wyraziście po raz pierwszy, rozdarło duszę na dwoje. On, Orbano, twierdził, że nie, Mario powiadał, że tak... a jak osądzi Bóg?...

Gadając sam do siebie, spierając się ze zmarłym, Orbano doszedł do najbliższej baterii. Z ukrytym zdumieniem patrząc na jego zakrwawioną odzież i dłonie, kanonierzy skłonili się z kornym szacunkiem, on zaś przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, po co tutaj przyszedł.

— Aha — mruknął w końcu i wyciągnął z kieszeni papier. Rzucił okiem przelotnie na cyfry.

— Ogień należy wzmocnić — rzekł w końcu głośno. — Ładunek prochu zwiększyć o cały worek i uszczelniacze założyć podwójne.

Aga, dowódca baterii, schylił się do ziemi.

— Wybacz, panie, twemu pokornemu słudze — szepnął wahająco — czy działo to wytrzyma?... Ja sądzę...

— Czynić, co każę — uciął krótko Orbano i poszedł dalej. Nie myślał o tym, że wydaje na zagładę ukochany owoc tylo-letniej pracy. Mario kazał... Mario mówił, że tak trzeba... Zatrzymywał się z kolei przy każdej pozycji, wszędzie wydając ten sam rozkaz. Jakkolwiek wszystkim kanonierom wydawał się on dziwny i niebezpieczny, spełniano go bez wahania.

146

H

Czyż nie pochodził od „wielkiego pana ognia”, beja, któremu zawdzięczano rozwalenie murów, którego miano, ozdobnie wyryte, lśniło na każdej bombardzie?...

Takiego huku ni dymu nikt jeszcze nie słyszał, nie widział. Wyleciały w powietrze nie tylko działa-olbrzymy, lecz również przygotowane w pobliżu zapasy prochu. Przyczyny katastrofy nikt nie umiał dociec. Sam wynalazca zginął. Wybuch rozerwał jego ciało w strzępy. Obsługa przy wszystkich bateriach zginęła również. Nieliczni, cudem pozostali przy życiu, choć straszliwie poranieni, opowiadali sobie na ucho nieprawdopodobne wieści. Pono ostrzegano puszkarza, że działa nie wytrzymają zwiększonego ładunku prochu... Pono był przedtem jakiś chłopiec... jego syn... którego zabito... Na pewno jednak nic nie wiadano. Straty były olbrzymie. Wybuch rozniósł w strzępy armaty, ludzi, namioty... Gładkie, marmurowe kule, wstrząśnięte eksplozją toczyły się ze wzgórza jak żywe. Proch trząskał pod niebo. Płonęły smolne pakuły uszczelniające. Oliwa w beczkach płonęła. Z najwyższym trudem opanowano szerzący się od nich po całym obozie pożar.

Gdy ogień wygasł, próżno było szukać jakichkolwiek śladów. Nic nie zostało z namiotu Orbana, jego papierów, obliczeń ni z ciała chłopca, przebitego nożem...

Sułtan nie posiadał się z gniewu i złości, tym większej, że nie było na kim jej wyrzucić. Winowajca nie żył, nawet ciała nie można było dać na pohańbienie. Umknął przed gniewem sułtana, pozbawił swego władcę mocy mającej dać panowanie nad światem. Przeklęty pies chrześcijański! Już nikt nie zbuduje takich dzieł Muhammedowi II. Nikt nie zna ich tajemnicy.

— ...Całe szczęście, że Bizancjum już zdobyte — pocieszał sułtana ponury Saganos Pasza.

10*

OSTATNIE

GODZINY

onstantynopol jest już istotnie zdobyty, choć zwycięzcy jeszcze się nie wdarli do wnętrza. Leży niby dom o wywartych drzwiach i oknach, do którego każdy obcy może wejść bezkarnie. Jedyne mur, jaki pozostał miastu, to mur gotowych na śmierć obrońców. Och, gdybyż dawniej tak stawali jak obecnie. Gdybyż dawniej tak czuli jak dzisiaj! Za późno ocknęło się w nich męstwo i miłość kraju, za późno...

Nie wiedzieć skąd, pewno od Genuńczyków, rozchodzi się pogłoska, że Turcy jutro uderzą do szturm. Zatem jutro koniec. Pogłoska ta jest prawdopodobna, bo na cóż sułtan miałby czekać dłużej? Zostaje mu tylko przejść po trupach załogi i objąć gród w posiadanie.

— Nie przyjdzie mu to łatwo... Jeszcze siła ludzi straci — zapewnia przez zaciśnięte zęby Giustiniani. A wychudły, wymęczony, postarzały Frances mówi: — Bodaj się wszystko już skończyło, bodajemy już zginęli...

— ...Jutro... jutro... — szepczą znacząco Genuńczycy, odjeżdżając po raz ostatni z grodu. Po dawnemu są w zgodzie z jednym i drugim przeciwnikiem. Nie trzymają strony ni-

148

czyjej. Obchodzi ich tylko handel. Dziś odbiorcami są jeszcze Grecy, jutro już zapewne Turcy... Cóż o to kupcom?

...Jutro... jutro... W obozie tureckim już się podobno sposobią...

Przygotowujmy się i my — mówi cesarz. Z kardynałem Izydorem i Giustinianim, w otoczeniu przyjaciół i wodzów zdąża na wieczorne nabożeństwo do Sw. Zofii. Wielka świątynia, nie mająca sobie równej w całym świecie, jest przepelniona tłumem tak gęstym, że cesarz z trudem toruje sobie między nim drogę. Nikt się już nie usuwa kornie przed nim, nikt nie pada na kolana przed majestatem basileusowym. Przedśmiertna trwoga zrównała wszystkich. Pospołu patrycjusze i nędzarze, uczeni i bywalcy wyścigów, zakonnicy i złota młodzież cisną się, tłoczą, modlą i o zmiłowanie płaczą. Mnich Genna-dius odczytuje głośno przepowiednię starą, prastarą, według której anioł z ognistym mieczem zjawi się, gdy poganie wkroczą na plac przed świątynią, zwany Augusteon, i gromem ich porazi. Ludzie słuchający czepiają się wątlej nici tej nadziei, niby ostatniej deski ratunku. Czyż nie spełniły się poprzednie wróżby? Czyż nie płynęły okręty po lądzie? Dlaczego tamte prorocтва miałyby być ściśle, a to zawodne? Więc kto się tu do świątyni zdołał schronić, będzie niewątpliwie ocalony.

Wysoko, wysoko, pod kopułą tak strzelistą, że zdaje się sięgać nieba, płoną czterej cherubowie. Każdy o sześciu skrzydłach, lśniących, migocących, drgających, okrywających cały świat. Od nich spływają cztery wielkie rzeki, strugi złocistej mozaiki, zaludnionej tłumem świętych. Daleko, w głębi, za wielkim ołtarzem, widnieje olbrzymia postać Mądrości Bożej, matki trzech cnót, Wiary, Nadziei i Miłości, na których opiera się cały świat. Z wiarą, nadzieją i miłością kłębiąca się dołem ciżba, nieszczęsne mrowie ludzkie, dygocące z trwogi, spogląda w górę, wznosi swoje błagania. Ściele rozpaczliwe modły przed precudnej roboty ołtarzem ulanym z tajemniczego stopu, na który jak na brąz koryncki składają się w równych częściach złoto, srebro, miedź, żelazo i drogie kamienie. Dusze kołyszają się z grozy jak sześćset lamp złotych,

149

zwieszających się od niebosiężnego stropu na szczerozłotych łańcuchach. Serca kołczą jak dzwony, których u Sw. Zofii jest trzysta sześćdziesiąt i dwa.

Tuż przy ołtarzu, niby biało-złote widmo, siedzi patriarcha Sergiusz, starzec prawie że stuletni. Od tygodnia przeszło nie opuszcza już świątyni. W przeciwieństwie do tłumu nie wierzy w zbawczą przepowiednię i przyjście anioła. Czeki śmierci. Chce ją ponieść razem ze swym ludem. Siedzi na swym patriarchalnym tronie tak kruchy, słaby i nierzeczywisty, że zda się bardziej duchem niż żywym człowiekiem.

Noc już zapadła głęboka, gdy cesarz opuszcza świątynię. Towarzyszy mu tylko wierny przyjaciel Frances. Są sami. Nieodstępny pacholek Francesa, Mario, znikł bez wieści przed paru dniami. Nikt nie wie, co się z nim stało. Darmo stary Antonio Donino szukał go wszędzie. Zmartwiony odjechał w końcu, na miejsce chrzestniaka, na którego przejazd Turcy dali zezwolenie, zabierając Demetriusa. — Niech się ten chu-dziak przynajmniej uratuje, skoro tamtego nie ma — mówił. — Co się z nim stało? Co się stało? Na kości św. Marka! Chłopiec szczerze złoto, chociaż uparty jak kozioł... Czysty ojciec... Oj, będziez matka płakała!

Stary Antonio tarł czuprynę na samą myśl o rozpaczliwej Łucji. Za to matka Demetriusa błogosławiła los, szczęśliwa, że się jej chłopiec od niewoli uratuje.

— Zawdy na świecie co jednemu strapieniu, to drugiemu pociecha — mrucał filozoficznie Antonio i uwiózł chłopca. Wielu ludzi, zwłaszcza kobiet, otaczało tę ostatnią, odjeżdżającą łódź, błagając, by je także zabrał, podając dzieci. Lecz stary był zbyt ostrożny, by ustąpić. — Jednego chłopca pozwolono mi przewieźć, i basta. — Odpłynął śpiesznie od brzegu skazańców.

Tak więc żaden pacholek nie towarzyszy cesarzowi i jego wielkiemu logotecie dworu w ostatniej przejażdżce. Nikt z dworzan, dostojników, sług... Każdy dziś myśli o sobie. Tulą się w świątyni wierząc, że tam zguba nie dojdzie, a o monarchę już nie stoją. Konstanty Paleolog Dragazes w ostatnim

150

dniu swego życia może się czuć jak zwykły człowiek zagubiony w tłumie.

Podchodzą z Francesem do stojących opodal koni. Pacholek niedbale podaje strzemiona. Może ich nie poznał, może jest nadto zaprzątnięty myślą o swej własnej śmierci. Co jutro przyniesie? Zgon czy jasyr *? I co z dwojga mniej okropne?...

Konstanty i Frances jadą stępą przez plac, na którym tłum spodziewa się ujrzeć anioła. Kopyta koni stukają miarowo po bruku. Zawinięci w ciemne płaszcze w milczeniu odbywają wędrówkę wokół zniszczonych już murów miasta, które ma zginąć nazajutrz.

Kipiący niegdyś życiem, wesołością gród milczy dziś jak zaklęty. Obrońcy czuwający na szczątkach wałów są tak znuzeni, że drzemią stojący. Zaledwie który podniesie głowę na stukot kopyt, by wnet opuścić ją z powrotem bezwładnie na piersi. Którzy nie stoją na murach lub nie zdołali wcisnąć się do Sw. Zofii, kryją się w najciemniejszych kątach domów, szukają tajnych skrytek, piwnic, schowków, gdzie by ich poganin nie wyśledził. Więc w mieście panuje cisza... Złowroga, nabrzmiała groźba. Cisza gorsza od niebogłosego krzyku. Gorsza jest ta chwila przedzgonna od samego zgonu.

Konstanty puścił wodze koniowi na szyję. Niech idzie, którądy chce. Nie powiedzie go już gdzie indziej niż ku przeznaczeniu. W głowie dudni uparcie stary, nie wiedzieć skąd przywiany pamięci wiersz:

...Pająk stróżuje w pałacu cesarów i czujną wartę zaciąga na wrotach... ...Puszczyk krzyczy pod złocistym sklepieniem przeminionej chwały...

Próżno słowa natrętne odganiać. Dzwonią w uszach dojmująco. ...Pająk stróżuje... Tak, tak... Ostatniś, Konstantynie, ostatni! Ostatni z imienia. Ostatni z rodu, ostatni z nieprzeliczonego szeregu rzymskich cesarów.

— Dawniej nie było stąd widać morza... — zauważa Frances z westchnieniem.

Rzeczywiście, widok się zmienił. Poprzednio jadąc tak jak

151

oni ulicą, zwaną Okrężną, miało się po lewej ręce ciemną ścianę muru, zasłaniającą pół nieba, po prawej pełne światła i gwaru miasto. Dziś jest na odwrót. Miasto grąży się w mroku, za to po lewej raz po raz otwierają się długie perspektywy, przez które widać bądź morze i ognie na tureckich statkach, bądź światła w sułtańskim obozie. To wyłomy, przez które jutro wkroczy do grodu zagłada.

Światła w tureckim obozie jest wiele. Poruszają się, migają jak świętojańskie robaczki. Wciąż ich przybywa. Istne rojowisko blasku. Konstancy i Frances stoją i patrzą. Nie mogą pojąć przyczyny tej ilości i ruchliwości płomyków. Nie mogą stąd dojrzeć, że każdy z janczarów uwiązał u spisy wiecheć umazanej w smole słomy. Lasem płonącym biegną na wyścigi posłuchać przemowy sułtana.

Muhammed II wjeżdża na wzgórze na białym koniu. W świetle pochodni zwyciężony przeciwnik widzi go wyraźnie. Słów oczywiście nie słyszy, ale po ruchach rąk domyśleć się łatwo, że wskazuje na miasto i wzywa do uderzenia.

Sułtan mówi:

— Wejdziemy tam jutro, o wyznawcy Proroka! Wejdziemy, by nigdy nie odejść. To miasto jest nasze. Żołnierze. Pozwalam wam przez trzy dni rabować i brać jeńców w jasyr. Jedynie kościoły i pałace cesarskie są moją własnością, której ruszyć nikomu nie wolno. Trzy dni wam daję! Trzy dni wo-jackiej rozkoszy dla tych, którzy pozostaną żywi. Tym, co polegną, sułtańskim słowem obiecuję raj. Przysięgam na wielkiego jedyne Proroka Mahometa i dwadzieścia cztery tysiące proroków zwiastujących jego nadejście. Przysięgam na cienie ojca mego, chwalebnej pamięci sułtana Amurata, i na mój miecz, który nie zaznał porażki, że będę jutro spał w basileu-sowym pałacu.

Wyciągnął w górę ramię, biorąc miesiąc na świadka przysięgi. Odpowiedział mu okrzyk drapieżny trzechkroć stu tysięcy ludzi. Okrzyk ten przeciągły, przejmujący, niesamowicie groźny doszedł wyraźnie do uszu patrzących nieruchomo jeźdźców.

152

— Wolej było słuchać bombard niżli tego ryku — rzekł Konstancy, wzdygając się.

— Bombardy od dwu dni milczą całkiem. Pono są zniszczone...

— Ech, raczej Muhammed żałuje prochu... Na co mu strzelać, gdy go stąd przez mury widzimy...

— Genuęńczycy mówili, że je rozerwało onegdaj, gdy taki był huk i dym...

— Wszystkie od razu?

— Wszystkie. Dziwna jakaś sprawa... Pono ktoś to uczynił umyślnie...

— Czemuż nie uczynił wcześniej?... Z dziesięć dni temu może byśmy się jeszcze zdołali obronić... Dziś obojętne już, czy bombardy są lub ich nie ma...

Przebudzeni wrzawą gromadnego okrzyku, żołnierze obrońcy podnosili głowy. Jeden z nich podszedł ku rozmawiającym, nie domyślając się, kogo ma przed sobą.

— Mówicie o bombardach? — zagadnął ziewając. — Zdechły od czegoś te przeklęte bestie... Powiadają, że rozsadził je ten sam renegat, co je wymyślił... Ocknęło się widno w łotrze sumienie... Oj, łotr to musiał być, ale łebski chłop... Takie bombardy zbudować... Gadają niektóre, że to Italczyk, że tu w grodzie żył i u basileusa napraszał się ze swoim wynalazkiem, ale go słuchać nie chciano?...

— Prawda to — rzekł basileus z westchnieniem i trącił konia piętami. Ruszyli dalej. — ...Prawda... Prawda... Nigdy zło nie spada na człowieka inaczej niż samochcąc... Puszkarz wynalazca był u niego... Padał na ziemię, błagał o danie mu wiary, pokazywał plany... — Przedni wesofek... — mówił Lu-cius. Ach, Lucius... Co się też z nim dzieje?... Czy rzeczywiście tak chory, jak opowiadają?...

— Znikł — stwierdził Frances, gdy Konstanty powtórzył głośno to pytanie. — Wielki drongarios armii znikł z pałacu przed dwoma dniami i nikt nie wie, co się z nim stało...

Konstanty odwrócił się żywo.

— To niesłychane... Co się z nim stało? Jak myślisz?

153

— Ja myślę, że po prostu uciekł — odparł Frances. — Nie on jeden zresztą. Kilkunastu naszych dygnitarzy znikło podobnie. Uciekli też Bazyli Anagnostes i Cyprianus, nasz wspaniały zawodnik... Nie warto myśleć o tym, Najpobożniejszy, Najmiłociwszy Panie, oby Bóg błogosławił twoje dni.

— Moje dni?! — roześmiał się gorzko Konstanty. — Powiedz raczej: twoją ostatnią noc...

Frances nic nie odpowiedział. Z dumą a zarazem najgłębszą rozpaczą myślał o córce, która uciec nie chciała... Została. Została. Została... Co się z nią jutro stanie?... Począł modlić się gorąco jak o cud, by tej nocy umarła, by nie dożyła świtu...

— Moje dni!... — powtarzał Konstanty kiwając głową. — Zaprawdę nie błogosławił im Bóg... Nie zostawił dla mnie nic z łaski, jaką otaczał moich poprzedników... Oby mi udzielił przynajmniej dobrodziejstwa rychłego zgonu w obronie miasta... Muhammed zechce mnie wziąć żywcem, by uświetnić swój tryumf, ale na świętych Męczenników! — nie osiągnie tego! Jeśli sam sobie nie zdołam śmierci zadać, znajdzie się chyba jaki chrześcijanin, który mi hańby oszczędzi?... Zresztą któż mnie pozna? Zwlokłem z siebie wszystkie oznaki cesarskie...

— Cizmy zostały — zauważył Frances nachylając się ku tkwiącej w strzemienu stopie przyjaciela. Pomimo mroku złote orły połyskiwały na purpurowym safianie.

— A prawda, cizmy... Zmienię je także na zwykłe sandały... Spójrz, już niebo bieleje na wschodzie... Ostatni nasz świt, Francesie, ostatni świt bizantyjski... Jak cudnie połyska morze...

— Słyszycie, Najmiłociwszy Panie? — przerwał mu Frances.

— Fale huczą...

— O nie, to tupot nóg... To wojska podchodzą...

— Amen — rzekł cesarz — niech podchodzą. Bądź zdrów,
przyjacielu... Panno Przepczysta! Bądź nam miłościwa...

*

i ZILZyCU i - i ! ; i ! < ... ' ud

154

Splątany szaniec ciał jeńców, pędzonych stadem przed właściwym wojskiem tureckim i wał poległych obrońców otaczają miasto gęstym, zwartym murem. Poprzez ten szaniec zwycięskie janczary wdzierają się z wyciem do miasta. Wydane im jest na łup, na trzydniowe morderstwo i grabież. Allah jest wielki. Co za rozkosz mordować i grabić! Wszystko, co się, do grabieży nie przydaje, niszczyć, burzyć, rozwalać, podpalać. Wynajdywać skrytych w trwodze mieszkańców, wyciągać na światło dzienne, gonić przerażone gromady kłując na oślep spisami, zapędzać w ciasne zaułki i tam siec bez miłosierdzia. Trzy dni. Trzy dni. Wszystko, co stare, szpetne, chore, słabe lub zbyt młode, idzie bez miłosierdzia pod nóż, reszta w pęta, w jasyr. Gromady młodych mężczyzn lub kobiet, obdarte, zbite, stłoczone, skrępowane sznurami, .czekają bezsilnie, aż je załadują niby bydło na statki i powiozą na egipskie targi niewolników, na straszną, przeklętą dolę.

Z obrońców mało kto został przy życiu. Tylko Francesca i jego córkę, Damarę, uratował stary Khalil Pasza. Kardynał Izidor niepoznany, wzięty został do niewoli, a Giustinianiego ciężko rannego uwieźli w ostatniej chwili Genuenńczycy. Basileus Konstanty poległ przy bramie Sw. Romana, odpierając główne siły muzułmańskie, nacierające pod wodzą samego sułtana. Bóg wysłuchał prośby ostatniego rzymskiego cesarza, dając mu rychły, waleczny zgon. Zwłoki przywalone ciałami wrogów poznają później obdzieracze trupów po ciźmach cesarskich, ciźmach czerwonych, haftowanych w złote orły, których zdjęć zapomniał.

Anioł nie stanął na Augusteonie. Plac już cały spływa krwią. Krew ścieka z szelestem do kanałów. Już wdarli się do kościoła Sw. Zofii. Rozdzierający krzyk, lament bije o ściany, Ale przed wielkim ołtarzem niedbały o to, co się dzieje za nim, nieczuły na nic, patriarcha Sergiusz odprawia ostatnie nabożeństwo według unii, według łacińskiego obrządku. Od' wracając się od ołtarza dla błogosławieństwa spogląda w górę, gdzie cztery cheruby złocą się tak niebosięźnie, iż nawet straszliwy jęk tysięcy ludzi zda się nie docierać do

155

nich, nie zakłócać wieczystego nieomal spokoju, panującego pod wielką kopułą. I spoglądającemu ku nim starcowi wydaje się, że wszystko, co dzieje się w dole, jest błahe, a jedyna rzecz ważna to ta msza Św., ofiara pokoju, zgody i przymierza z Bogiem. Ludzie umrzeć muszą tak czy tak, śmiertelni z natury swej będąc. Czemuż się tyle trwożą? Pragnąłby udzielić im tej pewności, uciszyć skomlące serca, przypomnieć o nicości śmierci a wieczności życia, lecz jest tak stary, że głosu mu braknie. Stoi więc tylko z rozpostartymi opiekuńczo ramionami, błogosławiąc wszystkiemu i wszystkim, a tak duchem uniesiony, że patrzącym zda się, iż widzą go ulatującego w górę, ku podobnym doń białym i złotym postaciom świętych...

I takim w pamięci potomnych zostaje. Nie dojrzał nikt chwili jego zgonu. Nie wiadomo, czy rozplątano mu sędziwą głowę mieczem, czy zduszono gardło sznurem, czy z tymi dłońmi błogosławiącymi uleciał w niebo istotnie lub może ściana się za nim rozwarła i pochłonęła, ściana, na której wyobrażona była Mądrość Boża?...

Nie wie nikt, gdzie zniknął starzec. Któż by teraz myślał o nim? Świątynia jest pełna trwogi, męki i konania. W ścisku martwi stoją jak żywi, nie mogąc upaść z braku miejsca. Janczary rąbią się przez nich jak drwale przez las. U wrót wrzask przeraźliwy trąb. Janczary stają na baczność sprężeni. Kopyta łomocą po marmurowej posadzce. To sułtan wjeżdża konno do kościoła. Odziany jest jak zwykle w swój kaftan żołnierski, splamiony, zbрызganym krwią. Ogromny turban, szerokie szarawary. Drapieżne, sępie rysy. Dumne i okrutne oczy. Wjeżdża z podniesionym mieczem i... opuszcza go. Przystaje. Nieporównane piękno świątyni oszalał sułtana widomie. Possuwa się z wolna przez tłum. Koń depcze po ciałach. Pan nauczył go nie wzdrygać się przed gruchotem kości. Wokół piekło, wokół jęki, wokół błagania o litość. Nie dba o nie. Nie spogląda na tych niewolników. Zsiada z konia przed ołtarzem, wchodzi na stopnie, staje w miejscu, gdzie przed chwilą stał błogosławiąc patriarcha. Stanąwszy obraca się twarzą do

156

tłumu, obrzuca wnętrzem spojrzeniem groźby i władania. Jest panem. Nareszcie! Jest panem Bizancjum! Jest panem życia i śmierci tych wszystkich nędzarzy... Lecz dziwna rzecz, nieoczekiwana... (Czyżby w tej świątyni niewiernych kryły się czary?) Nie odczuwa spodziewanego upojenia... Przeciwnie. Nachodzi go przygnębienie. Do czego będzie dążył teraz, gdy osiągnął to, o czym marzył? Zdobycie Konstantynopola było dotychczas jedynym celem jego życia i nie wie, jaki nowy cel sobie postawić. U szczytu chwały czuje się niby człowiek, co stracił oparcie i podstawę bytu. Wzrok więźnie daleko, pod kopułą tak odległą, tak wysoko wzniesioną, że zgiełk do niej nie dolata. Niegdyś, nie znany nikomu derwisz krzyknął do wracającego ze zwycięskiej wyprawy przestawnego sułtana, Amurata: „Obrócisz się w proch, Władco Wiernych!” Sułtan zeszedł wtedy z konia i ukorzył się... Te same słowa, taki sam głos nadpływa teraz ku Muhammedowi, który słyszy go po raz pierwszy w życiu... „Obrócisz się w proch, Władco Wiernych” — wieczności to głos czy otchłani?...

I w oczach wszystkich pyszny, okrutny Muhammed II Zdobywca, który nie wierzy w Chrystusa ani w Allacha, nie uznaje nic krom swojej sułtańskiej woli, schyla się, zgarnia dłonią garść pyłu naniesionego przez stopy i sypie sobie na głowę...

OD AUTORKI

Po ukazaniu się poprzednich wydań „Puszkarza Orbano”, niektórzy Czytelnicy zwracali się do mnie zapytując, w jakim stopniu fakty podane w tej książce opierają się na prawdzie historycznej. Odpowiadałam im wtedy indywidualnie. Obecnie, uprzedzając tego rodzaju pytania, pragnę Czytelników zapewnić, że wszystko, co w niniejszym opowiadaniu dotyczy ówczesnego układu sił politycznych lub wojskowych, stosunków społecznych i narodowościowych, oblężenia Konstantynopola przez sułtana Muhammeda II, użycia potężnej artylerii dla przygotowania szturm,

przeciągnięcia iloty tureckiej dwunastokilometrowym lądowym szlakiem przez wzgórza leżące między morzem Marmara a Złotym Rogiem, jako też ostatecznego zdobycia grodu — jest ściśle historyczne.

Autentyczną również jest postać tytułowego bohatera książki. Prawie wszystkie ówczesne kroniki opisujące upadek Konstantynopola wymieniają Orbana genialnego puszkarza, renegata o nie ustalonej narodowości (jedni robią z niego Węgra, inni Włocha lub Italczyka), którego działa przyczyniły się walcnie do zdobycia grodu.

Upadek Konstantynopola w 1453 roku był dla całej Europy chrześcijańskiej katastrofą, szczególnie groźną w skutkach dla narodów zamieszkujących dzisiejszą Bułgarię, Rumunię i Jugosławię oraz dla Węgier i Polski. Współcześni zdawali sobie z tego sprawę, toteż w szeregu dzieł rozważono zarówno przyczyny klęski, jak i przebieg walki. Pośród tych prac najcenniejszymi dla powieściopisarza są relacje naocznych świad-

159

ków klęski, a tych było wiele. Uczni francuscy zajmujący się dziejami Bizancjum, jak np. Gustave Schlumberger lub Louis Chalendon, przetłumaczyli i podali następujące źródła:

Kronikę spisaną przez Dukasa, członka panującej uprzednio bizantyjskiej dynastii; kronikę Greka Chalkondylosa; relację Leonarda de Chio, arcybiskupa Mytyleny; relację wymienionego w książce Francesa, wiernego towarzysza ostatniego ba-sileusa; kronikę Wenecjanina Barbaro; relację kronikarza włoskiego Pusculusa-, obszerny opis renegata Kritobulosa, Greka pozostającego w służbie sułtana. Z tej ostatniej pracy zaczerpnięte zostały podane w niniejszej powieści szczegóły dotyczące budowy bombardy, jej rozmiarów, wagi pocisków, ich zasięgu i siły niszczenia.

Na koniec wymienię cenne polskie źródło zatytułowane: „Czasów popisanie o tureckich sprawach, Konstantego, syna Michała Konstantynówicza, z Ostrowicy, Raca, jenż był wzięt od Turków między janczary”.

Wymieniony poprzednio G. Schlumberger nazywa tę pracę „Kroniką polskiego janczara”. W rzeczywistości Konstanty, syn Michała Konstantynówicza, nie był Polakiem, lecz Serbem, jak to sam stwierdza. (Rac — znaczy Serb). Wspomnienia swoje jednak utrwalił po polsku i w Polsce, gdzie dokonał pełnego przygód żywota. Pisał między rokiem 1496 a 1501. W kilkanaście lat później ukazał się czeski przekład tej kroniki, natomiast oryginał polski doczekał się pierwszego wydania dopiero w 1828 roku, czyli w trzysta lat z górą po napisaniu.

ZOFIA KOSSAK

W

*« W

K ZfcBRW

n

PRZYPISY

str. 5. galera (z włosk.) — dawny statek wojenny, poruszany za pomocą wiosel

kasztel (z łac.) — tu: nadbudówka na pokładzie okrętu, stanowisko dla kapitana str. 6. buzdygan (z turec.) inaczej t o p u c h — rodzaj buławy, oznaka stopnia wojskowego wezyr (z arab.) — minister turecki str. 8. messer (włosk.) — pan

akolita (z grec.) — tu: dowódca straży przybocznej i niewolników pałacowych na dworze bizantyjskim

logoteta (z grec.) — wysoki urzędnik bizantyjski, odpowiednik ministra; wielki logoteta — kanclerz. Logoteci armii, dworu, poczty, stad itd. tworzyli radę przyboczną cesarza, zwaną logotesion

podesta (z włosk.) — urzędnik piastujący najwyższą władzę w miastach — republikach włoskich,

basileus (z grec.) — władca, tu: cesarz bizantyjski str. 10. H i p p o d r o m (z grec.) — arena do

wyścigów zaprzęgów konnych str. 12. protovestiarios (grec.) — szatny dworu str. 13. protosebastos

(grec.) — tytuł honorowy, rodzaj szymbelana dworu

str. 14. proedros (grec.) — radny dworu cesarskiego

str. 18. b o m b a r d a (z łac.) — działo nabijane kamiennymi kulami

str. 28. autokrator (z grec.) — samowładca

Filochristos (z grec.) — miłośnik Chrystusa str. 29. muzułmanin (z arab.) — wyznawca islamu str. 31.

doża (z włosk.) — najwyższy dostojnik Rzeczypospolitej Weneckiej

str. 36. janczary (z turec.) — wyborowa piechota turecka złożona

z chłopców chrześcijańskich, pojmanych w niewolę str. 40. s z e i k (z arab.) — naczelnik szczepu

161

str. 48. hiperboreje (z łac.) — tu: mieszkańcy Dalekiej Północy str. 50. parakimenos (grec.) — główny

zarządca dworu cesarskiego protostrator (grec.) — wielki koniuszy dworu protospator (grec.) —

naczelný dowódca straży pałacowej str. 54. sokolniczy — człowiek mający w swej pieczy ptaki używane do polowań

str. 61. p ł a t n e r z (z niem.) — rzemieślnik wyrabiający zbroje str. 63. łyk — mieszczanin, obywatel

miejski str. 71. derwisz (z pers.) — mnich, pustelnik muzułmański str. 77. aga (z turec.) — naczelnik, pułkownik

b e j (z turec.) — pan, tytuł przysługujący wyższym dostojnikom str. 85. basilissa (grec.) — cesarzowa

str. 90. schizma (z grec.) — rozdzielenie; tu: mowa o schizmie tzw.

wschodniej, która doprowadziła do podziału Kościoła katolickiego na dwa: rzymskokatolicki i

prawosławny. Unia Florencka zawarta w obliczu niebezpieczeństwa tureckiego w r. 1439 miała

przywrócić jedność kościelną str. 97. Mameluki, Mamelucy (z arab.) — niewolnicy, którzy stanowili

gwardię przyboczną sułtana. W XIII w. dowódcy Mamelu-ków zagarnęli władzę w Egipcie str. 99. i n s

t y g a c j a (z łac.) — tu: poduszczenie, podmówienie str. 107. buńczuk (z turec.) — drzewce z

ogonem końskim, oznaka godności baszy

str. 119. Isapostolos (grec.) — apostołski (tytuł cesarza) str. 136. c z a u s z (z turec.) — żołnierz

gwardii przybocznej cesarza, policjant

str. 145. j a t a g a n (z turec.) — krzywa szabla obosieczna str. 151. jasyr (z turec.) — niewola

SPIS TREŚCI

Zniszczone mury 5
.. 19	
Śmieszny człowiek 25
Rumeli-Hissar.....	.. 36
.. 47	
W obronie czci 58
Kto na Boga?.....	.. 66
W przededniu.....	.. 90
Otrzeźwienie 104
Spełniają się wróżby 124
Ostatnie godziny 148
Odautorki.....	.. 159
Przypisy 161